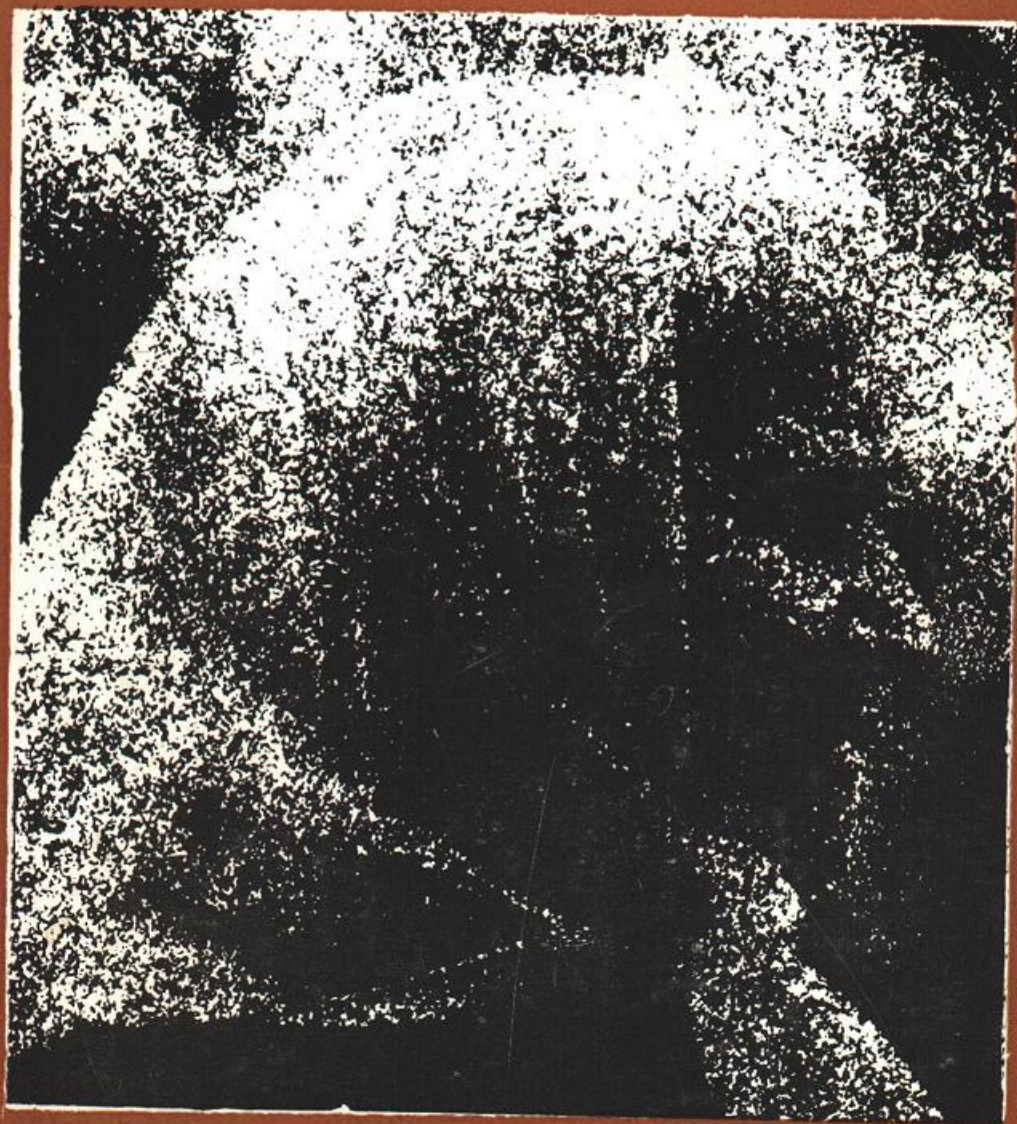


ANNA KAJTOCHOWA

babcia



Anna Kajtochowa

BABCIA

WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW

Okladkę projektował Władysław Targosz
Redaktor Urszula Srokosz
Redaktor techniczny Maria Banach

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982

Wyd. I. Nakład 10 000+283 egz. Ark. wyd. 7,7. Ark. druk 11

Papier druk. sat. kl. IV, 82X104 cm, 71 g

Oddano do składania 28 I 1982

Podpisano do druku w maju 1982

Druk ukończono w czerwcu 1982

Zam. nr 41/82. K-12-72

Drukarnia Narodowa, Zakład nr 6,
Kraków, ul. E. Orzeszkowej 7

ISBN 83-08-00885-2

Zapomnieć... Niczego nie można zapomnieć, Babciu *.

Jawia się różne twarze i przypominają; to znowu czegoś ode mnie chcą. Mają otwarte usta jak do karmienia. Ciągły krzyk i ciągle milczenie. Ściany milczą jak liście, twarze krzyczą jak megafony. Zamieniam się w bezbronną nagość, wrzucaną w beczkę wybitą gwoździami. Aby powoli ściekała krew. Nie wiem, kto wymyślił, i na czyj użytek, opowieść o macach.

To był chyba mój najpierwszy z pierwszych strach. Chodziło o to, by nie chodzić wieczorami koło „kućzek”. W nich płonęły świece i zawodził smutny głos albo wiele głosów. Wyły jak dalekie wilki — tak samo groźnie i niesamowicie. Wilki — to była Gromniczna. Gromniczna samotna, zziębnięta, w przeźroczyściej szacie. Świeca w jej dłoni odpędzała wilki. Nigdy jej nie pożarły, ani tego, kto — jeśli bardzo chciał — mógł jej towarzyszyć w wędrówce. Lepiej — ona sama szukała go w zaspach, jeśli zabłądził. Wystarczyło zabłądzić właśnie w Gromniczną i ze wszystkich sił wtedy jej wzywać.

* W powieści występują postacie fikcyjne. Ewentualna zbieżność nazwisk jest niezamierzona, przypadkowa.

— A co by było, Babciu, jakby kiedy indziej, nie w Gromniczną?

— Tylko w Gromniczną...

Dalszy ciąg Babciwego dowodzenia rozplywa się w takiej sennosci, że tylko głębia studzienna może się z nią mierzyć. Tak samo otchłannej jak studnia, do której nie wolno wpaść. A wtedy się nie wpadnie, jeśli do niej nie zaglądać. A jeśli się spojrzy, ujrzy w głębi diabła... Znaczy, jestem diabłem. Mam falującą, brudną twarz, sterczące rogami włosy. Diabeł to ja.

Tylko dlaczego w mokrej studni jest piekło?

Tysiące wątpliwości, pytań stawianych sobie. Pytań bez odpowiedzi, jak życie bez początku i końca, jak dzień niezrozumiałych i jak noc groźnych, jak wieczór sennych i monotonnych, niespokojnych, zamykanych nagłym skurczem powiek i ciemnością, która pogrąża wbrew jakimkolwiek chceniu.

Czy twarz może wpaść w pamięć jak w studnię? I czy to wtedy będzie diabeł?

Ech, Babciu. Stworzyłaś cały spójny świat, w którym las i dom, i pole, urodziny, ślub, wesele, pogrzeb — słowem życie tworzyło pojęcie ścisłe, wszystko w nim miało swój czas i miejsce, porządek z góry ustalony i nie do podważenia.

— Taki słoneczny, bo słoneczko każdemu daje znać, kiedy wstać, a miesiącek, widzisz, mruga, bo już czas spać, a ptak woła, że pora na śniadanie i do roboty, a potok wie, kiedy cię obmyć...

Tylko dla kogo go stworzyłaś i po co?

Nie wiedziałaś, że ów świat będzie kiedyś nieustannie wydrzwiany, kopany, lekceważony, nie doceniany — anachroniczny, dziewiętnastowieczny świat.

Także w twojego konia, obłupionego ze skóry, któ-

ry wstał w księżycowym świetle i ruszał się, i kwiczał, żył — bo skórnik nie wiedział, kiedy go obdzierał ze skóry, że jeszcze żyje — po latach nikt nie uwierzy, nie przejmie się jego męką.

Taki chłopski koń. Bo przecież twój leśny, chłopski świat uległ przedawnieniu. Szezeł jak ten pies. Ale nie dzisiejszy, pański pies! On teraz o wiele więcej wart niż twoja wnuczka, Babciu! Ty, która opłynęłaś nieobjęty szmat ziemi, znając tylko słowo: sziff. Sziff — symbol takiej obcości, przed którą cała się uginałaś. Ty, która potrafiłaś dźwigać na barkach pół lasu i jeszcze pokrzywy z kilometrowego rowu. Ech, Babciu, twoje świnię natomiast miałyby dopiero teraz powodzenie — ale nie przez ciebie na rynek przywleczone, bo wtedy okazałabyś się podłą spekulatką okradającą dzisiejszy, szlachetny świat pracy.

Leżysz cicha, prawdopodobnie jeszcze cała, i myślisz, Stasiu leśniczanko, o swojej wnuczce. Dziś już dorosłej, dojrzałej i przeźrzałej. O jej wspaniałym powodzeniu w wielkiej poli — tak nazywałaś Chicago (pewnie to przekształcenie metropolii).

— Babciu, a gdzie ten świat?

— Za tyloma rzekami, za tyloma morzami, że nikt ich nigdy nie obejmie...

— A jakby tak wziąć wszystkie ręce: i taty, i mamy, i Janki, i wujka Tomka, i ciotki Heli, i...

— Nigdy byś nie sięgnęła tego świata, nawet jakby się pojawiły jeszcze miliony wujków i ciotek...

— A co znaczy milion, Babciu?

— I tak nie pojdziesz, tylko jasny Bóg na niebie zliczy.

— To trza liczyć... A co to liczyć?

Przede mną szeregi drzew i bezmiar trawy.

— To strasznie wielki las — mówi Babcia.

Czy to miliony drzew? Umiem liczyć do dziesięciu. Jeden palec, jedno drzewo. Dotykam chropawej kory. Nudzi mnie to, objęłam kolejno już przeszło dziesięć drzew, na tyle starczyło palców u obu rąk.

Chropowatość. Jak żorzeta drażni, nieprzyjemny dreszcz. Żorzeta. To była pierwsza sukienka od Zosi. Z ogromną plamą, dlatego Zosia ją wyrzuciła.

— Czy mogę wziąć?

— Ależ tak.

Sukienka ma falbanę, sięga mi niemal do kostek. Pod spodem noszę trykotowe rajtuzy na całe ręce i całe nogi, rozcięte w kroku. Zosia nosi majtki, ale Babci się to nie podoba.

— No bo jak tu ścać?

Nie lubię, kiedy nagle Babcia staje, a spod jej spódnicy wypływa strumyczek. Zwykle ciepły, jak rejestrują to bosc nogi. Ciepło, ale wtedy nie mogę zobaczyć Babci, jak płynie na sziffie wielką wodą.

— Do samej Hameryki szoł...

Babcia w rozkroku traci na dostojenstwie. Potrzeby fizjologiczne nigdy mi się nie podobały. Dlatego dzisiaj gadki o kupce, którą ktoś tam jakąś gdzieś robi, ciągle trącą tamtą pierwszą śmiesznością. Budzą zażenowanie. Musiało się tak robić, ale się o tym nie mówiło. Tak jak się śmiało, śpiewało, klóciło, umierało. Żyło?

Wegetowało w nędzy, wszach i głodzie.

Głód, przednówek, chleb, ogień, woda, wojna, mór. Pierwsza przerażająca pieśń:

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny...

Usłyszałam ją przy „kuczkach”, które stały teraz ciche, nie było soboty. Ten sam niepokój, strach. W dobiegającym od kościoła zawroźdzeniu też sama nuta, co wtedy, kiedy niezrozumiałe słowa dobiegały

z „kuczek”. Toż samo błaganie. Ale przecież kościół to nie „kuczki”.

— Babciu, Żydzi też boją się Boga?

— Co ty pleciesz, przecież najświętszego Jezusa zabili, znaczy, Boga się nie bali.

— A jak się śpiewa w kościele: od powietrza, grodu, ognia i wojny, to się ludzie nie boją Boga? Żydzi też tak zawodzą, jakby to samo śpiewali...

— W imię Jezusa Nazareńskiego, nie bluźnij, dziecko, kłatwę na wszystkich sprowadzisz!

Babcia staje w pozie, która mnie przeraża, a ją uwzniośla. Spod kuchennych drzwiczek błyska ogień, ręce uniesione ku górze, siwe oczy rzucają krwawe refleksy, włosy pod chustką złotnieją albo się srebrzą, zależnie od ruchów Babcinej głowy. Pobożnym gestem kreśli znak krzyża we wszystkich kątach, mruczy swarliwie, zawzięcie i ze złością:

— Jezusie Przenajświętszy i Przeczysta Matko Jego! Oddal się Zło od domu naszego. Amen, amen...

Chwyta z półki flaszkę z wodą święconą, łapie ziele i ciska na gorącą blachę.

— Niech po bluźnierstwie śladu nie zostanie, przebac, Panie Jezu, głupiej dziewczce.

Porywa miotłę, rzuca się w kierunku kanapy, na której prócz mnie leży jeszcze siostra Janka w głowach i dwaj bracia w nogach.

— Do pacierza, najduchy, prosić o chleb Pana Boga. Ojciec nasz...

W izbie jeszcze ciemno, ziemia pod kolanami zimna, wzrasta we mnie coraz mocniej poczucie winy: który jesteś w niebie...

Jak dobrze byłoby być w niebie. Jakby to było dobrze, Babciu, gdyby święcone ziele i takąż woda po-

trafiły obronić dom przed klęskami, gdyby tylko bluźnierstwa sprowadzały nieszczęście, gdyby moje poczucie winy nie wzrastało z każdym rokiem i dniem, z każdą godziną, minutą, sekundą.

I jakże złudne, Babciu, było przeniesienie w dłoń, przesadzenie tamtego, twojego świata — na asfaltowy bruk, zamknięcie twoich czarów w okienkach kamiennego ula. To tak, jakby liczyć na przemianę ołowiu w złoto. Jaka szkoda, że umiera twoje światło w miejskim kamieniu. Że musi tu umrzeć. Że nie ocala go żadne twoje czary ani zaklęcia.

A to, co mówiłaś, zapadało we mnie, ale niezupełnie. Później przecież sama powiedziałaś, gdy ginęły „kuczki” i milknął jęk żydowskich modłów, że Bóg jest nad nami wszystkimi i ukarze morderców świata „kuczek” i chałatów, i pejsów, i tego wszystkiego, przed czym nas przestrzegałaś. Wtedy stwierdziłaś, że ginie w ogóle cały świat i że przyszedł sądny dzień. Dla wszystkich, wszystkich, bez różnicy czy chodzą do kościoła, czy do bóżnicy.

Czy dla wszystkich?

U Walickich w owym czasie pojawiło się nagle mnóstwo nowych garnków, serwet, szmat, sukienek itp. Pamiętam, że pewnej niedzieli nie poznałam domu Lidki.

— Ale się wam poprawiło...

Powiedziałam z podziwem, ale Lidka popatrzyła na mnie raczej z ukosa.

A był to czas pustych, strasznych domów, z lękiem mijanych w drodze do rynku. Los ich mieszkańców ułożył się, według wieczornych relacji, dosyć rozmaicie. Moją koleżankę, Bajlę, jak twierdzono, spotkało najgorsze...

Spędzili wszystkich na stadion. Feldfebel dzielił: tych do aut, tych do furmanek, ci pójdą do Łazienek.

— A Jankiel, Babciu, a Małka, a Bajla, a Ryfka?

Jankiel na auto, w Jasle mają coś robić, Małka, Icek i wszystkie ich dzieci, i Bajla z wszystkimi braćmi, i stary Rajchel, i Ryfka, wszystkie, wszystkie do Łazienek...

Babcia podniosła pięści, zatrzęsła się w sobie, rzuciła ni to do drzwi, ni do obrazów na ścianie:

— Zbóje! Panie, ognia na nich z nieba, drzeć pa-sami! Czy nie ma Boga na niebie?

Łazienki. Przez wierzchołek góry można do nich dojść lasami. Była też droga od miasta. W tym dniu matka zabrała mnie do żniw na ojcowiznę. Dokoła las, stały tu tylko dwa albo trzy domy, szło się od nas wzdłuż rzeczki Stobnicy, przechodziło most-kładkę, potem ścieżką u podnóża paru pagórków, przecinaną coraz to nowymi potokami. Pamiętam ją, znamienne błotem i kałużami. Gdy szło się latem, przyjemnie, bo miękką trawą i świeżość, bosa noga, omijając kałużę, trafiała w soczystą trawę. Gorzej zimą. Ale teraz było lato, żniwa, matka nagliła, wyszliśmy świtem, słońce nie mogło podnieść się za wysoko, do obiadu musimy wszystko zżąć.

Na ramieniu chybotce sierp. Ma podkładkę z lnianej koszuli i bawełnianej bluzki. Nie potnie skóry? Dorosłam, ale do mojej dziecinnej głowy pchają się uporczywie wspomnienia opowieści o zabitych sierpami. — Ktoś kogoś sierpem poderznął — mawiała Babcia. A czy sierp sam nie skoczy ku mojej szyi?

Z matką nie można o tym mówić: śpieszy się. Do południa ćwierć morgi musi się zżąć, na Krzemionkach jest jeszcze kawałek żyta, jutro może się sypać, chodźmy prędko.

Szybko ruszam nogami, ale matka coraz dalej, biegnę kilka kroków, dopędziłam ją, znowu mnie wyprzedziła. Słońce coraz wyżej, bosa noga szczypie rosa, sierp chwieje się w różne strony, pędem gonię zbożem, by wreszcie dopędzić matkę. Potok. Jestem dumna, wyprzedziłam matkę, zaraz pójdziemy razem.

— Przeklęty najduchu, złamiesz sierp, ty...

Zapomniałam, że majta sierp na moim ramieniu. Spojrzałam spode łba, już mnie nie cieszą ani żniwa, ani maczyna ojcowizna z kogutami.

Koguty to były jabłka, bo na Szarkówce (tak się nazywała ojcowizna matki) rósł sad, i jabłonka, która rodziła koguty. Bardzo dobre jabłka, po nich nie miałam oskomy, takiego cierpienia zębów, nikt nie pędził od jabłonki... Byłam siostrzenicą, wujenka pozwalała wziąć jabłko, wujek nawet zachęcał, choć mojej matce wara było od ojcowizny. Dostała wiano, nic tu po niej. Dopiero teraz, Babciu, coś niecoś rozumiem, ale wtedy ten najduch, czyli nikomu niepotrzebny bękart, wszystko zwarzył. I pierwsze żniwa, i moją dorosłość, i rolniczą ważność. Przyzwójcie, dziesięć kroków za matką, przebyłam ostatni pagórek, stromy, bardzo błotny pomimo lata. Zabłocone, schnące nogi swędziały jak zawszona głowa. To dobrze, że na Szarkówce jest porządna studnia.

— Chce mi się pić — powiedziałam.

Szłyśmy prosto pod studnię. Nie wstąpiłyśmy do rodzinnego domu matki, do mieszkającego w nim wujka. Matka miała — dziś bym powiedziała — duże poczucie własnej godności. Wiedziała, że na ojcowiznie nie tylko się nie liczy, wręcz przeszkadza, bo posagowy kawałek pola leży tuż pod nosem wujka-dziedzica, zatem mieszka jego gospodarskie szyki. Wobec tego należało zrobić swoje i jak najszybciej się ulotnić, nie

przeszkadzając ojcu Poldka (takie imię miał mój kuzyn). Ale wszyscy, nawet obcy, mogą korzystać ze studni. To było niepisane prawo w moich stronach i nigdy się nie zdarzyło, aby je ktoś przekroczył.

Myję nogi pod studnią. Woda jest strasznie zimna, ale okropnie przyjemna. Matka wymienia zdawkowe zdania z wujenką.

— No i jak się wam powodzi?

To „wam” — odczuwam — jest zaznaczeniem dysansu. To nic, że matce, jedynaczce, dziedziczce, wszystko się tu należy. Wybrała miasto. Jej rodzona matka ją przeklęła. Mówiła Babcia:

— Nigdy cię druga babcia nie chciała oglądać, bo twoja matka wybrała na męża twojego ojca, a nie tego, co chcieli twoi dziadkowie. No i zmarło się jej, biedaczce, nim się opamiętała. Ale żałowała tego w godzinie śmierci, ale żałowała, mówię ci wnusiu...

Ano dobrze. Wujenka jest ułożna, ma bardzo zimne, zielone oczy. Koguty jeszcze nie dojrzały... Nie będzie jabłek. Moje nogi są prawie czyste, błoto wokół studni pcha się między palce. I tak za chwilę będą brudne.

W wiadrze jeszcze trochę wody. Piję z dłoni. To takie ładne, kiedy z dłoni powstaje kielich. Spragniona czuję, że po jednym, drugim, trzecim łyčku już mi się nie będzie chciało pić.

Gdy czuję pragnienie, chcę je za wszelką cenę zaspokoić. Ty nie wiesz, że jeżeli najbliższe źródło znajduje się trzy kilometry stąd, a twój grzbiet już rdzewieje od słońca i bolą wszystkie włókna ciała od ruchu, i głód jest tak mocny, że nawet nie przyćmiewa go nieustanne ssanie ziarna — to nie ma ważniejszej sprawy, niż zaspokoić pragnienie. Może dlate-

go chwytam wszystko, co jest płynem, wtedy gdy już czas do pracy, albo do spania.

Tamta woda była jak lód. Cierną zęby, brzęczą owady, słońce już bardzo wysoko.

— To idziemy.

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże!

Pole tuż. Sierp. Boję się go. Zboże w lewej dłoni jest szorstkie, rzadkie, dużo się go mieści w ręce, ale prawa dłoń, ścinająca, nie przylega do lewej. Do głowy uderza krew, włosy spadają na oczy. Matka znowu daleko przede mną, dlaczego jej idzie tak szybko? Nie mogę zsynchronizować ruchu: lewa ręka sobie, prawa sobie, na końcu sierpa ziemia. Usiłuję ustawić się inaczej: do oczu wpadają wasy kłosa, za paznokciami grudy ziemi, trzymająca zboże lewica posiekana chwastami piecze, mokry pot zalewa czoło, cieknie policzkami, słone wargi, lepka odzież.

— Ruszaj się, ty leniu...

Wujek Leń. Czy on jest leniwy jak ja? Ciągłe wieczorami u nas przebywa, na pole wychodzi rzadko, i tak Hanka (to ciotka, żona wujka Lenia) wszystko robi. Wujek stale mówi o ułanach. Jak to służył przy ułanach w Grudziądzu, jak to pan porucznik w białych rękawiczkach sprawdzał, czy koń dobrze wyczyszczony, i niechby choć smużka się pokazała... A my całą noc kawalerowali, nad ranem przez płot wracali, konie czyścili do białości.

— I co? Nikt cię nie złapał bez przepustki?

Ojciec siedzi skurczony na progu, łokciem podpie-
ra brodę, w palcach dymi papieros — coś ty się znowu chwycił tego cycusia — matka fuka na ojca,

ojciec dobrotliwie mruczy: — spokój Helka, spokój — wujek Leń dumnie podkreśla, że choćby go i złapali, to i tak nic by mu nie zrobili, bo on taki kowal, że nikt w pułku nie potrafił tak dobrze konia podkuć, jak on...

Przecież nie jestem leń ani próżniak, chcę szybko zżąć żyto, wieczorem można łapać chrabąszcze, jak nie skończymy tego kawałka, jutro znowu przy księżycu trzeba będzie wstawać.

Lewa ręka chwytą kłujące zboże. Pełno w nim „osetu”, pewnie źle zaprawiono zboże, niebieska farbka (nie rusz, trucizna!) nie zabiła „osetu”, a i kąkol jest, i bławatek.

Śliczny bławatek. Jak oczy ciotki Mańki, co to za Milkliczem, jak swaszczyzna sukienka matki, co ją ubiera na wesele z różowym szalem, jak woda w potoku pod leśniczówką wujka Michała. Śpieszę się, bławatek wśród pojedynczych łodyg żyta, zamach sierpem, kłuje ostro palec. Znowu oset? Z palca cieknie krew. Jestem w becze na mace, to już nie krople, cała struga krwi. W oczach ciemno, czerwień zamienia się w czern.

Budzi mnie mokry dreszcz, kłuje skóra od ścierniska, leżę na chłodnej ziemi, wilgotnej, nade mną zmartwiona twarz matki jawi się mrocznie w oślepiającym słońcu.

To było już drugie zemdlenie. Pierwsze, kiedy zaczęłam czytać, właśnie całą sobą. Przy księżycu, przy świeczce pod stołem, by nikt nie zobaczył światła, przy lampie skróconej tak, by płomień obejmował tylko jedną linijkę w książce. Chodziłam jak błędna, nie jadłam, nie spałam, kiedy jasno świecił księżyc. No i na jednej przerwie w pierwszej klasie, między bajką o Jacusiu ze złotymi włosami a drugą o dziew-

czynce z zapalkami, pojawiła się nagle ciemność. Obudziliśmy się wtedy na stercie płaszczy rówieśników, przykryta ciepłym futerkiem Marysi Dukatówny, córki samego dyrektora kopalni.

Splendor spadł na mnie. I poczucie bezpieczeństwa wszystkich Zubłów, Mikliczów, bo kopalnia to była praca, a praca oznaczała pieniądze i Zubłowy dom, w którym pachniało ciasto, gdzie urodziła się Basia i Zyta, i jeszcze dwaj chłopcy, i pani Zubłowa chadzała w schludnym fartuchu, w domu białała podłoga, a nie ziemia polepą zwana, kłująca w bosa stopy, zamieniająca się podczas zamywania brzoza miotłą w tuman kurzu, który opadając przesłaniał słońce i na wszystko rzucał szarość.

Wtedy matkę wezwano do szkoły. Szkoła: moja najpierwsza, najważniejsza sprawa. Nauka rozpoczęła się o ósmej, mój dzień roboczy o piątej. Godzinami rozpoczynała go Babcia już o czwartej:

Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą,
zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą.
Bóg mój, zbawienie moje, jedyna otucha,
Bóg mi pomocą serca i natchnieniem ducha.

Zawitaj, Panno czysta, Domie Bogu miły,
który złoty stół, siedem kolumn ozdobiły.
Rachel ożywiła Egiptus nosiła,
i przy śmierci nam słodko Maryja przybyła.
I u Syna swojego łaskę uprosiła,
głód, morowe powietrze od nas oddaliła...

— Kapłon, dzieci wstawać!

Kapłon. Woda z czosnkiem, nieco osolona, do której wdrabiało się chleb. Czasem pływały w nim skwarki słoniny z cebulą, raczej rzadko, najbardziej smakował z białym chlebem, jeśli akurat w domu nocowały dziady.

— Jak nie będziesz posłuszną, zabiorą cię dziady do torby.

Szybko przestałam w to wierzyć, bo torby dziadów po brzegi wypełniał chleb, bułki, ciasto i inne wspa-
niałości na co dzień niedostępne w domu. Najczęściej
białym chlebem płacono za nocleg na rozścielanej w
kuchni słomie. Spało nas wtedy w kuchni na paru
metrach powierzchni nieraz sześcioro, a nawet ośmio-
ro, bo dziady chadzały zwykle parami, noc się prze-
dłużała o różne przez nich głoszone nowiny, chciawie
przez Babcię, a i przez nas słuchane, a to o cielętach
z dwiema głowami, które gdzieś się tam cielily, a to
o dzieciach potworkach z dwiema parami rąk i nóg,
a to o mordowanych przez synów ojczymach, albo od-
wrotnie, a to o wypędzaniu starych rodziców na żebry,
żeby w zimie albo na przednówku za darmo chleba nie
jedli.

Ze zgrozy zamierałam albo przysięgałam na wszy-
stkie świętości, że nigdy nic podobnego nie uczynię
i wpadałam w sen pełen majaczeń, okropności i okru-
cieństw. Ale nazajutrz biały chleb pływał w kapłonie
i tak smakował, tak smakował, że potem przez cały ra-
nek, chłonąc zapach mleka zmieszany z trawą, charak-
terystyczny przy pasieniu krów, można było rozpamię-
tywać jego smak. Sama przyjemność. Bo poza tym
krowy były uparte, na Duplagówce nie chciały się
paść, tam czerwotka, czerwona ziemia.

— A skąd czerwona ziemia, Babciu?

— Pan Bóg polał ją krwią winnych...

Ja mam krew niewinnych. Dlatego midleję ze
współczucia dla niewinnych, ale jak matka poradzi so-
bie z tym stajaniem?

Leżę na brudnej płachcie, matka skądś zdobyła.

brud, ale las pachnie, powietrze wiru-
nade mną tysiące słońc, lubię patrzeć
i wtedy widzę ich wiele, teraz nie pój-
roć pani dyrektorka mówi ojcu, że nie
rzymywać w domu i pędzić do roboty
a dawać śniadanie przed pójściem na
e ze mnie nauczycielka. Nawet matka
musiałam paść do ósmej, mogłam z kro-
wcześniej, żeby zdążyć do szkoły.

Babciu, nie wolno mi się bawić z Ra-
ia była Rachel ożywiciela, czyli Chrys-

i zabili Pana Jezusa, Żydzi łapią dzieci

mi kupował kiedyś u nas mleko, teraz
rwki nie chodzą do szkoły, mają przy-
ów niebieskie gwiazdy, zamiatają ulicę,
stości. Mówią, że to nieludzie. Jak to
la różni się ode mnie tylko czarnymi
ego ich wywożą, każąc pozostawiać do-
szystko, co w nich jest? Mogą zabrać ze
gramów pościeli albo garnków, albo in-

łudnie, matka każe wstawać, idziemy do
się wody. Pijemy, tym razem z kubka,
ła garnuszek. Tak bym zjadła kawałek
a rozwija chleb z masłem i serem, je,
e, bo nie zasłużyłam taką pracą, a i to
mie od żołądka, widać nażarłam się szcza-
i.

nie było kolacji, post przed pierwszym

zołądkiem — mawiała Babcia, ale mnie się straciło jeść w piątek. Zresztą zawsze chciało mi. Teraz gdy matka je, też mam pełne usta śliwet niemrawo podnoszę rękę z garnuszkciem wopieczonym wargom.

gle strzał! Jeden, drugi, trzeci, leśne echo za-je w tysiąc strzałów.

strzelają niedaleko — mówi wujek od Poldka. kto strzela? Na pewno Niemcy, bo przecież ni-niemu nie wolno strzelać. A może partyzanci? aleko, w Turzym Polu, oni na pewno dadzą ra-ncom.

łpliwość: naprawdę dadzą rady, jeśli takie śli-ojsko polskie, tacy cudowni ułani, w kawalerii wszyscy moi wujkowie, chłopcy jak małowant, i na defiladach i na pocztówkach, które dostają nisi Szubiny i Zosi Nawłoczyny, i Uli Babirec-gdzieś poznikali, a u nas pełno Niemców?

y Nastał, przebywający kiedyś na saksach, po-ł jeszcze przed wojną, że jak przyjdą Niemcy, ie porządek. Wykrzywiłam mu się wtedy brzyd-pani w szkole mówiła, że Niemcy są naszymi i, więc tato pasem nauczył mnie grzeczności. y się, gówniarzu, starszym będziesz wykrzy-A masz, a masz!

e pierwsze doświadczenie polityczne okazało się olesne, bo akurat wujek ułan z pułku na urlop aał i pas zafasował nader solidny, ale to było przed 1 września, teraz stary Nastał już Niem-e chwali, nawet dla Kazka papiery wariackie , bo Weronia Stańkowa w gminie się dowie-

wędrówek wiedział, że Niemcy głupawych nie zatrudniali, to pewno i Kazka nie wezmą na roboty. Dlatego z saksów wrócił wujek Staszek Bober, który nie lubił mówić, tylko słuchał i poniektórzy nazywali go przygłupkiem.

— Do roboty u szwagra — mawiał ojciec — to on nie przygłupek i do szarwarków też, bo Sawicki pan i sam nie pojędzie.

— Za to do tego, żeby mieć całą kurtkę, to głowy nie ma — dodawała Babcia, która już po raz pięćdziesiąty albo setny ścibiła kapotę, daną wujkowi przez Sawickiego, żeby ją wreszcie zdarł do reszty.

Kapota nie chciała się zedrzeć.

— Tak, tak, przecież to sukno jeszcze za cesarza Franciszka zrobili — podziwiała Babcia, klnąc w żywy kamień igłę, bo stałe w ręce kłuła.

— A zarazo, gdzie to w palce leziesz, ty przeklętnico obmierzała!

Teraz mój palec, choć powinien być czysty, bom wylała nań całe wiadro wody, zsiniał, spuchł, wygląda jak główka gałgankowej lalki. Ubiorę go jak lalkę w bławatki, uplotę z rumianków wianek, ale nie da się ułożyć na liściu jak w łódeczku, bo przecież wyrasta z dłoni.

Po raz pierwszy zrozumiałam, że palec łączy się z dłonią i nie da się od niej oderwać. I dłoń taka jakaś nieswoja. Dlaczego w szkole trzeba mówić: dłoń, a Babcia nazywa ją grabą? — Tak mi graby zgrabiały...

Zawzięcie macha rękami, przytupuje, ręce ma sine, kręci się w kółko, wokół niej pełno śniegu i słońca.

Słońce to nie tylko ciepło. Teraz jest upał, przeżroczyście wiruje powietrze, a przecież jest tak lodo-

wato, jak kiedyś, gdy zamknęli szkołę. Wszyscy wiedzą, że szkoła ma być zamknięta, 42 gradusy mrozu, nie wolno puszczać dzieci na pole, Szubina mówiła, że skostnieją.

Tak powiedziała Babcia, ale matka poszła do świ-
ni, bo coś niedomagała, zostałam sama, bo inne dzieci
wyrywały sobie koc na kanapie. — Mnie zimno, i mnie,
i mnie... Najgłośniej krzyczała Janka, ale jej uciszać
nie mogłam, miała wyjątkowe prawa: jej nie wolno
było ani karcić, ani poszturkiwać czy bić.

Nogi na ziemi zsiniały z zimna. Buty. Pod maszyną
stały ślubne cholewy ojca, sięgały prawie pachwiny.
Ubrałam je, zarzuciłam na plecy pled Babci, sięgał ko-
stek u nóg, teraz na pewno nie będzie zimno, Babcia
twierdziła, że pled jest jak piec, tak mocno grzeje.
Krzyk dzieciarni przepełniał izbę i podwórkę, wy-
mknęłam się z domu.

Teraz zapadam po nos w zaspach. Nos nie chce
przepuścić powietrza, wytrzeszczam oczy, bo parzą,
jak przykrywam je powiekami. Jeszcze jedna ścieżka
do rzeczki, jeszcze mostek. O! Tu już szli ludzie, dróż-
ka przetarta, idzie się znacznie łatwiej, pod pachą grze-
ję zeszyty. Nie będą zimne, gdy je otworzę. A tam
dodawanie, odejmowanie, dzisiaj pewnie znowu będzie
mnożenie. Ale najtrudniejsze jest dzielenie.

Właśnie. Jak podzielić jedne buty pomiędzy całą
naszą czwórkę?

Zwykle pierwsza dostaje buty na zimę, bom naj-
starsza i największa, potem noszą je mniejsi.

— Zasznujesz buty, chodząc boso. A jak się za-
hartujesz! Jaka będziesz zdrowa! Nigdy nie zachoru-
jesz, takie zdrowie zdobędziesz! Od marca do grudnia
nawet można chodzić boso, jak mroził skórę pokłuje,
to dopiero nogi się rozgrzeją, cały reumatyzm znisz-

czy. — Noś je w rękach, a ubieraj przed samym kościołem, wtedy buty i na trzy lata starczą — pouczali przy okazji kupna owych butów i Babcia, i ojciec.

Jestem już za rzeką, na Podwału. Mówiono, że takie zimno, a mnie jest ciepło, do szkoły już niedaleko, pani pochwali, że ładnie napisane. Trudno pisało się leżąc na chlebowym piecu, podniesiesz głowę i już powała, ale tam nikt inny nie wejdzie, jak ty jesteś. Możesz nie tylko pisać, ale i czytać, i rysować, i usypiać szmacianą lalkę w papierowym łódeczku, i na wszystko patrzeć z góry. Czasem, jak palą na obiad pod kuchnią albo pieką chleb, na piecu jest za gorąco, wtedy zsuwam się na sam jego brzeżek, on zawsze chłodny.

Już szkoła. Furtka w ogrodzeniu otwarta, ale brama zamknięta.

Strzepuję buty ze śniegu, trochę mokro w środku, pewnie z zasy py przedostało się co nieco za cholewy. Kark także mokry, za ciepła Babcina chustka?

Zaraz bramę otworzą. To dobrze, że przyszedłam pierwsza. W klasie przez chwilę będę sama. Oglądnę kącik czystości i obrazy Stryjeńskiej.

Dziś wiem, że ściany klasy ozdobiono reprodukcjami obrazów malarki, opartych na tematyce góralskiej. Ale wówczas te obrazy były jak ruch, jak błyskawica, jak coś, co tnie przestrzeń, choć nie jest piłą. Świat ognia, który nie pali, choć pali, i wody, która już, już się poleje, a niczego nie zaleje, i gór, których nigdy nie dosięgniesz, bo coraz wyższe i wyższe.

Moje pierwsze zetknięcie z malarstwem. Kiedy pytałam pani, jak to się wszystko tak dzieje, powiedziała nie tylko mnie, ale całej klasie, że pani Stryjeńska osiąga takie efekty, bo maluje na szkłe.

Mróż też maluje na szkle. Zima objawia się nie tylko miękką albo tysiącbarwną białością śniegu, także wzorzystymi, oszronionymi szybami.

— Widzicie, jakie nam palmy na oknie wyrosły?

— Czy to wielkanocne, Babciu, przecież do Wielkanocy jeszcze daleko, dopiero adwent...

— Powiedziała, co wiedziała, filozofka! To nie żadne wielkanocne, to palmy z Hameryki, tam widziałam takie.

— A po coś jechała do Ameryki, Babciu?

— Za twoim dziadkiem, niecnotą. Tyła dzieciaków zostawił i ani dolara na nic nie przysłał, marniały dzieciśka, a teść, znaczy się twój pradziadek ciągle wykrzykiwał: wont, za chłopem jedź, babo, bo ci dzieciśka chował nie bede...

— I znalazłaś dziadka, Babciu, wiedziałaś, gdzie go szukać?

— A gdzie znajdziesz chłopca? Pod traktiernią, choćby to było w samej Filadelfii.

— A skąd wiedziałaś, Babciu, że to on?

— Ludzie powiedzieli. Zrzygał się jak świnia i leżał jak nieboskie stworzenie pod restaurantem.

Leżeć jak nieboskie stworzenie, o! to bardzo źle.

Wujek Janek tak legiwał na śniegu, kiedy wracał z kawalerki i z tego suchoty wlażyły mu w nogi.

Wujek Janek — moje pierwsze, męskie olśnienie. Wysoki, silny, zgrabny, prawdziwy Janosik, miał oczy jak niebo pogodnym rankiem i włosy jak pszenica.

— Taka najśliczniejsza, na Dziale, tuż pod debrzą, ale z niej będą pierogi, żeby tylko szczęśliwie zżuć i zwieźć za pogody...

A jak teraz będę zęła, kiedy palec taki siny i dłoń nie moja?

Sama matka da rady? Zzęłam ledwie z dwadzieścia snopków, a przecież matka obejmowała trzy czwarte zagona, a ja tylko jedną czwartą.

Teraz tak mi zimno, jak było pod szkołą, kiedy bramy nie otworzono, nikt poza mną nie przyszedł, tylko pani kierowniczką wyszła ze swego mieszkania i powiedziała:

— Wracaj, dziecko, do domu, szkoła z powodu mrozów będzie przez tydzień zamknięta. — Zaczekaj — dodała, gdy się posłusznie poderwałam, bo siedziałam na schodach — zaraz ktoś pójdzie na Borkówkę, to cię odprowadzi.

Nikt nie nadchodził, pani kierowniczką marzła, nos się jej zrobił taki fioletowy, jak u króla Chrobrego z portretu, powiedziałam, że droga do domu nie najgorsza, ludzie już ją przetarli, w zaspach nie ugrzęzę.

— A co na zadanie?

Pani kierowniczką spojrzała na mnie raczej nieprzytomnie, od razu wiedziałam, że nie należało zadawać takiego pytania, poderwałam się do marszu, ale frędzle przydługiego szala przywarły do kamienia. Szamotanina. Biedny pled Babci, nie ma paru frędzli, bo się oderwały, ale będzie awantura! Jak jej uniknąć? Wiem: przeczytam jej żywot świętej Genowefy. Buf-fallo Billa nie rozumiała, wydawał się jej świętokradczy, ale nad żywotem świętej Genowefy, tak okrutnie niesłusznie posadzonej i zniesławionej, łkała i Babcia, i wszyscy przygodni starsi i młodszy słuchacze. Czytająca tylko musiała być opanowana, bo inaczej wszystkie słowa utonęłyby w powszechnym szlochaniu.

— Może byś się wreszcie wzięła do roboty!

Ruszam niemrawo ręką z okaleczonym palcem. Muszę ząć! Muszę być silna jak taki Rzymianin, który

spalił rękę, ale nie ustąpił ze swego, pracował mimo bólu. I ja nie mogę być słaba! Raz mi zimno, to znowu gorąco, ale już kilka snopków stoi za mną. Kręci się w głowie, ale to nawet przyjemne. Ach! Jakie wspomnienia są szprotki!

Szprotki były w sklepie Małki, matki Ryfki, koleżanki z klasy, czasem poczęstowała na przerwie bułką ze szprotkami. Napis nad sklepem głosił: towary kolonialne. Kolonie są ważne, wszystkie wielkie państwa powinny mieć kolonie. Polska będzie mieć kolonie, jak wykupimy Murzynka. W tym celu i ja, i inne dzieci zbierały wszystkie złotki z choinkowych cukierków i czekoladek. Wyglądałam je paznokciem, oddawałam w szkole. Murzynek będzie Polakiem. To znaczy ułanem z obrazka i piosenki:

Świeci miesiąc na niebie,
puść mnie Maryś do siebie.
Jakże ja cię wpuścić mam,
kiej ja biedna, a ty pan?
Po czym żeś mnie poznała,
żeś mnie panem nazwała?
Poznałam cię po kroku,
po szabelce u boku.
Poznałam cię po mowie,
po czapeczce na głowie...

A teraz świeci słońce, dalej zimno i gorąco, ale coraz bliżej matki, za mną sporo snopków, nie wiążę ich, boli palec. Skończymy do czwartej. Krowy wyjdą na łąkę dopiero o piątej, sama muszę je tam zaprowadzić. Babcia szuka pokrzyw dla świni, ojca nie ma, teraz stale jeździ wozem pełnym snopów zboża, młodszy jeszcze nie radzą sobie na pastwisku, nawet powroza w rączkach nie utrzymują.

Chwila odpoczynku. Matka ogląda palec:

— Nic ci nie będzie, musimy kończyć.
Na pewno skończymy.

Znowu strzały. Pojedyncze, dobiegają zza lasu. Tam właśnie są Łazienki.

Teraz już nie ma nic prócz zboża przede mną. Ruch lewej ręki, zamach prawą, na moment prostuję grzbiet, las coraz bliżej, żyta coraz mniej, jeszcze pasemko, ostatnie żdźbła.

Znowu przy studni myjemy twarze. Są czerwone, pod wodą blakną. Przed nami droga powrotna. Milczymy. Wiadomo, jaki będzie dalszy ciąg dnia.

Jestem przeraźliwie głodna i zmęczona, ale nie ma o czym mówić. I tak wszystko „od żołądka”. Te same dróżki i ścieżki, byle prędzej do domu. Słońce coraz niżej, późno, chyba zbliża się piąta godzina. W sieni zostawiam sierp i hajda z dwiema krowami na Duplągówkę. Palca nie czuję, zdrętwiał, cała ręka niewładna, pełna widać kwasu mlekowego, drugą z trudem utrzymuję powróz.

— Rozwinęła ci się. A mówiłam, żebyś przewiązała nadgarstek szmatką.

Wiadomo, że jak coś boli, to tylko z mojej winy. Nie zawinęłam, nie przewinęłam, nie wzięłam, nie dałam... Całkowita ze mnie ofierma. W wojsku to bym na pewno stale stała pod słupkiem.

Co to znaczy stać pod słupkiem?

Mogę myśleć, krowy głodne, pasą się zachłannie, żują niespiesznie, coraz bliżej debrzy i zarośli z malinami, dziś dalej ich nie pogonię, słońce zniża się ku zachodowi...

— Jak w wojsku coś przeskrobać, to stawiają pod słupkiem. Stoisz, a tu upał albo deszcz, albo mróz, albo

śnieg, ale ruszyć się nie wolno, bo wtedy paka albo i co gorszego.

— Czy długo się stoi?

— Może być godzina, dwie, trzy, doba albo i dwie...

Kocham ruch. Dwie doby stać na jednym miejscu? Dwa dni i dwie noce? Jak to dobrze, że nie będę żołnierzem, bo noszę sukienkę. Ale nie mogę też być ułanem, a Julek od Szubiny może.

Pierwsza niesprawiedliwość. Jeśli on może, dlaczego ja nie mogę? Już zapomniałam, jak się cieszyłam, że nie będę stała pod śłupkiem.

Teraz najważniejsze, skąd wzięły się tamte przedpołudniowe strzały. Partyzanci? Zwykle strzelają w nocy albo wczesnym świtem, albo późnym wieczorem, zawsze z ukrycia. Czyli strzelali Niemcy albo granatowa policja. Dlaczego granatowa? Pani opowiadała na geografii, że w egzotycznych krajach rosną drzewa i rodują owoce nazywane granatami. W wojsku i ojciec, i wujkowie rzucali granatami, trzeba z nimi obchodzić się ostrożnie, bo lubią wybuchać w ręce. To broń. W szkole obowiązywało uczniów noszenie granatowych chałatów, a w gimnazjum też granatowych — mundurków. Czyli to kolor. Ale policyjne mundury są i w kroju, i w odcieniu inne, niż nasze uczniowskie fartuszki i mundurki gimnazjalne. A zatem granatowa policja to nie tylko barwa munduru, to coś więcej, bo i ojciec, i sąsiedzi spluwają, kiedy mówią: ten granatowy. Znaczy coś złego. Ale przecież pani w szkole mówi, że pan policjant broni prawa, chroni przed złodziejami, rabusiami, zbrojcami.

Zabić człowieka to najcięższa zbrodnia. Ale teraz na wojnie ginie tylu ludzi, i nie tylko na wojnie — ilu potrzeba by policjantów, aby każdego zagrożonego

uratować od śmierci? I dlaczego ludzie, tacy jak mój tato i sąsiedzi, którzy nie tylko nie zabijają, ale nikomu nic złego nie czynią, boją się granatowych?

Zbliżam się z krowami do najgorszych wertepów na Duplagówce.

Tu ciągle mokro, woda w największe upały nie wysycha, chłodno, trawa ma ciemnozieloną barwę, musi być soczysta, ale krowy jej nie chcą. Omiijają dorodne kępy.

Babcia mówi, że kępy urosły na gównie. Takich słów nie wolno używać w szkole, chłopców stawia się za to do kąta, dziewczynki raczej ich nie wypowiadają, toteż w kącie rzadko stoją, chyba za skarżenie. Pani Froniowa nie lubi skarżypytów.

— Skarżypyta w kącie stała, bo nic nie robiła, tylko skarżyła!

Skarżyć nie wolno, oddać, gdy cię ktoś uderzył, też nie wolno, dlaczego tak wiele nie wolno i co w ogóle wolno?

Jesteśmy w niewoli, niczego nie wolno. A przecież wiele rzeczy też było zakazanych, gdy byliśmy wolni, to znaczy Polska jeszcze nie przegrała we wrześniu.

— Przegraliśmy wojnę — powiedziała wtedy Babcia — panowie nas sprzedali.

Byliśmy z Babcią na Krzemionkach, na ściernisku pasłyśmy krowy. Popołudnie ciepłutkie, ja w samej koszuli, Babcia w koszuli i spódnicy. Z megafonu ustawionego na Rynku aż tu dobiegały słowa:

— Uwaga, uwaga! Nadchodzi...

W szkole mówiono, że wtedy trzeba uciekać do schronu. Ale na Krzemionkach go brak, Babcia spokojna, krowy się nie gżą, choć na ściernisku nie za

wiele paszy, grzmi tylko z daleka. Babcia objaśnia, że to pewnie armaty.

— Tak, tak, wnusiu, jużem takie armaty słyszała, jak była pierwsza wojna.

Tylko niebo się nie zmienia, ciągle niebieskie jak Babcine oczy.

Ale po grzmotach, jakby od Krosna, pojawia się ogromna chmura dymu pomarańczowo podbarwiona. Zza niej wyłaniają się małe punkciiki, już widać pierwszy, drugi, trzeci samolot. Zmierzają w naszym kierunku, rosną w oczach, są coraz niżej, na skrzydłach czarne, łamane na końcach krzyże.

— To germańskie skurwysyny!

Nigdy nie słyszałam takich słów z ust Babci, nigdy nie widziałam jej w takiej złości.

Samoloty tuż nad nami, przecież pasłyśmy na wzgórzu, Krzemionki to spora górka. Lśnią w słońcu szyby, za nimi majaczą głowy pilotów w okularach, jeden zniża się tuż-tuż, spod kopy zboża wzlatają grudki ziemi.

— Babciu, strzelają!

— W dupe mnie pocałuj, ty skurwysynu!

Babcia aż na głowę zadarła spódnicę, wypięła tyłek. Aż mi się gorąco zrobiło ze wstydu przed tą gołizną, skoczyłam za kopkę.

Babcia jedną ręką trzyma na głowie spódnicę, a drugą wygraża ogonowi samolotu:

— Bodaj cię nagły szlag trafił, bodajś szczeł na naszym niebie, bodaj twoje truchło święta ziemia wyrzuciła, bodaj cię bagno zadusiło, bodaj cię piekło pochloneło!

Samolot znikł za Działem, nad nas nadlatują dwa następne, już z daleka sypią ogniem z kulomiotów.

Krowy rozbiegły się, Babcia goni w moim kierunku, ciągle z zadartą do góry spódnicą.

— Antychrysty przekłete, Boga w sercu nie mają, co wam niewinna gadzina winna, żeby was...

Już w zbawczej kopce zboża Babcia się zmitygowała, spódnicę opuściła, szerokim krzyżem świętym zmasała obrazę nieba i moich niewinnych oczu. I zaraz, by ratować swój dorosły autorytet, podsumowała sytuację owym zwrotem o sprzedajnych panach. Bo — podejrzewam — choć zawsze była wesoła, nie lubiła być śmieszna, a w tym wypadku wyraźnie ją nerwy poniosły. A może i swoiste poczucie narodowego honoru?

Teraz jest niby to spokojnie, samoloty nie latają, tylko coraz mniej chleba, ciągle głodno, po nocach śni się jedzenie, które umyka sprzed ust, świnię i krowy ozdobiono koleczykami. Dyndają im śmiesznie w uszach, jeśli ponumerowali je Niemcy, to znaczy że i Krasula, i Lalka to nie nasze krowy, tylko germańskie. A jednak muszę je paść.

Ze złością szarpie łańcuchem, nawracamy, ściemnia się, pora do domu, krowy zapędzić do stajni.

Już jesteśmy niedaleko. Razem ze mną śpieszą inni pasterze, ale do naszego obejścia podąża i pan Baran, i Nastał, i wujek Jasiiek, i wujek Leń.

Myję nogi w brudnej wodzie, w tej samej umyła je już i Babcia, i matka, i bracia, wody szkoda, w studni jest jej coraz mniej. Pan Baran, i Nastał, i wujek Jasiiek, i wujek Leń siadają na kanapie, moje i rođenjeństwa miejsce na ławie, widać dzisiaj późno pójdziemy spać, dopóki goście nie zejną z kanapy. Czeka ją na ojca, kręca w gazecie samosiejkę, pała, pogadują o żniwach, pogodzie, jarmarku...

Matka wydoiła krowy, zlewa mleko, które jutro odda na kontyngent. My dostajemy po kromce chleba, kto chce, może się napić wody ugotowanej na wysuszonych obierzynach z jabłek znalezionych rano pod jabłoniami sąsiadów, bo my drzewek owocowych nie mamy.

Właściwy temat rozpoczął wujek Leń:

— To znaczy teraz wezmą się za nas.

Pilnie nadstawiam ucha. Teraz powinien nastąpić komentarz dnia. Na pewno dowiem się czegoś o strzałach.

— Fakt, że strzelali! Słysząc było aż pod biskupim lasem — potwierdził pan Baran.

Biskupi las okalał miasteczko z przeciwnej strony niż las, w którym były Łazienki, gdzieśmy dzisiaj z matką były na żniwach.

— Wiecie, jak to było? Od Rymanowa szedł Buczek, jak dojrzał w Łazienkach auta, cofnął się, zaszył w świerkach, nie dostrzegli go, jak opowiadał, lży mu ciurkiem leciały...

— Iiii, to nie po chłopsku...

— Tak się wam widzi? To posłuchajcie: na stadionie podzielili wszystkich na młodych i zdrowych, starych i dzieci. Pierwszych wsadzili na ciężarówki i powieźli w stronę Krosna. Pozostałych też wsadzili na auta i powieźli do Łazienek. Za ochronką Baudienst przez dwa dni kopał rowy, tu kazali wyjść, a że rowy wydały się im małe, stary Abram, Natanson i podrostki dostali łopaty, żeby je powiększyć. Dziesięcioletnie siksy też kopały. A potem Głowacki, Feldfebel, Hans, Rychter stanęli naprzeciw rowu i kazali czwórkami stawać na desce. Na środku salwą trach! Jak ci spadli, to następni, i następni, najpierw starcy, potem

staruszki, potem podrostki. Do dzieci nawet nie strzelali, tylko za nogi i główką o drzewo...

A moje koleżanki: Ryfka, Bajła, Małka, a koledzy: Icek, Szymek?

Rośnie we mnie krzyk — nie, nie e e! Ale muszę milczeć, kiedy mówią starsi.

— Buczek mówili, że rów jęczał ludzkim głosem, potem go we czwórkę zasypywali, ale ciągle się ruszał, a krew płynęła i płynęła, i rów dalej się rusza, choć już zasypany, nawet wapnem cały zalany.

Rwie palec, rwie ręka, czuję wszystkie włókna ciała, kołuje głowa i szumi, i już niczego nie chcę słyszeć, i nade mną ciemne oczy Bajli i kręcone włosy Ryfki, i strzał i strzał, i krew i krew, i całe morze krwi. Przeszły przez morze czerwone, przejdźcie szczęśliwie przez morze czerwone; dlaczego nie przyszły do mnie, skryłabym je na strychu, w dobrzy, w piecu, w brzegu, tam Niemcy nie chodzą, nigdy ich nie widziałam w lesie ani na pastwisku; to nieprawda, one nie mogą być w tym rowie, coś ty za Bóg, żeś ich nie uchronił, one uciekły, one jeszcze żyją, one wyjdą z tamtego rowu, to nieprawda, że tamci czterej pilnują, dlaczego Jankiel nie zabrał ich ze sobą, jego powieźli w kierunku Krosna, to nie może być, to nieprawda, nieprawda, nieprawda, były takie same jak ja, siedziały ze mną w jednej ławce, bawiły się w klasy, nie miały prawdziwych lalek jak ja, i bawiły młodszych jak ja, jak wszyscy, to ja też do rowu, do tamtego lasu, nie, nie e!

To ja umierałam w ów wieczór z Bajłą, którą być może zraniono tylko w palec, nim żywcem została zakopana w rowie-grobie.

Wszyscy, wszyscy otaczający mnie wtedy byli pewni, że zginą tak jak oni, ci z „kuczek” i ciasnych sklepików czy z warsztatów w suterrenach, że to tylko kwestia kolejności, jeśli nie będziemy się bronić. Tylko ci, którzy zginęli dzisiaj, wcześniej, żadną miarą nie mogli pojąć, bo i jak, że właśnie teraz staną na kładce rowu. Inaczej broniliby się tak samo jak my, jak przyciśnięci do muru w którejkolwiek świata stronie.

Codziennie wieczorem widzę opuchły palec Bajli — ten mój ze żniw — i codziennie, a raczej co noc z nią rozmawiam. Ona czarna i ja pszeniczna. Rówieśniczki, choć przecież niedługo stuknie nam kolejna dziesiątka. Tylko jam żywa, a ona martwa — jedynie dlatego, że urodziła się Żydówką. ¹

Zapomnieć... Niczego nie można zapomnieć, Babciu.

Dziś, gdy przeczytałam oficjalne wezwanie na kolejną kontrolę w Instytucie, pierwszą moją myślą było: zdążyć.

Nie tak jak do kolejki po masło, cukier, chleb, mięso, cytryny, banany, pomarańcze — lekarstwa i lekarzy, po zdrowie dla moich chorowitych dzieci. To — teraz oceniam — była zwyczajność. Nieważne, że trwająca ileś tam dziesiątek lat.

Teraz wiem, że muszę zdążyć z prawdą, z jej wypowiedzeniem. Tak jak Ty zdążałaś z milionem drobniaków, też do czegoś niezbędnych.

Pusta przestronność pokoju, jakże odległa i odmienna od owych dwu ciasnych izb, zamieszkiwanych przez tylu ludzi — doliczyłam się kiedyś aż dwunastu — tylko potęguje ową konieczność.

Wiem, że byłaś przekonana do rajskiego żywota,

wiecznego trwania w gronie aniołów w nagrodę za „sobacze” — jak mawiałaś — życie. Ale i ty, nie ustając w wysiłkach na rzecz jego polepszenia, wiedziałaś swoje, tak samo jak i ja. Dla skazanych nie ma zmiłowania. Co najwyżej ulga, jeśli potrafią sobie odpowiednio upiększyć wyrok. Upiększałaś go ty, czynię to i ja, choć na pewno w inny sposób.

Po prostu, odrobinę zmieniały się gusty w ciągu twego setnego i mego — półwiekowego nieomal życia. Choć nie ze wszystkim są one inne.

Grzeczne dziecko, gdy wstanie,
nie pyta o śniadanie.
Tylko rączki umyje,
buzię, uszka i szyję.
I uczesze się pięknie,
do paciorka ukłęknie.
Trzyma rączki złożone
i na żadną się stronę
nie ogląda, nie kręci,
bo ma zawsze w pamięci,
że Pan Jezus jest wszędzie
i za złe karać będzie.

Do dzisiaj jesteśmy zgodne z ustalaniem porządku porannego aż do wersu o paciorku. Bo raczej paciorkiem nie można nazwać układania planu dnia, przynajmniej w zarysach, bo, paradoksalne, ale w epoce planowania wszystko w moim życiu było improwizacją i takimż samym zdobywaniem podstaw egzystencji jak w twoim wypadku, Babciu. Tylko że umiejętność ustawiania się w różnorodnych kolejkach i plasowania w krzyżówkowych układach wymagała i wymaga od twojej wnuczki, Babciu, takiej inwencji, jakiej ty nie musiałaś wykazywać w twoim dziewiętnastowiecznym

świecie. A może i to jest przesadzone twierdzenie, jeszcze jedna hipoteza nie do udowodnienia?

Urodziłyśmy się chyba pod jedną gwiazdą: Oblędino. Wiem, że żadna gwiazda się tak nie nazywa, ale ileż podobieństw między nami odkrywam.

Nieważne, że jedną z nas tłamsiła bieda, a druga ołów. Taka sama bieda, tylko w innym kolorycie. Obydwie chciałyśmy być barwne. I słoneczne. I silne. I trwać na przekór wszystkiemu.

Ty trwasz i zmartwychwstajesz właśnie we mnie. Moje trwanie nie liczy się w określonym czasie i ustalonych formach. Ale wiem, że też będzie. Jak deszcz i wiatr, i śnieg nawet w połowie maja. I miłość. I nadzieja. I ciągły niepokój. I wieczny głód. I śmierć. I niepoznane. I...

Zdążyć, Babciu, zdążyć. Zdążyć do szkoły. To była moja najpierwsza sprawa w życiu.

O piątej wypędzałam krowy na pastwisko, już na łące myłam twarz w rosie, przed ósmą myłam nogi w potoku, szybko zamykałam gadzinę w stajni, porywałam przygotowaną wieczorem torbę z zeszytami i suchą skibkę chleba.

Żułam ją po drodze, która w zależności od pogody wiodła albo brzoźowym gościńcem — tak ją nazwałam, bo obsadzona była brzoźkami — albo wąskimi ścieżynami obok domów Młynarskich, Komskich, Kleczków, Szmydów — tak na skróty, gdy było sucho — potem przez most, obok Melechów, Kościńskich, Rogowskich, Kapiszewskich. Tuż stał kościół, a obok pobliskiej plebanii szkoła. Tylko ogrodzenie oddzielało ją od parku z kaplicą Królowej Polski i megafonami, skąd

wołano: Uwaga, uwaga, nadchodzi... albo rozbrzmiewała muzyka.

Szkoła: tam z sekundy na sekundę ogromniał świat.

Całkiem inny niż ten w domu, dokładnie oznaczony rytmem określonych działań: wstawanie, pacierz, śniadanie, pasienie albo karmienie domowych zwierząt, obiad, prace polowe, pasienie, dojenie, wieczerza, pacierz, spanie, modyfikowane przyrządzaniem paszy, paleniem pod kuchnią itp. zależnie od pór roku: wiosny, lata, jesieni, zimy, poznanymi od strony pracy długo wcześniej, niż padły wymienione nazwy, oczywiście nauczone w szkole. Bo w domu rok dzielił się inaczej. To było: Boże Narodzenie po adwencie, wielki post, czyli przednówek, Wielkanoc, Zielone Świąta, Matka Boska Zielna z odpustem, Matka Boska Siewna. Cała paleta barw: białość, zieloność, srebrność żyta, żółtość pszenicy, jesienne odcienie niezliczonych brązów, beżów, pomarańczy, różnorodnych zieleni. Do tego dochodziły zapachy, smaki, głosy.

W ogóle byłem wtedy ogromną gąbką wchłaniającą wszystko, co mnie otaczało. Kolor błyskawicznie kojarzył się z zapachem, zapach ze smakiem...

Otoczenie było bardzo zróżnicowane. Wzgórze, nad którym górował ratusz, wieża kościelna i wieża straży pożarnej, ciasno oblepiały parterowe domki niby jaśkótcze gniazda — przed nim w dolinie rozpościerały się luźno zabudowane przedmieścia z sadami i aż po lasy na horyzoncie rozciągającymi się polami na mocno pagórkowatym terenie — stale zmieniające się barwy tych pól kontrastowały z milczącymi, zwykle chłodnymi lasami. A wszystko to zawsze trwało w ruchu. Na polach stale śpieszące się grupki przy żniwach, wykopkach czy innych zabiegach gospodarskich, w miasteczku w poniedziałki kolorowe, głośne jarmarki,

zawsze spory tłumek wiernych wokół kościoła. Tylko szkoła wydawała mi się niezmienna w ustalonym porządku: przerwa, lekcja, lekcja, przerwa. Zwarta grupa klasy, w której każdy miał swe ustalone miejsce, określony stopień w hierarchii.

W szkole po raz pierwszy zrozumiałam, że jestem Anną Nogajówną, zapisaną w dzienniku pod numerem czteremastym, posiadająca zeszyty szkolne nr czternaście, ze świadectwem nr czternaście. Stałam się kimś, określoną osobą, nie podporządkowaną wymogom gospodarczo-domowym, którym nie zawsze mogłam sprostać, wobec czego niewiele w domu znaczyłam. W szkole nie liczyła się moja słaba sprawność zniwna, pasterka, siła przy rżnięciu sieczki i dźwiganiu cebrzyków. Natomiast bardzo wiele znaczyła pamięć, bystrość, orientacja, zdolność uczenia się, inteligencja, pilność i obowiązkowość, ambicja.

No i postanowiłam być w szkole jak najlepsza. Wiadać już taka moja natura: stałam się uczennicą całą sobą, w pełnym zapamiętaniu: wszystko przestało się dla mnie liczyć prócz szkoły. Oczywiście, z miejsca wpadłam w konflikty z rodziną. Stałam się krnąbrna, nieposłuszna, bo w żaden sposób nie mogłam pojąć, że gdy są wykopki, to nie należy iść do szkoły, że ważniejsza młócka od odrabiania lekcji itp., itp.

Takie zapamiętanie stanowi zapewne jakąś moją cechę konstytutywną. Prawdopodobnie nią pragnę uświadomić sama sobie, dlaczego w żaden sposób do tej pory nie mogę opanować sztuki kompromisu.

To pewnie znowu ty, Babciu, tkwisz we mnie uparcie. Niezbyt pochlebnie nazywano cię czarownicą — taką, co to zauroczy, krowom mleko odbierze, nieszczęście mściwie sprowadzi... Mimo tego uparcie nie prze-

stawiałaś grzebać się w zielarstwie, mruczeć nad wszystkim, co zachorowało, i wyczyniać różnych gestów nad chromającym ciecią, psem, kotem czy wnuczęciem, czy słabowitym niemowlakiem sąsiadów. Mamrotałaś aż do skutku, czyli do chwili, gdy cieć zaczynało chleptać siarę z twojej ręki, kot przeżył grzbiet, pies machał ogonem, wnuczeta czy słabowite niemowlaki zaczynały zdrowo wrzeszczeć. Ten wrzask mnie raził, ale ty siadałaś wtedy radośnie na brzozowej miotle i niby zamiatając, zaczynałaś opowieści.

Jasne, że o mamonach.

Ilekroś jeszcze teraz wejść w głębszy wąwóz, tylekroć nie mogę opanować pokusy, by nie dotknąć każdego dołka obok rozchodnika czy macierzanki. Zapach wierci w nozdrzach, aż cierpko od gorzkości wydzielanej przez rozchodnik czy piołun, ciepło, drżą pasemka powietrza.

Otwierają się szczeliny wąwozu, w głębi ziemi jakby majaczą postacie: są to przeważnie zarysy dziewczęcych sylwetek, jasnych jak choinkowe anioły. Ale Babcia twierdzi:

— Mamony nie są aniołami. Nigdy nie wiesz, czy one dobre, czy złe. Czy zaprowadzą cię do splątanej debrzy, czy do domu. Czy uśpią cię wywarem i całkiem wtedy zasłabniesz, czy też staniesz się okropnie silna, kiedy się czegoś od nich napijesz. Musisz być z nimi ostrożna! Najlepiej zawołaj, jak się która pojawi. Już ja się z nią dogadam. Idę żać na tę górkę.

Teraz wiem, że Babcia chciała, aby się nie ruszać z wąwozu. Chłodniej tu niż wśród żętego żyta czy pszenicy, do wąwozu rzadko kto zagląda, a na mamony można czekać godzinami i nie ruszysz się z miejsca, bo skąd możesz wiedzieć, czy one dobre, czy złe i kiedy się pokażą? Jak będziesz grzeczna i posłuchasz

Babci, mogą cię czymś wspaniałym obdarować. A może i coś dadzą do zjedzenia?

— Widzisz, to poziomki. Zbieraj i zjadaj. Ale czerwonej wilczej jagody za nic do gęby nie bierz! Bo mamoną ją podsuwa, widzisz, jak ją ślicznie ubarwiła! Ale gdybyś jej dotknęła, a Broń Boże, zjadła, tak cię brzuch rozboli, że niechybnie umrzesz, jak po truciźnie.

Nie chcę umierać. Nie chcę umierać tak długo jak Wojtanowska.

Jestem winna jej długiego konania. Tak, ja. Wojtanowska była pierwszą w moim życiu osobą, która posadziła mnie niesłusznie o złodziejstwo.

Wyrywanie czegokolwiek z ziemi sąsiada albo zabieranie warzyw czy owoców z jego ogrodu to złodziejstwo! Rzecz tak straszna, że w każdej chwili mógłby się nad moją głową zawalić sufit albo pochłonięłaby mnie chmura pełna piorunów, albo momentalnie trafiłby we mnie szlag i już nigdy nie zdołałabym nikogo przeprosić, by za swoje grzechy zyskać przebaczenie. Wiecznie smażyłabym się w piekle.

Wiem, co to znaczy się smażyć albo żywcem ugotować. Moja ręka i pupa tak się właśnie ugotowały we wrzącej wodzie odcedzonej po kulkach z surowych tartych ziemniaków. Do dzisiaj mam starą prawą rękę od dzieciństwa pełną zmarszczek, bo po owej nieprzewidzianej kąpieli zmieniła się w ogromny balon, i gdyby nie ksiądz dobrodziej z klasztoru w Starej Wsi, nie poszczególne palce bym miała, ale zrośniętą białą błonę, jaką na oczach noszą ślepcy, i nie mogłabym pisać ani w ogóle używać do czegokolwiek ręki, a jak żyć bez ręki? Pupa też zmieniła się w nabrzmiały białym płynem bąbel, ale skóra zeszła z niej razem z koszulą i przynajmniej pupę mam bez blizn.

A wtedy Wojtanowska powiedziała ojcu, że zrywała ogórki w jej ogródku razem z Kazkiem Nastalem. Dopadła go z tą nowiną, kiedy wyjątkowo wcześniej wrócił z pola.

Bawiłam się akurat kamieniami nad rowem, przywieziono kilka wozów, bo trzeba było załatać dziury na gościńcu. Teraz leżały na kupach, wybierałam spośród nich najładniejsze, najgładsze, chciałam ułożyć obrazek, jaki ksiądz pokazywał chodząc po kołędzie. Były też kamyki kolorowe. Dzieciatko będzie miało różową buzię, ułożę je w białym łódeczku, zamiast pierzyną okryję mchem, takim zielonym, trochę rudawym. Dobierałam najodpowiedniejsze kamyki, kiedy stanął nade mną ojciec z szerokim, wojskowym pasem:

— Ty cholerna zarazo, ty świński pomioście, ty złodziejska wywłoko! Cudzych ogórków ci się zachciało, nie nażarłaś się rano chleba? Już ja cię oduczę sięgać po cudze! A masz, a masz!

Wszystkie kamienie lecą z rąk, czerwone pręgi na nogach, plecach, głowie. Piekący ból i znowu razy pasem, i jeszcze, i jeszcze, już nic nie widzę na oczy, uciekać, uciekać przed tym wściekłym pasem. Jest jak żywy ogień, tnę po łydkach, gołym tyłku, po rękach przesłaniających czoło i oczy, tonę w słonej wodzie nieustannie ciekącej ciurkiem po twarzy, krzyczę i uciekam, ojciec za mną, znowu ten pas...

Wiem, że dzieci są niedobre i trzeba je karać, z nieposłusznych nawet skórę żywcem można zerwać, bo to dla ich dobra.

Ale o jakie ogórki chodzi, nigdy nie byłam w ogrodzonym ogródku Wojtanowskiej, nie wiem, gdzie ona sadi ogórki, w ogóle dziś nie spotkałam nigdzie Kazka.

Nie mogę patrzeć na schludną zagrodę Wojtanowskiej naprzeciwko naszego domu. Ilekroć spojrzę, bo muszę, nie mogę mieć stale zamkniętych oczu, znowu połykam słoność i gorzkość, znowu i znowu.

— Znaczy, niesłusznie cię posądziła!

Babcia zmywa skórę zimną wodą, trochę mniej piecze, ale moja mokra twarz wciąż tonie w jej spódnicy.

— Jak cię tam nie było, to spokojnego skonania mieć ona nie będzie!

To już pewna pociecha. Jeszcze chlipię, ale wiem, że stara Wojtanowska spokojnie nie umrze. Strasznie tego chcę!

Pierwsza reakcja na niesłuszny sąd o sobie, pierwsza niesprawiedliwa kara, pierwsza wiara w wyższą sprawiedliwość za przyczyną Babci, która, nie wątpię, jest w stanie ją (to znaczy sprawiedliwość) na Wojtanowską sprowadzić.

I rzeczywiście.

Przez parę następnych lat rzadko spoglądałam w stronę najbliższego sąsiedztwa, to jest zadbanego domku i ogródka Wojtanowskich, ale reagowałam wewnętrznie na wszystkie wieści o jego mieszkańcach, docierające do nas za przyczyną ciotki Minki, „największego myjaka, jaki nosiła święta ziemia”.

Z początku naiwnie myślałam, że mowa o szmacie służącej do zmywania naczyń.

W pewnym momencie uświadomiłam sobie jednak, że przenosiła tyczy pospolitego plotkarstwa.

Wtedy mianowicie, kiedy ciotka Minka zaczęła opowiadać, jak Milka, synowa Wojtanowskiej, za sprawą teściowej musiała uciekać do Turzego Pola, do swojej rodziny, bo...

— ...Stasiulek widzi tylko, co mu mama każe, Milkę

ma za nic, a to przecież nie jej wina, że jałowa, wiedział, kogo bierze, a starej się nagle wnuka zachciało, choć dziecko nigdy nie lubiła, mojemu Stefkowi to skórki chleba nie da, ale za to jej świnię świąteczne ciasto zjadają na obrazę ludzką i boską.

— Bo też, Minka, choćbyś placka z ziemniaków Stefkowi upiekła, a nie po ludziach ciągiem latała i w garnki wszystkim zaglądała.

Babcia przecięła ciotczyne ploty, bo sama raczej się nimi nie zajmowała, wołała np. oglądać twardestój — co to z każdego reumatyzm wyciągnie — i o nim godzinami mówić, niż słuchać tego, co też Minka Guzkowa z okolicznych domów znieśie.

— Jak ci ktoś o innych opowiada, nie słuchaj, bo jak się tylko plecami odwrócisz, to on zaraz tobie dupę jeżorem umyje...

Nie bardzo to sobie wyobrażałam, bo przecież grzech gołą pupą świecić, a co dopiero pod cudzy język je nadstawiać, ale Babcia — zrozumiałam to dopiero później — wiedziała swoje.

To jej zawdzięczam, że nie lubię plotek, że nieufność wzbudzają we mnie ludzie, których główną cnotą towarzyską jest zabawa kosztem nieobecnych bliźnich. Zapewne dlatego Zenek, w czym nie był odosobniony, uważał mnie za antytalent towarzyski. Ten brak, po głębiej spóźnionej reakcją na swobodne dowcipy, nazwano wnet ponuractwem. Stało się ono podstawą za bawnego skeczu satyrycznego poświęconego mojej osobie w początkach zawodowej kariery, do której to nie potrzebnie się pięłam z rodzinnego zadupia, stwierdzając, gdzie byłabym na pewno na najwłaściwszym miejscu.

Możliwe, choć gdybanie — tak nazywam bezpłodną spekulację na tematy, co by było gdyby — bez liczy

nia się z faktami dokonanymi, wielu pomieszało jasność oceny. Skrupia się to przede wszystkim na nich, utrudniając życie, głównie zaś czyni z nich słomiany wiecheć, kierowany w coraz to innym, nader często przeciwnym kierunku, zależnie od wiatru, który przecież wieje, nie pytając nikogo o pozwolenie.

Babcin twardostój nigdy się pod wiatrem nie ugiął. Rósł zwykle na najbardziej łysych pagórkach, wystawiony i na słońce, i na słoty, na najcięższe mrozy, gwałtowne burze i długotrwałe roztopy, i latami na te wszystkie zmiany nie reagował. Zawsze w określonym dniu jesiennej pory mrugał niebieskimi kwiatkami, kiedy go Babcia ścinała wyostrzonym specjalnie nożem i wrzucała do pachnącego zielem worka. Wysuszony pod zadaszeniem, wrzucony potem do wody dawał jej brunatny odcień i ożywczy zapach. Przyjemne były cotygodniowe kąpiele w balii, używanej zazwyczaj do prania, które miały nasze organizmy przygotować do zimy, to znaczy uchronić je przed reumatyzmem.

— Bucią! wam nie kupię, wszystkie pieniądze trzeba dać na podatki, ale nawet jak w szmatach na śniegu przyjdzie wam chodzić, nic się nie stanie waszym kościom. Trzeba kochać twardostój, bo Pan Jezus go stworzył dla chorych i biednych.

— Czy tak kochać jak tatę, mamę i ciebie, Babciu?

— Jeszcze bardziej, bo my przeminiemy, a twardostój zawsze znajdziesz na Bodzioszynie polu.

— A Wojtanowskiej on pomoże?

Od paru dni Wojtanowska zaniemogła, nie wychodziła z domu.

jest tylko troje dzieci, może Hanka nas weźmie, może Julek, gorączkowo szukam wolnego kącika. Jest! Jan-ka krzyczy, żeby siadać, a Edek tak patrzy, tak pa-trzy, jeszcze trochę pocisnąć siedzących przed nami, Edek siądzie za mną, miejsca odrobina, ale on taki malutki. Siadł. Za chwilę pełno śmiechu, bo Julek nie umie kierować, ktoś z przodu spadł, teraz już wszyscy szorujemy śnieg jednym bokiem, jedynie Edek upadł główką. My już wstajemy, on na sankach pozostał sam, zaczepił nóżką o łożę, jedzie dalej, na lodzie jego gło-wa bez czapki skacze tak śmiesznie, biegnę, by go pod-nieść, stoi już i się śmieje, choć widać boli go coś, idąc utyka.

Otrzepujemy śnieg z siebie nawzajem, będzie w do-mu awantura, ojciec nie pozwala jeździć na sankach, bo niszczeje odzienie, psują się buty. Nie posłuchałam ojca, za karę Edkowi coś stało się w nogę. Babci po-wiem, że to na sankach, ale zjechaliśmy tylko jeden jedyny raz, butów nie zamoczyliśmy, nie bardzo się zniszczyły, może nie będzie bicia?

— Pokaż, Edziu, nóżkę, zaraz nasmarujemy...

Babcia ma dobry humor, natarła nogę Edka lilio-wym spirytusem, przewiązała na noc szmatą.

Nazajutrz Edek tylko podskakiwał, już nie bolało, wołał:

— Chodźmy na sanki!

Ale ja jakoś straciłam ochotę na sanki, powiedzia-łam, że możemy najeść się śniegu. Jest tuż pod pło-tem, czyściuteńki. Śniegu nikt nie zabraniał jeść, Bab-cia mówiła, że to taka manna, która ocaliła przed gło-dem cały naród Izraela. Ponoć z początku nie mia-no na nią ochoty, bo nie miała określonego smaku. Śnieg też nie ma smaku jak manna, ale mnie smaku-je, Jance smakuje, Edek wpycha go do buzi gar-

ściami. Zarumieniony, nie czeka na kolację, zaraz kładzie się spać, wprost bucha od niego gorąco. Czuję to, przecież śpiimy w jednej kanapie.

— Babciu, zjedliśmy śnieg na kolację. Śnieg był zimny, dlaczego Edek taki gorący?

Babcia przerywa wieczorne pacierze, dotyka dłonią Edkowego czoła.

— Helka, chłopcu pewnie coś jest, taki rozpalony...

Matka nie ma głowy na takie sprawy. Zamieszanie w domu od południa, wieprzek zachorował. W południe już nie chciał żreć, wieczorem całe żarcie stratawał. Ojciec chodzi jak struty. Liczył, że za wieprzka kupi żyto na siew, co to ma go zasiać w przyszłym roku na Dziale.

— Zaprzegaj, Michał, trza jechać po Giermańskiego, nie da rady.

— A bo on teraz przyjedzie?

— Ty jesteś na każde jego zawołanie, w tym tygodniu już ze trzy razy z nim jeździłeś.

— Jedź, Michałku, jedź, pan Giermański dobry, nie zostawi biedaka w potrzebie...

Babcia wpada w rozwlekły, lamentujący ton.

Nie lubię takiego lamentu, właściwie nie wiem, czy jesteśmy biedakami, czy też gospodarzami. Nie umiem rozeznąć się rzetelnie w położeniu majątkowym rodziny. Opinie starszych, jak zauważyłam, są różne i czasem zupełnie sprzeczne: ciotka Guzka jest biedna. Ale gdzie tam biedna! To fiejtuch i niedorajda, własną córkę oddała babce, bo się jej koło tej córki robić nie chciało... Wujek Bober biedny. Biedny, bo głupi, taki majątek miały Bobry, a on u Sawickiego, znaczy męza siostry, jest za parobka, nawet na własną kapotę go nie stać. Wojtanowski biedny — pola to on nie ma,

ale za to popłatny fach, a i Milka, jego żona z Turzego Pola, niemały grosz w posagu mu wniosła.

Zatem właściwie nie wiadomo, kto naprawdę biedny.

Bardziej stałe sądy otoczenia tyczą tych, którzy są bogaci.

Tu występują opinie jednolite, choć, powiedziabym, podejrzane moralnie. Bo to: Draguła bogaty, ale drań, rodzonej córce serca skapi, a zięcia uważa za ostatnie ladaco, choć ten koło jego majątku jak koło własnego zabiega. Kędłarski bogaty, ale świnią: ojcu płaci należność za pracę na własnym polu najczęściej śmierdzącym sadłem. Szuba bogaty jako stolarz, ale pijus. Wszystko, nawet politurę wypije. Nie wyobrażam sobie, co to znaczy pić politurę, która sprawia, że jedyne sprzęty, stojące w drugiej izbie, tj. dwa krzesła i stół, są gładkie i lśniące. W szufladce stołu wujek trzyma pod kluczykiem złote ostrogi, co je wygrał jako najlepszy wołyżer w zawodach pułkowych w Żółkwi czy też we Lwowie, i różne nieskromne, jak powiada Babcia, piosenki, znoszone z poniedziałkowego jarmarku. Ten jarmark to wielkie wydarzenie w rodzinnym miasteczku. Wszystko można wtedy kupić, byle tylko były pieniądze. A jak Dziamski wspaniale reklamuje stopy kolorowych cukierków:

Ten to dla Zosi
co ładnie prosi!

Ten to dla Józi,
co daje buzi.

A ten dla Mikołaja
co ma wielkie pierogi!

Dziamski za każdym razem, gdy wygłaszał wierszyk, brał do ręki inny cukierek, wskazując na najbardziej dla każdego odpowiedni, wmuszając zakup za dwa czy trzy grosze. Osobiście niestety nigdy z zachęty nie skorzystałam, bo dla Hanksi niczego nie reklamowano ani też nikt chętny do transakcji się nie zgłaszał. Odchodziłam z zawiedzioną miną spod straganu, ale już parę kroków dalej inny sprzedawca, tym razem śpiewając, zachwalał swój towar, czyli różowe zeszyciki pełne piosenek. Tu mogłam stać spokojnie, bo i tak nie miałam pieniędzy, ale i słowa, i melodię chwytalam w lot, a potem zawodziłam na pastwisku, ku szczeremu oburzeniu Babci:

Jak pantera dzika
rzuciła się doń,
w ręku jej zadrżała straszna broń:
Psie, ty jesteś mój,
szepcą jej usta,
wiem, żeś apasz gach,
fach twój rozpusta!
Bylebyś tylko serce miał
dla swej kokoty,
bylebyś jej nie skąpił wciąż
swojej pieśnocy.
Psie, ty jesteś mój,
męcz, bij i całuj!
Skonać u twych stóp
chcę, by dał Bóg!

albo:

Apaszem Stasiek był,
w krąg znały go ulice.
W spelunkach tam,
gdzie podłe życie wre.

Kochanką jego była zwykła ulicznica,
co pod latarnią sprzedawała ciało swe!
Pomimo to Stach kochał swoją Hanke,
choć często bił, katował ją do krwi...

A wtedy ona, czego pojąć do dzisiaj nie potrafię, od-
śpiewywała, bo przy sprzedającym piosenki była oczy-
wiście i partnerka:

Stachu, ja daruję ci winy,
porzuć inne dziewczyny, wróć do mnie, wróć!
Stachu, ja za tobą wciąż płaczę,
gdy cię z inną zobaczę, wróć do mnie, wróć!
Choćbyś kaleką był,
co nie daj Bóg!
To zawsze przyjmę cię
za swój próg!
Stachu, jam cię zawsze kochała, jam ci serce oddała,
wróć do mnie, wróć!

Wątpliwości narastały w miarę śpiewania, bo nie
rozumiałam poszczególnych słów: apasz kojarzył się
mi z apaszka, niebieską chusteczką noszoną przez mat-
kę w uroczystych chwilach. Nie mogłam pojąć, o co
chodziło przy sprzedawaniu ciała pod latarnią ani co
znaczy gach albo ulicznica. Babci zapytać o to nie
mogłam, bo absolutnie zabraniała mi śpiewania tych
piosenek, przypominając, że najpiękniejsze są według
niej: „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi...” względ-
nie:

Chwalcie łąki umajone,
góry, doliny zielone,
chwalcie cieniste gaiki,
źródła i czyste strumyki.

Istotnie, wszystko tu rozumiałam, więc z zapaleń
przechodziłam do śpiewania podpowiadanych tekstów

zwłaszcza że Babcia dzielnie sekundowała mi w duecie. Tamte wątpliwości pozostawały mroczne i niezrozumiałe, z wypiekami na twarzy sięgałam do zakazanych różowych karteczek, ale już się nimi przed Babcią nie chępiłam.

Teraz też śpiewają przy Wojtanowskiej:

Kto się w opiekę
odda Panu swemu...

Czy to znaczy, że Wojtanowska ma się poddać w opiekę? Ale po co, skoro umiera, opieka już jej niepotrzebna. A może tu chodzi o syna, Stanisława, no bo jak matka umrze, pewnie Bóg powinien się nim zaopiekować, ponieważ taka Milka nie potrafi. — Wszystko jej z rąk leci — mawiała zwykle Wojtanowska.

Żal mi syna Wojtanowskiej, jej samej jakoś nie żałuję.

Ale jak bardzo żałuję Edka...

W ów wieczór ojciec wreszcie zaprzął konia do sani, Babcia zdjęła koc z nas i Edka.

— Otul Michałowi nogi, potem przenieś koc Giermańskiemu... Były to polecenia dla matki i ojca.

— A Edek nie zmarznie?

— Damy mu pierzynę.

— No to Babcia zmarznie.

Ale Babcia się takim drobiazgiem nie przejmuje:

— Najwyżej na piec wyleżę.

Jak się ona tam zmieści? Przecież jest dwukrotnie większa ode mnie.

Matka zabrała się do grzania wody, pewnie Gier-

mańskiemu będzie potrzebna, wieprzkowi pewnie krew spuszcza, żeby wyzdrowiał.

Edek marudził, zasypiał, znowu się budził, patrzył takimi błyszczącymi oczami, że znowu zawołałam Babcię. Babcia się nad Edkiem pochyliła, coś szeptała, ale on zamachał rękami i zaczął ją odpychać.

— Nie ma rady, trza do Szubinybiegnąć po termometr. Pewnie go gorączka męczy.

Pobiegłam po termometr. Babcia trzymała go przez kilka minut pod jego pachą, bo Edek krzyczał, że zimny.

— Boże miłosierny! Toż to 42 gradusów sięga!

Babcia pobiegła, z komory przyniosła butelkę soku malinowego. Nie wolno nam było tykać tego soku, bo schowany był głęboko i używany tylko w wypadku gorączki.

Bardzo bym chciała mieć gorączkę. Sok malinowy lubiłam. Bardziej nawet niż podwórko. Nie wychodziłam, jak go smażono, bo można było uszczknąć przy najmniej kilka łyżeczek fusów, zbieranych z malin podczas smażenia.

Teraz żał mi Edka. Gdy napije się soku, na pewno gorączka spadnie i nie będą bolały go oczy. Krzyczy, że jasno, a przecież izbę oświetla tylko ogień paleniska. Mnie się wydaje, że izba tonie w mroku. Nie wolno pić soku, jemu mogłoby zabraknąć. Głupi Janka wyrывa się do niego całą sobą. Ale własnym ciałem zasłania butelkę nie zważając, że brzuch i głowę piecze ogień z kuchni. Od kuchni do ławki, gdzie Babcia postawiła butelkę z sokiem, dzieli nas zaledwie krok.

Jesteśmy w izbie we trójkę. Pan Giermański przjechał i wszyscy przenieśli się do chlewika. Wieprzkwicz, chyba pan Giermański język mu ogląda, a m

że krew puszcza? Bardzo bym chciała zobaczyć, co się tam dzieje, ale Janka nie powinna wypić soku, a i Edka trzeba przykrywać, bo koc z sani znowu się znalazł na kanapie, a Edek ciągle go zrzuca.

Już wracają. Wszyscy są w kuchni, na omiecionej fartuchem ławie posadzono pana Giermańskiego. Babcia chciała go poczęstować wodą z sokiem, ale odmówił, bo już na niego czas.

— Niestety, Michale, wieprzka dorżnąć nie można, bo to różycyca. Jak zdechnie, trza go w całości zakopać, i to daleko, żeby się do padła kury nie dorwały, wtedy mór na nie padnie. Nie tylko na twoje kury, krowy, także sąsiadów. Wiem, że to nieszczęście dla domu, ale nie ma innej rady.

— To ile się należy, panie doktorze?

— Co się tam będziemy liczyć, Michale, wy wiecie, ile biorę za wizytę...

Matka zniknęła w drugiej izbie, za chwilę pan Giermański chował w pugilaresie dwa złote.

— No to do widzenia.

— A może by pan doktor na chłopca spojrział, pewnie, że to nie koń, ale człowiek nie inaczej niż zwierzę choruje!

To Babcia.

— Racja, ale jest spirytus do dezynfekcji?

— Akurat się nam skończył!

To matka, która nigdy przed obcymi nie ujawniała braków w domu.

— Szkoda, nie mogę chłopca oglądać, ale może to i lepiej, wygląda, jakby miał wysoką gorączkę, jutro powinniście wezwać lekarza.

Już wiem, co będzie za chwilę. Cała rodzina z najwyższym szacunkiem pożegna pana weterynarza, oj-

ciec go odwiezie do domu, mieszka na drugim końcu miasteczka, Babcia chwyci za różaniec i będzie się żarliwie modliła, by nieszczęścia omijały dom. Nie wystarczy to jednego? Matka z ponurą miną usiądzie przy ogniu i powie:

— Za coś nas, Panie Boże, pokarał?

Wróci ojciec i doda:

— A co on tam wie (to mowa o Giermańskim), myśmy na froncie zdechłe świnię odkopywali i żarli i dobrze było.

Matka dorzuci:

— Zawsze był głupi!

O nas wszyscy zapomną i znowu bez jedzenia pójdziemy spać.

Na szczęście Edek zasnął, to nas z kanapy nie wykopie, rozlegnie się potem wielki jazgot, w którym utoną poszczególne słowa i opinie: kto na kogo robi, kto tu jest czemu winien, wreszcie Babcia powie, że to jest jej chałupa i jak się komu nie podoba, to wynocha, że wujek Tomek też kiedyś robotę znajdzie, a kto wie, ile też pieniędzy ze Lwowa przywiezie, gówno przywiezie, gdyby nie Michał, tobyście wszyscy z torbami poszli, daj spokój, Helka, nieszczęście to nieszczęście, Babcia zachlipie, bo to człowiek tylu synów wychował i na starość kostur, matka się rozpłaczę, ojciec wyciągnie papierosy i stanowczo rozkaże:

— Spać, jutro o wszystkim pomyślimy!

Nazajutrz Babcia nie śpiewała godzinek, matka zaraz rano pobiegła do wujka Władka, aż do Humnisk, na ojcowiznę. On kawaler, on pomoże, jemu łatwiej.

Ojciec zabrał zdechłego wieprzka i pojechał do lasu, oczywiście tym wozem, co się gnój wozi, do wujka

Michała, leśniczego, tam pod jabłonią zakopią wieprzka, przynajmniej na gnój się przyda.

Edek spał, obudził się późno, Babcia przygotowała kapłon, ale on nie chciał jeść, podała mleko, ale też nie tknął, Janka szybko je wypila, gdy się Babcia odwróciła. Nie zostawiła ani odrobinki. Edek leżał taki jakiś osowiały, dopiero teraz zobaczyłam jego bladość, znowu zaczął się skarżyć na ból nogi.

— Nic ci nie poradzę, dziecinko, wyszedł mi już spirytus z liliami, ale niedługo wróci mama, przyjedzie pan doktor, dostaniesz cymes nie lekarstwo, syropek taki słodki jak sam cukier, a wieczorem soczek malinowy. A teraz umyjemy Edusia, zmówimy paciorek, Pana Jezuska o zdrowie poprosimy; chociaż myśmy grzeszni, łaski nam nie odmówi. Koszulinkę przepierzemy, do doktora trza się ubrać czysto, weźmiemy koszulkę Janciną na zmianę. Jeszcze nie za ciasna, twoją zaraz opłuczemy i na jutro będzie jak nowa.

— Tak, tak. Tych koszulinek nie mamy za wiele, namówimy ojca, aby lnu zasiał, kołowrotek ze strychu zniesiemy, jak się nam płócienko urodzi, to je potem na słoneczku wybielimy, przedtem w rzeczce wymoczymy, len, a jakże, i wymiędlimy, i na nitki uprzedziemy, i utkamy, i już wybielone pokroimy, koszulek naszyjemy, jak czasu starczy, to i płócienko pohaftujemy. Co to nie będzie, moje kochane dzieciátko, co to nie będzie...

I znowu Babcia pełna uśmiechów, usta się jej nie zamykają, a robota aż furkocze w rękach.

Już i naczynie umyte, i gary z karmą dla krów co raz to do sieni się przemieszczają za sprawą Babcinych nóg, i już zasiadła nad koszem z ziemniakami, dzisiaj je ugotuje obrane, poda pewnie z solą, a może i sardelka doda Kędlarska, niedługo wiosna, ojciec do ro-

boty w polu będzie potrzebny, to i sadelko łatwiej z komory wydobyć. Mleko się zsiadło! Oj, nie ma to jak ziemniaki z kwaśnym mlekiem! Jak taki obiadek Eduś zje, to mu samo zdrowie do brzuszka wejdzie. A jak bóść zacznie...!

Babcia pokazuje nam własny zdrowy brzuch, wychynia na nim rękami rozmaite fiłkołki, jej twarz aż się roi od tysiąca rozmaitych, prześmiesznych min. Edek blade się uśmiecha, ale przecież uśmiecha. Obydwie z Janką pragniemy Babcię namówić do skoków aż do powały, bo Babcia i to potrafi, jako że powała znowu nie taka wysoka, ale już wraca matka z wujkiem Władkiem.

Wujek wchodząc aż do połowy piersi głowę opuścił, pięknie Pana Boga pochwalił, nad dłońmi Babci się jeszcze niżej pochylił i znowu urósł, prawie dotykając głową powały.

Babcia szybko umieściła go na ławie, posadziła mnie i Jankę na jego kolanach i kazała wujka ze wszystkich sił uściskać.

— Bo wam na pewno coś przyniósł!

I rzeczywiście. Wujek wyciągnął z kieszeni cukierki, dał matce, ta nam wręczyła po dwa i resztę schowała.

Babcia spojrzała łakomie na cukierki, no to jej jeden ze swoich oddałam, czego nie omieszkala zaraz pięknie pochwalić:

— Jak dajesz coś komuś ze szczerego serca, to nie tylko ludzie, ale i Pan Bóg się cieszy. Niedługo obdarzy cię za to swoją łaską.

Bardzo bym chciała, żeby obdarzył tą łaską głów nie Edka, bo on nawet cukierka nie chciał jeść, czego zgoła pojąć nie mogłam. Chciałam, aby mi go odstąpił, ale Janka była szybsza, no i ona zjadła trzy cu

kierki, a ja jeden. Niech tam, byle Edek wyzdrowiał, wspólnie z nim kiedyś się tam z nią policzymy...

— No, teraz idźcie się pobawić, za chwilę przyjdzie pan doktor.

Masz ci los. Znaczy, nie zjemy dobrych ziemniaków z oskwarkami i zsiadłym mlekiem. Nie bardzo też jest się jak bawić, bo dzisiaj mroźno. Z beksą Janką w ogóle nie lubię się bawić: zaraz będzie beczeć, że zimno, że jej marzną ręce przy lepieniu bałwana. Może pójdziemy naprzeciw ojca, powinien wracać z lasu. Ale na polnej drodze za Dragułami zasy, rzadko kto tamtędy o tej porze jeździ, tylko ci, co muszą, a nasze meszty, to jest półbuty letnie, są krótkie, zaraz będzie w nich mokro.

Na razie rzucamy śniegiem w płot. Ręce marzną, ale w ruchu nie czuję się zimna. Rzuciłam tak zawzięcie śniegowymi kulami, że nawet nie spostrzegłam, kiedy do domu wszedł pan doktor. Ani że Janka wśliznęła się za nim do izby. Mnie zawołano, kiedy trzeba było iść do apteki. Wujek wyciągnął z pularesu dwa złote:

— Tylko żebyś nie zgubiła!

Dał recepty, kazano szybko być z powrotem.

W aptece nie kręcił się jak zwykle przed okienkiem ogonek. Wydano lekarstwa, zapłaciłam, zostało 25 gr reszty.

Zapadł już mrok, zapłonęły żarówki elektryczne w sklepach. Zupełnie w tym świetle zmieniło się miasteczko. Wyglądało wręcz bajkowo. Wspaniałe wystawy przyciągały oczy, wystawione w nich cuda wywoływały aż skurcz zachwytu. Najpiękniej oświetlony był sklep kolonialny. Na wystawie pyszniły się piramidy czekoladek po 5 groszy, szprotki, chałwa! Nie jadłam

obiadu, pełna buzia śliny. Same nogi zamiosły mnie do sklepu. Żołądek reagował silnym ssaniem, w rękę trzymałam 25 groszy!

— Czego sobie panna życzy?

Na dobitek panna, od razu poczułam się ważna.

Byłam jedyną klientką. Pokazałam pieniądze dla pewności, sprzedająca zrozumiała, że mogę je wydać. Dostałam za przedstawioną gotówkę trzy szprotki, jedną czekoladkę, 10 deko chałwy.

Początkowo chciałam te skarby donieść do Edka, bo on też nie jadł obiadu, nawet nie tknął wujkowego cukierka. Wprawdzie pieniądze otrzymałam na lekarstwo, jeżeli jednak zostały, mogłam je chyba przeznaczyć na wspaniałości, których Edek nie powinien nie zjeść! Byłoby to wbrew jakiegokolwiek logice!

Pierwsze skrupuły: czy powinnam kupować coś, jeśli starsi nie wyrazili w tym względzie zdecydowanych poleceń? Chyba tak, jeśli po podstawowym zakupie zostały jakieś pieniądze. Czy jednak na pewno? Chyba koło domu Kościńskich doszłam do następującego przekonania: starsi nie dowiedzą się, że jeszcze coś oprócz lekarstwa kupiłam, jeśli nie zobaczą dodatkowych sprawunków. No i popełniłam pierwszą malwersację, przy tym nie wiem, kto był tego ważniejszym sprawcą: głód czy łakomstwo. W każdym razie koło mostu zżarłam wszystko w następującej kolejności: chałwa, szprotki, czekoladka. Nie była to dobra kolejność, bo wszystko smakowałam po raz pierwszy w życiu, niedoświadczony żołądek zareagował zatem prawidłowo. Wróciłam do domu cała blada i umorusana.

— Gdzieś tak długo była?

Zapytał wujek Władek. Coś nie tak. Wujek zawsze był dla mnie dobry, nosił mnie stojącą na rękach, gdy

przez pół roku nie mogłam w ogóle usiąść z powodu wspomnianego poparzenia, ma mi sprawić wszystko do pierwszej komunii, matka już zapowiedziała, że nie ma na ten cel pieniędzy. Dwa razy fundnął mi lody po sumie. Matka niejednokrotnie dawała do zrozumienia, że na dobrą sprawę wujek Władek, jako mój chrzestny ojciec, do tego kawaler, powinien mnie przynajmniej ubierać, jeśli wręcz nie karmić, bo przecież był znakomitym bratem, jedynym spośród trzech, z którym się dobrze „zachodziła”. Ale to były jego pieniądze, oddane czy pożyczone dla Edka, a ja sama się nimi rozporządzałam, bez zapytania go o zdanie. Już wiem, że postąpiłam bardzo źle.

Milczę skruszona, czuję, jak palą policzki. Nie tyle z powodu mrozu, ile po prostu ze wstydu.

— No i widzisz, jakie to dobre dziecko. A ciągle ją bronisz.

Teraz dodatkowo płoną uszy. Moja nielojalność wobec wujka przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice. On mi ufał, nadużyłam jego zaufania. Moja dusza boleje, będzie się niewątpliwie smażyć w piekle, jak jajecznicą na patelni. Com ja narobiła, com ja narobiła...

— To ci kochająca siostrzyczka! Brat chory, a ta się czekoladami zażera. Z gardła ci samo wyjdzie! Ty, ty!

Niiby to obciera, a w zasadzie boleśnie szczypie twarz matka.

Milczę, moja wina, jestem ostatnią świnią, jeszcze gorszą niż Kędłarscy, Wojtanowska, w ogóle to ja powinienam teraz umierać, nie ona.

Wiem, że umiera, bo dotąd nie ma ani ojca, ani matki, w nocnej ciszy tamta chata szemrze wciąż i szemrze, a ja w żaden sposób nie mogę zasnąć.

W tamtą noc też nie mogłam. Wokół Edkowego postania wielu ludzi. Pogadują sennie, Jankę i Zdziska położono w drugiej izbie, Edek leży sam. Jest dziwnie dorosły na tej naszej wspólnej, czteroosobowej kanapie.

Gdzie ja będę spała? O tym nikt nie myśli. Pętam się po kuchni wśród dorosłych pełna winy, tak bym chciała coś naprawić, ale nie wiem jak, przecież ta czekoladka nie wróci z gardła, może gdybym ją potrafiła wyrzucić w całości, starsi, a głównie wujek Władek, patrzyliby na mnie inaczej, już by się nie gniewali.

Poszłam do drugiej izby, włożyłam palce do gardła, potworny niesmak, coś wraca. Czarna, cuchnąca maść! Całe szczęście, że to okno zamyka się na haczyk. Zaraz otworzę, nikt nie zobaczy, co zrobiłam, umyję rękę w śniegu, jest brudna i obrzydliwie śmierdzi.

Czyżby to były tamte wszystkie, cudownie smaczne wiktuały, które niedawno zjadłam?

Czuję potworne obrzydzenie, już nigdy nie będę jadła ani czekoladek, ani chałwy, ani szprotek, choćby wujek Władek dał mi i pięć złotych i powiedział, że całe te pieniądze są dla mnie. Wszystkie zaraz oddam matce, możliwe, że kupi za nie buty dla mnie na przyszły rok. Kiedyś tak powiedziała.

W głowie chwiejno, zaczyna boleć brzuch. Położyłam się na brzeżku Babciwego łóżka, obok posapywał niemowlak Zdzišek, ledwie co bocian go przyniósł.

Dlaczego bociana nie mogłam oczekiwać w izbie tylko Rymaszewska, akuszerka, kazała na niego czekać na podwórku? Prawie pół dnia zadzierałam głowę ku niebu, aż kark bolał i nie widziałam bociana, choć mnie oczy bolały z napięcia. Patrzyłam prosto w słońce. Bocian mógł mnie oszukać, bywają przecież dorosłe

bociany. Starsi nieraz oszukują. Nawet Babcia, kiedy raz dała mi jajko, powiedziała matce, że nie ma ich tyle w koszyku (to znaczy jajek), ile powinno być, bo się jedno stłukło. Bocian nie musi być lepszy od Babci. Bociana w końcu nie zobaczyłam, Rymaszewska jednakowoż powiedziała, że widać był, skoro przyniósł do naszego domu w dziobie — o! takiego chłopca.

— Widzisz?

Ujrzałam coś czerwonego w białej poduszce, to była twarz drugiego brata, Zdziska. Ale Edek, pierwszy brat, był o wiele ładniejszy, miał duże niebieskie oczy.

— Oczy niebieskie, życie królewskie! — mawiały Cyganki na jego widok, kiedy pojawiały się na naszym podwórku. W zasadzie zatrzymywali się tu wszyscy, którzy przechodzili gościńcem.

— To dlatego, że myśmy z karczmy zbudowali ten dom — stwierdzała Babcia.

Karczma była stara i stała parę kilometrów od miasteczka, w pobliskiej Jabłonce. Ale kiedy pradziadek powiedział, że Pietrkowych najduchów chował nie będzie, Babcia postanowiła ją kupić, aby mieć dla swoich dzieci własny dom.

Sąsiedzi pomogli zbudować z karczmy dwie izby, sien, komorę i stajnię. Teraz wszyscy, ale to wszyscy, czy swoi, czy obcy, tu przychodzą, boć karczma nie przestała być karczmą, choć się ją na nowym miejscu ustawiło.

Zdzisek ma takie same oczy jak ja.

— Sakramencki odmieniec! — powiedziała matka, bo ona miała zielono-niebieskie oczy jak Edek i Janka, myśmy ze Zdziskiem mieli czarne.

— Oczy czarne, życie marne!

Teraz to rzeczywiście było marne. Dygotały nogi, chciało mi się bardzo spać, kołowało w głowie, zasnę-

łam wreszcie przy Zdzisku. Obudził mnie melodyjny, piękny ptasi gwizd.

— To już wiosna, i rano?

Jakże wiosna, skoro zęby szczękają z zimna, mdłe światelko mży za drzwiami, jeszcze w domu są sąsiedzi, bo słysząc przytłumione głosy.

Wśliznęłam się do kuchni.

W centrum zainteresowania obecnych pozostał Edek. Leżał w rozsuniętej kanapie, dziwnie dorosły, i bardzo wyraźnie czegoś się domagał. Obok niego leżały buty, kurtka, nad nim pochylała się matka. Miała obcą, stężałą twarz.

— Daj mi czapkę!

— Na co ci czapka, Edziu?

Matka pytała, ale w rękę trzymała już usłużnie moją czapkę, bo przecież nosiliśmy ją wspólnie, na zmianę. Raz ja, raz Edek, w zależności od tego, które z nas musiało gdzieś wyjść.

— Daj mi czapkę, bo ja będę umierał!

Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego przy Edku są buty, kurtka, spodnie, czapka...

Babcia pociągnęła mnie ku sobie, siedziała w kąciку przy palenisku, tuż obok kociółka z ciepłą zawsze wodą.

— Patrz! Widzisz, kto tam stoi pod obrazem nad kanapą?

Niczego nie widziałam, ale powiedziałam jej, że słyszałam, jak gwizdał ptak przed chwilą.

— Ptak?

— Bardzo ładnie i głośno gwizdał, aż się obudziłam.

— Rozumiem.

Babcia raz jeden spojrzała na mnie uważnie i już nie odrywała oczu od Edka.

A jego twarz zmieniała się dosłownie z chwili na chwilę. Bładła, stawiała się wręcz przeźroczysta i jakby coraz dalsza i dalsza.

Zacisnął palce na czapce i spodniach. Ktoś coś ciągle mówił, pełno było w izbie sąsiadów, ale Edek nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Coraz ciężiej oddychał, kureczowo zaciskał dłonie na butach, to znowu na ubraniu, niby się uśmiechał, niby coś szeptał, wreszcie znieruchomiał.

— Aniołek go zabrał, zmówmy teraz litanię za świętej pamięci Edwarda.

Dorośli uklękli, Babcia z zapaloną gromnicą podeszła ku Edkowej głowie, włożyła ją do jego dłoni. Chybotał płomyk gromnicy, matka zbliżyła wiszące lustro do ust Edka. Nie powłokło się mgiełką...

— Bóg dał, Bóg wziął! Niech święte imię jego będzie pochwalone, radujmy się bracia, w niebie przybył nam krewny aniołek. Święta Boża Rodzicielko...

— Módl się za nami... — powtarzali wszyscy na klęczkach.

Matka zaniósła się szlochem, jam zmartwiała, nie mogłam się otrząsnąć z jakby snu, nie docierał do mnie fakt, jakiego stałam się świadkiem. Ojciec zbliżył się do matki, położył jej dłoń na ramieniu, jakimś obcym głosem powtarzał za innymi:

— Módl się za nami...

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie,

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków amen!

Jeszcze Babcia podwiązała twarz Edka białą chustką, ściągając podbródek, jasne włosy Edka rozsypały się na poduszce, w świetle wyglądały jak aureola nad głowami świętych. Na zamkniętych powiekach położyła miedziaki. Edek z sekundy na sekundę stawał się

tak obcy, taki do żywego niepodobny, że już nie mogłam na niego patrzeć.

Stara Wojtanowska nie będzie na pewno tak wyglądać po śmierci, Edek był ładny, gładką miał skórę, choć białą, a Wojtanowska jest pomarszczona, gdy zamknie oczy, jej twarz przybierze odcień zwarzonej mrozem tarniny. Babci ciągle nie ma, ojca też i matka tam pobiegła. Widzę ciągle tylko Edka, jest mi już wszystko jedno, czy Wojtanowska będzie miała spokojne konanie, czy też inne, byle już wrócili... Janka i Zdzisek śpią. Zaciskam do bólu powieki na oczach, ale wydaje mi się, że ciągle mam te oczy otwarte, widzę cały czas Edka. Nieraz przecież przed snem kopnął mnie nogą i zasypiał śmiejąc się z łada czego, może teraz przyjdzie po mnie albo po Zdziska?

— Jak nie będziesz posłuszna, to cię zaraz Edek zabierze.

Oczywiście do grobu. Ale właściwie dlaczego nie miałyby mnie zabrać? Przecież powiedziałaś, Babciu, że kto jak kto, ale on na pewno poszedł do nieba, a w niebie tak pięknie i jest co jeść, toteż właściwie się dziwię, dlaczego wszyscy płaczą, kiedy się idzie do nieba. Przecież powinni tańczyć z radości.

— A bo to tylko jak dzieci umierają. Dzieci są niewinne. Gdy ochrzczone, to grzech pierwородny zostaje zmazany i prosto do nieba! Święty Pieter ma już bramę otwartą.

Przypomniało mi się, że nasz dziadziś, który umarł w Ameryce, też nosił imię Piotr.

— To znaczy dziadziś mu niebo otworzył?

— A wiesz, możliwe, że święty Pieter dał na chwilę klucze mojemu Pietrkowi. Tyle lat minęło, pewnie

już w czyśćcu odcierniał swoje. Może w raju pomagać świętemu patronowi. Przecież święty Pieter musi się ogromnie męczyć codziennie. Ileż to ludzi tylko u nas umiera. A na całym świecie!? Ho! Ho! Sam smok widać musi dmuchać co rano w te świeczki umieszczone na najwyższej górze i zapalone wtedy, jak się człowiek urodzi. Świeczka się świeci jasnym płomieniem przez całe ludzkie życie. A jak ona gaśnie, to już nie ma dla człowieka ratunku. Musi umrzeć. A ile śmierć ma wtedy do roboty...

— No to jak znajduje czas, żeby stanąć u głowy umierającego, skoro tylu ludzi naraz umiera?

Wyrwałam widać Babcią tym pytaniem z jakichś głębszych medytacji, bo odpowiedziała z widocznym zniecierpliwieniem:

— Widzicie głupią! Sama się śmierci zapytaj!

Zatem może i ja powinnam pójść do Wojtanowskiej? Jeżeli Stasinek przerwał matce konanie, śmierć powinna krążyć w pobliżu. Może mi odpowie, jak potrafi z tamtej góry na końcu świata, gdzie dopalają się świeczki, dobiec do Edka, do Wojtanowskiej, a teraz pewnie i do Nawłoki, bo Babcia mówiła, że już na księżą oborę spogląda, znaczy, niedługo umrze. Skąd wie, że to akurat Edkowa, Nawłoki czy Wojtanowskiej świeczka? W związku z przewidywaną śmiercią Nawłoki Babcia nawet spódnice różańcową, czyli ubieraną z okazji odprawiania różańca przy zmarłych, już naprawiła, bo jak kto umrze, zaraz ją proszą, aby prowadziła różaniec.

Przez długi czas nie wiedziałam, dlaczego zmarły pozostawać ma w domu zimą przez trzy, a latem przez dwa dni. Pięknie ubrany, w naszych okolicach najczę-

ściej w ślubne odzienie, obowiązkowo z dłońmi owiniętymi w różaniec i splecionymi na piersiach, na stole przybranym kwiatami, wśród mnóstwa jarzących się wokół świeczek, w co zamożniejszych domach pojawiały się nawet ogromne lichtarze wypożyczone z kościoła z wysokimi aż do sufitu świecami.

Już na pierwszy rzut oka można było dostrzec różnice między poszczególnymi zmarłymi. Dzieci i młodzież niezonąta względnie niezamężną ubierano na biało, natomiast starszych na czarno. Ale wszystkim na czas pobytu w domu oddawano obowiązkowo drugą, czyli porządniejszą izbę, trumnę, stawiano na dwóch, często złączonych, stołach, pokrytych ciemną kapą. Przez cały dzień można było ich odwiedzać. Odwiedziny polegały na tym, że trzeba było wejść do pomieszczenia zmarłego, uklęknąć i „zmówić paciorek”, zakończyć Ojciec nasz, Zdrowaś i Wierzę — Wiecznym odpoczywaniem...

Wieczorem zaś, już po spędzeniu krów z pastwiska albo dokonaniu (w zimie) wszystkich obrządków przy żyjących stworzeniach w gospodarstwie, szło się, po umyciu rąk i nóg i ewentualnym przebraniu właśnie na różaniec.

Druga izba zamieniała się jakby w kościół. Starsi poważnie zajmowali miejsca na krzesłach, specjalnie ustawionych, młodszy stali pod ścianami. Nikt nie żartował, półgłosem wymieniano uwagi o ubiorze zmarłego, różnych jego zaletach, staraniach rodziny nad zachowaniem go przy życiu, przyszłym pogrzebie: czy przyjdzie do domu ksiądz, czy będzie msza, ilu księży pójdzie na cmentarz. Kiedy wszyscy już się odpowiednio usadowili, Babcia przy zupełnym milczeniu obecnych rozpoczynała litanię za zmarłego i w ogóle pierwsza mówiła wiele słów, które za nią powtarzali wszy

scy. Często zaglądała przy tym do nabożnej książki. Po chóralnie odśpiewywanych pieśniach w intencji zmarłego, w pobożnym skupieniu zebrani opuszczali dom żałoby. W powrotnej drodze już w swobodnym nastroju trwały rozmowy o kosztach pogrzebu, czy mu krewni żałowali, czy też nie, czyli oszczędzali albo okazywali się hojnymi, jeśli chodzi o koszty pochówku.

Stale się dziwiłam, jak to Babcia czyta nabożną książkę, trzymając egzemplarz do góry nogami, czyli odwrotnie niż wydrukowany w niej tekst. Ale żartów nie było, gdy się Babcię o to zagadnęło. Po prostu książka lądowała gdzie popadło, a uderzenie było zupełnie twarde, jakby to wcale nie była książka święcona, co mnie zawsze kojarzyło się z lekkością: święcona, święta, anioł — czyli coś niesamowicie pięknego, leciuteńkiego, powiewnego jak apaszka matki, którą czasem zawiązywałam na szyi, jeśli właścicielki nie było oczywiście w domu.

— Babciu, czemu święta książka jest taka ciężka, popatrz, siniak mi wyskoczył na głowie...

— Iii, co za siniak! Malutki siniaczek, zaraz po nożu ci przejdzie...

Przykładała Babcia zimny nóż do mojej głowy i rzeczywiście, nie ma siniaka.

O odświętny, trzydniowy pobyt zmarłego w domu długo nie miałam odwagi zapytać, bo jednak latająca, święta książka na pewien czas pozostawała dość przykro w pamięci. Dowiedziałam się o tym dopiero przypadkiem, przy okazji czytania „Marietty”. Były w domu takie zeszyty, kupował je czy też pożyczał wujek Tomek, nieważne, ja w każdym razie czytałam na każdy z nich, z piękną, regularną twarzą na gazetowej okładce. Marietta — tak nazywała się z imie-

nia bohaterka tytułowa powieści w odcinkach — wpadała w nieprawdopodobne tarapaty ze śmiercią letargiczną włącznie.

Nie mogłam już powstrzymać ciekawości:

— Babciu, co to znaczy letarg?

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Sploszona Babcia ogląda się na wszystkie strony nadśluchuje, czy ktoś nie nadchodzi, patrzy na mnie podejrzliwie:

— A gdzieś to słowo słyszała?

— Wyczytałam w „Marietcie”. Ona leżała w letargu, dopóki jej ojciec nie znalazł.

— Na pewno ojciec?

— On nie wiedział, że jest jej ojcem, ale w żade sposób nie mógł uwierzyć, że ktoś taki piękny umarł i wybrał się na cmentarz, żeby ją wydobyć z grobowca. Akurat wtedy obudziła się z letargu...

— Naprawdę?

Zdziwienie Babci nie ma granic.

— A wiesz ty, że i mnie się coś takiego przydarzyło?

Zastygam nad kapłonem. Widocznie stężenie mojej twarzy wywołało w niej niepokój, bo dodaje uspokajająco:

— Nie, nikt nie umarł, tylko konia zobaczyłam, ję wstawał, choć go tata przed chwilą obdarli ze skóry. Ale kto wie, czy koń nie ma ludzkiej duszy. No, k... wie? Ksiądz dobrodziej mówi z ambony, że zwierzęta duszy nie mają, a popatrz ty na cieliszę. Nie prosi oczami o siarę? Dusza u wszystkich wygląda oczami. Tamten koń też musiał mieć duszę i pewnie był w targu, kiedy wstał bez skóry i tak jakby ludzkim głosem zarżał, że do dzisiaj to rżenie słyszę...

Marietta już nie jest taka ważna. Obydwie nads

wiamy uszu, może znowu usłyszymy głos konia obłupionego ze skóry?

Spadł garnek ze stołu, strącony przez któregoś z młodszych. Wraca rzeczywistość.

— Kiedy to było, Babciu?

— Ho, ho...

Babcia liczy na palcach, przywołuje przy okazji wszystkie święta:

— To było przed godami, roków temu nazad...

Bezradnie patrzy na palce u obu rąk, dodaje palce z lewej, potem prawej nogi.

— Wtedy jeszcze twój dziadek na leśniczówkę nie zaglądał. Kiedy przyszedł pierwszy raz, miałam roków czternaście, kiedy mnie porwał od ojców, piętnaście. Jak miałam szesnaście, urodził się najstarszy, Władek. Złapało mnie akurat przy kopaniu, wujna odebrała, zawiązała pępowinę, owinęłyśmy go w zapaskę i położyły w bruździe, dałam mu cycka, spał. Ziemniaki musiało się wykopać, wróciłam do motyki. Ciężko mi się wracało z pola, bo z koszem pełnym ziemniaków i z Władkiem w podółku. Ale Pietrek by batem przyłożył, jakby wiecerzy nie uwarzyć. Taki to był prawdziwy chłop! A jak koń ożył, pewnie mi było z dziesięć roków.

Widzę białe, lodowate widmo końskie, spada z niego śnieżysty pył, błądzi wśród rozrzuconych piszczeli, od czarnego lasu odbija się przeraźliwe rzenie, strach mrozem zatyka mi dech...

— Nie bałaś się, Babciu? Koń bez skóry musiał zamrznąć na lód. Przecież zdechł przed godami...

Babcia lekceważąco macha ręką:

— Iii tam! Tylko diabła bać się trzeba, dziecko. Koń ci nic nie zrobi, choćby był bez skóry. Ale gdyby diabeł skumał się z koniem...

— To co, to co by się stało?

Moja ciekawość zachęca Babcię do wspomnień. Usiadła wygodniej, zaczyna powoli, powściągliwie:

— Samam tego nie doświadczyła, ale Pięta opowiadał. Wracają kiedyś z jarmarku, na odwieczersz t było. Są na moście, a tu koń staje. A mieli takiego Gniadego, co to nikt nie mógł koło niego przejść, żeł nie pogłaskać. Miękkuchną sierść miał. No i tak st na moście. Pięta sięgnęli po bat, ale jeszcze nie ciągn po koniu, tylko górą nim strzelają. Na strach. Ale ko się zaparł i nie idzie dalej. No i Pięta usłysze płacz. — Ki diabeł! Myślą i schodzą z wozu, bo z wodzi coś jakby dziecko. Szukają we fosie — nic r ma. W krzakach też. Wracają na wóz. Teraz koń r szył z kopyta, ale widać, że mu coś ciąży, zwoln zgrzał się cały, aż pot płatami spada na gościniec. F trzą Pięta za siebie, a tam się wieprzek, co go pr cież na tangu sprzedali, kręci w wasążku.

— Skąd się wziął? Prr... — wstrzymują konia, Gniady nie chce stanąć. Jeszcze raz się oglądnęli, a zamiast małego wieprzusia już się spory wieprzek wi.

Zeskoczyli z wozu, przy dyszlu trzymają ko włos się im ze strachu jeży.

— Zgiń, przepadnij maro!

Szczęściem przypomniałi se, jak ujrzeli, że v przek już całe półkoszki zajmuje, że tu tylko skru i modlitwa. Ze strachu nawet Zdrowaś zapomnieli to tylko krzyżem boskim co chwila pierś znaczą. A każdym krzyżem słysząc takie kwilki, że się już w stkiego domyślili.

— Wiesz, wszystko się działo pod Jajkowym krzyżem. Stoi on przy moście na pamiątkę po krewniaku Jajków, co to się w rzece utopił, ale choć go pochowali po Bożemu, nijak stodoły, w której całe życie spędził, opuścić nie chciał.

Wtedy pełno myszy się w stodole zaległo, całe zboże zżerały, tak że Jajko nawet na siew zboża nie miał, a przecież to kmieć całą gębą! No i Dobrodziej z klasztoru w Starej Wsi poradzili, by w tym miejscu nad rzeką, skąd tamten do wody skoczył, krzyż postawić. Krzyż stoi, myszy znikły, bo po wyświęceniu stodoły koty już się do niej nie bały wchodzić, ale biedna duża niewielką ulgę odczuła, bo stale się koło krzyża kotłuje.

Z diabłem się widać stale prawuje. A kiedy już jej sił nie starcza, to diabeł amatora do swoich figli na drodze szuka. Jak widać, na Piętę wtedy trafił. Pięta medalik święty zawsze na szyi nosili i pobożni byli, ale do karczmy od czasu do czasu zaglądali i, co tu dużo mówić, woleli mieć więcej niż mniej, i to nie zawsze godziwym sposobem. Michał (znaczy mój ojciec) mówił, że na jarmarku nigdy się nie zdarzyło, aby prawdę szczerą sprzedającemu powiedzieli, jak sprzedawali swojego wieprzusia, to mu zawsze ze dwa miesiące dodali, czyli chowali go nie sześć, a osiem miesięcy — jak powiadali, bo wtedy więcej pieniędzy dostaną — pewnie dlatego diabeł w wieprzka się zamienił... Pięta widać się domyśliłi, co się dzieje, wreszcie także konia przeżegnali. Wtedy jak Gniady nie ruszy!

Tylko zafurkotało na gościńcu! Z prochu aż się ciemno — choć noc była jasna — zrobiło, nawet nie wiedzieli Pięta, kiedy Gniady przed stajnią stanął.

Ledwie odpięli go od dyszla, a on już przy żłobie!

Ochłonęli jakoś Pięta, koniowi owies niosą, latar-
nię zaświecili, wchodzą do obory i — oto Siwy, a nie
Gniady przy żłobie stoi, miłosiernie patrzy.

Posiwiąło konisko ze strachu, a może diabeł sierść
mu zmienił, żeby już Pięta nigdy do karczmy nie za-
głądał ani innych nie oszukiwał?

Konisko dobrze się sprawowało w każdej robocie,
ale dlatego, że Pięta pobożni byli, oj, pobożni, Pięcina
nigdy z nim kłopotu nie miała, to nie tak, jak mój
Pietrek, co zamiast mszy świętej przed wyjazdem do
Hameryki — całą beczkę piwa u Sawickich zamówił
i kto tylko chciał, mógł pić, ile do żywota wlażo. Na
podworce ją postawił. A jakże! Zamiast się pomodlić
jak Pięta, przed wyjściem za próg domu swoją litani-
ję zaczął:

A jak ja se umrę, chowajcie mnie w mieście.
Gorzałeczkę z baryłeczką na mój grób zawieźcie.
Kto tędy pojedzie, to będzie wspominał,
Tu nieboszyk leży, co gorzałkę pijał!

Tak było głośno, jakby się ktoś żenił, wszyscy się
do nas zeszli, kiedy Pietrek do Hameryki jechał.

— I co?

— Pięta dolary przywieźli, tyli kawał pola zakupili,
a Pietrek zczezł marnie, na takim cmentarzu, jak dla
psów, bo tam są takie, go pochowali...

Babcia wyraźnie wskazuje, że lepiej być Piętą niż
Pietrkiem, ale mnie się właśnie Pietrek podoba! Dzia-
dek z Babcinych opowieści to był ktoś!

Nie bał się ojca, kiedy porywał mu córkę, czyli mo-
ją Babcię, do Ameryki jechał jak na wesele, a prze-
cież to tak strasznie daleko, żaden leśniczy, co tak
sprytnie zwabiał w debrzy różnych wędrowców, nigdy
nie złapał dziadka, nie zawrócił z drogi do Stasi, czy-

li Babci — niebogi. Troszkę mi żal tych dolarów, których nigdy nie przywiózł, i jego samego, że został, ale przecież Pięta, który nawiózł dużo dolarów, ma siwe włosy ze strachu (powiada Babcia) i stał się podobny do swojego siwego konia, nie mającego już żadnej fantazji — jak kiedyś powiedział ojciec o koniu Pięty.

A w ogóle trudno być pobożnym. Mnie to nuży — zwłaszcza jeśli w kościele nie śpiewają. Całkiem nie chce mi się wierzyć, że Bóg wszystko widzi i jest sprawiedliwy, skoro za te same uczynki jednych karze, a innych nie.

Wujka Janka ukarał za pijaństwo, ale wujka Tomka nie, choć wspólnie popijali.

Wujek Janek umierał w majową noc.

Od paru miesięcy chorował. Wszyscy mówili, że nie ma ratunku przed suchotami. To one zżerają mu kości. I że nikt ani też żadne lekarstwo tu nie pomoże. Ciotka Hanka codziennie krzyżem leżała w kaplicy, choć ponoć nie powinna, bo się to na dziecku odbija. Tylko, jeżeli bocian przynosi dzieci, co ma z tym wspólnego ciotka Hanka? Wujkowa matka — Węgierka — jak ją Babcia nazywała, mówiła, że nie Bóg, ale kawalerskie życie wujka tu zawiniło. Kawalerskie — a przecież był żonaty. I że ta cegielnia, lebu, do grobu go wiedzie. Istotnie, wujek Janek przez trzy, cztery miesiące w roku przebywał we Lwowie, w cegielni.

— A tam batiary, lebu, kurwy, gangrena!

Matka wujka Janka mówiła zupełnie dla mnie niezrozumiale, to „lebu” wtrącane w każde niemal zdanie przypominało nieco okrzyk „Jezu” albo „Boże” w ustach Babci, a w ogóle to obydwie wyglądały tak groźnie, kiedy się razem spotkały, że lepiej było zniknąć co prędzej.

Zwłaszcza że spotykały się przeważnie wieczorami, jesienią, kiedy wujków nie było w domu, bo właśnie kawalerowali wspólnie we Lwowie. Znikać nie bardzo było gdzie, albowiem szwagierki gasiły lampę, mruzczały cicho i stałe wyglądały oknem, jakby na kogoś czekały. Może na wujków? Tego dokładnie nie wiedziałam. Wcześniej morzył mnie sen.

Ale w maju roku poprzedzającego śmierć wujka Janka nie zasnęłam.

Wiosna trwała w całej pełni, księżyc roświetlał niebo, noc nie była czarna, ale jasnosrebrzysta. Niedługo, lada dzień, mieli wujkowie przyjechać ze Lwowa. Skąd ta nazwa? Dlaczego miasto nosi nazwę lwa, skoro to Sodoma i Gomora według Babcinego zdania? Lwy — uczono mnie w szkole — są królami zwierząt. Natomiast Sodoma i Gomora — uosobienie rozpusty, kłamstwa, wiarołomstwa, krzywoprzysięstwa — prawil ksiądz katecheta — jest symbolem wszelakiego zła. Czy zatem Lwów to coś potwornie złego, czy raczej wspaniałego? Pytanie pozostało wówczas nie rozstrzygnięte.

Teraz, w majową, a może czerwcową noc, wreszcie się dowiedziałam, dlaczego i Babcia, i ciotka Węgierka tak wytrwale spoglądają przez okno przy zgaszonym świetle.

Wtedy też nie spałam. Wyglądałam ukradkiem zza pleców starszych kobiet. Po ulicy, przed naszymi oknami, spacerowały dwie panny. Poznałam je, bo przy księżycu było zupełnie widno. Pierwsza — ciotka Hanka, narzeczona wujka Janka, nazywano ją Baranką (z domu Baran). Druga — Helena od Kostków.

O Kostkach często mawiała Babcia, że to niedobrzy ludzie. Owszem, Kostka też przebywał w Ameryce, nawet wrócił, a może nie wrócił, w każdym razie coś

się wspominało przy okazji o dolarach, które płyną (jak dolary płyną, skoro są z papieru, czy się nie rozpuszczą w wodzie, wszystkie moje okręciaki z papieru szybko tonały w potoku), ale wszystko idzie „w dupę”. Określenie przekraczało moje możliwości zrozumienia.

Dlaczego „w dupę”? Przecież w owej części ciała mieści się zupełnie określona substancja o paskudnym zapachu, daleka od wytworności, bo mam „cienki nos” — jak twierdzi Babcia. Zaś dolary — słyszałam to wiele razy — nie śmierdzą.

Helena od Kostków nie podobała się jednak Babci mimo dolarów, bo:

— Łajza, wywłoka, za przeproszeniem gońka!

Dlatego „gońka”, bo teraz chodzi po gościńcu przed oknami, choć jest noc, a w nocy porządne panny śpią?

Helene spotykałam w kościele, grzecznie się Babci kłaniała, powiedziałabym nawet dzisiaj: z pełną atencją, Babcia grzeczne osoby zawsze bardzo chwaliła, stawiała je za wzór do naśladowania, dlaczego oto mówi do ciotki Węgierki „gońka” i tak się niemiłosiernie krzywi, jakby chciała splunąć?

— Bo kto widział, żeby panna tak za kawalerem latała, nawet do Żółkwi za Tomkiem pojechała...

Żółkiew. Często w rozmowach padała nazwa tego miasteczka, stał tam pułk wujka, kiedy służył w wojsku. Wujek pisał kiedyś, że do niego Helcia przyjechała. Babcia ogromnie wówczas rozpaczała, choć jej tłumaczyłam, że wujkowi na pewno musiało być miło, kiedy kogoś od nas, z Borkówki, zobaczył, bo przecież w każdym liście wspominał o tym, jak tęskni za domem i nami wszystkimi.

— Co ty tam wiesz, durna!

Babcia machała rękami i ciężko wdychała.

— Do nieszczęścia go ona przywiedzie, to nie gospodarska córka, tylko wywłoka, jak oni wszyscy.

Wszyscy — znaczy Kostkowie.

A przecież gdyby nie Kostkowie, to Babcia nie mogłaby kupić różańca, który tak bardzo lubiła, że nawet na pastwisko ze sobą zabierała i ciągle przesuwała paciorki w palcach. Dlatego, że nie umie dobrze liczyć?

Kostkowie sprzedawali różańce, książki do nabożeństwa, medaliki itp. na jarmarkach i odpustach.

Podobała mi się matka Heleny, kiedy stała na odpuście za stołem, pod rozpostartym dachem z płótna, pośród wielu różnobarwnych różańców i świętych przedmiotów, wykrzykując coraz to:

— Do mnie, do mnie, po różańce! Posmakują potem tańce!

Czyli najlepsi są ci, co to nadają się i do tańca, i do różańca!

Wprawdzie nie wyobrażałam sobie tańca z różańcem, zwłaszcza zawiązanym na splecionych palcach umarłego, skoro jednak starsi często takie zdanie powtarzają, musi to mieć jakieś uzasadnienie.

Ale Babci Kostkova się nie podobała. Jeśli nawet kupowała różaniec, a zdarzyło się to niewiele razy w jej życiu, wołała go nabyć u ciotki Nogajki albo u Gurgaczów. Kostków unikała.

— Pierońskie krętacze, diabelskie pokurcza, pasozyty!

To tylko niektóre określenia, których nie skąpiła rodzinie Kostków. Na ogół o innych sąsiadach podobnych opinii nie wygłaszała, toteż mocno mnie one zaskakiwały, ale ja nie mogłam oceniać takiej postawy. Obowiązywał nakaz skupionego słuchania, kiedy „mówią starsi”.

Teraz też słuchałam pilnie. Okazało się, że obie panny czekają na swoich kawalerów, przechadzając się niby od niechcienia pod naszym domem. I kiedy Hanka to porządna gospodarska córka, Helena chodzi z bękartem.

Bękart — straszna, niepojęta rzecz...

Obok nas mieszka głupia Weronka z bękartem. Stasią, którą bardzo lubię, ale która boi się dzieci, jak wolała na nią „bękart”! Ciotka Minka też miała bękarta, nim wyszła za mąż za Guza. Dlatego oddała swoją córkę Stasię do Babci w Starej Wsi, bo Guz nie może patrzeć na bękarta. Ty bękarcie — inaczej nie powie ojciec na bardzo miłą Wiesię z sąsiedztwa.

Nie widzę teraz na ulicy żadnego dziecka. Dlaczego Babcia i ciotka mówią o Helenie, że chodzi z bękartem? Patrzę i patrzę, i nikogo jako żywo nie widzę...

Babcia zaczyna pochlipywać, ciotka Węgierka powiada do niej łamanym językiem:

— Musisz zmazać z Nogajów te skaze!

Babcia przez łzy:

— Ale jak, Tomek nie chce się zenić. Mówi, że jak kto dał raz, to i wiele razy da. Twierdzi, że to nie jego najduch. Ksiądz dobrodziej mnie już piekłem straszą, pewnie ta kurwa Kostkowa go nabuntowała, tak się na mnie w kościele patrzyła, tak patrzyła...

Babcia szłocha coraz głośniejsze, widocznie z powodu jednego z dwu aniołów, co to teraz po ulicy suną, jakby fruwały, w pięknych sukniach z falbanami, z karbowanymi włosami lekko okalającymi twarz i lśnącymi w księżycu.

A może Helena to diablica, co przybrała postać anioła, jeżeli za jej sprawą Babcia tak płacze, że nawet na mnie nie zwraca uwagi, choć już dawno powinienam spać?

Babcia rzadko płacze. Nawet przy umierającym Edku miała rozpromienioną twarz, bo:

— Jeszcze jednego aniołka będziemy w niebie mieli. Teraz on nam będzie patronował, na pewno nam łaskę u Pana Jezusa Nazareńskiego i Najświętszej Panny Matki Jego uprosi, kiedy przyjdzie na nas Sądny Dzień.

Teraz płacze coraz głośniej:

— Co powie Michał, co Helka (moja matka). Jeszcze jedna baba na kupie, jeszcze jedna gęba do jedzenia, a niedługo jeszcze jedna!

Najważniejsza i najgorsza w człowieku jest gęba do jedzenia. Dzisiaj znowu nie było kolacji. Przyszła ciotka Minka, coś tam długo mówiła do Babci, Babcia się zagapiła, o jedzeniu dla mnie zapomniała. Może z głodu nie mogę zasnąć?

A może raczej ze strachu? Przecież nikogo ze starszych nie ma w domu, wszyscy są u Wojtanowskiej, która umiera, której Stasinek konanie przerwał.

Wujek Janek pięknie i szybko umierał, choć był taki batiar — jak określała syna matka Węgierka.

Wtedy też nie było nikogo w domu, bo wszyscy pobiegli właśnie do niego. Ja zostałam, należało przypilnować rodzeństwa.

Bardzo mi żal wujka, jego żony Hanki, tego, że już nigdy do nas nie przyjdzie i nie spojrzy na księżycową drogę przed naszym domem. Droga jest jasna w księżycu, smużą się na niej cienie: to wiatr znosi pył. O! Jeszcze jeden zwiewny obłoczek! Z prochuś powstał...

Ten zwiewny obłoczek to Wujek Janek. Wiem, że teraz odchodzi.

Uśmiecham się do niego, bo przecież kiedyś też taką smużką popłynę. Bardzo bym chciała, by poszedł prosto do nieba, ale jest to niemożliwe. Wujek pójdzie do czyścica, bo przecież pił, długo nie chciał się żenić z ciotką Hanką, choć to taka porządna dziewczyna, tracił na dziwki pieniądze we Lwowie — wszyscy mu wytykali tę prawdę w oczy.

Spodziewam się jednak, że długo w czyścicu nie pozostanie. Ostatnio bardzo się zmienił, poza tym z nieba wygodniej mu będzie czuwać nad dzieckiem, co się lada moment urodzi, a sieroty nie sposób opuścić, to będzie szczęśliwe dziecko, bo ma zapewnioną opiekę nieba... Jednym tchem wyrzucam to wszystko przed Babcią, która pierwsza wróciła do domu. Babcia zgadza się z moim wywodem, mówi, że wujka Janka już na ziemi nie ma.

Wiem, widziałam, jak szedł do nieba w księżycowej smudze. Opowiadam, jak było.

Babcia spojrzała na mnie z zainteresowaniem i jakby uznaniem, ominęły mnie wymówki, że jeszcze nie śpię, natomiast słyszę jej wezwanie do wspólnego odmówienia „Wiecznego odpoczywania”. Moja czysta dusza i modlitwa wiele może pomóc wujkowi.

A może mogłabym też pomóc skonać Wojtanowskiej?

Za oknem już świt, a nikogo ze starszych jak nie było, tak nie ma.

Pamiętam, bardzo skrzywdziła mnie Wojtanowska niesłusznym posądzeniem, ale to było dawno. Teraz musi się potwornie męczyć patrzeniem na białą śmierć, która tak przeraziła samego ojca, a teraz z pewnością

stoi u wezgi łóżka i nie chce machnąć kosą, co dałoby wreszcie Wojtanowskiej lekkie skonanie.

O lekkie skonanie codziennie dobija się w modlitwach Babcia, musi to być zatem ważna sprawa.

— Jakie życie, taka śmierć! Daj nam Boże lekkie skonanie... a bo życie takie ciężkie...

W przeciwieństwie do mojej Babci, Wojtanowska nie musiała narzekać na twarde życie. W schludnym domku o trzech izbach mieszkało tylko troje ludzi, u nas w dwóch — dziesięcioro. Na przednówku „ostatnią garstkę mąki trza dać na podzelowanie butów” — czyli u nas długo nie będzie zacierki na obiad, za to u Wojtanowskich zawsze w porze południowej dym z kominu się unosi, skwarki tam jedzą do chleba, chleb nie zamknięty, Staś nigdy matce marnego słowa nie powiedział, no to dlaczego takie ciężkie konanie?

Wreszcie skrzypią drzwi, gwar i tupot w sieni. Wracają starsi.

— No i widzisz, Michale, jak się to człowiek umęczy, nim go święta ziemia pokryje...

— To już lepiej było na wojnie, tylko kulka gwizdnęła i już po człowieku!

— I, wojna mu się przypomniła. Koniowi trza dać jeść, dziś z mecenasem jedziesz, wczoraj przyszła Gienia po ciebie, pojedzie mecenas do Rymanowa. Gromnica się prawie cała wypaliła, kup tam nową, może będą tańsze?

W rozmowę Babci z ojcem wtrąciła się matka. Zła jestem, ojciec nie rozpocznie teraz wspomnień o wojnie. Szkoda, zawsze coś ciekawego z tych opowieści można się dowiedzieć, choć wszystkie zaczynają się prawie tak samo.

No i o Wojtanowskiej nikt nic nie mówi.

Babcia już szura garami na blasze kuchni, biegnie po szczyпки, wtedy się szybciej ogień rozpali, matka zdejmuje skopki ze ściany, pójdzie krowy doić.

Nie mogę dać znaku życia ani o nic zapytać, bo powinnam spać.

W nocy dzieci muszą spać, nie wolno mieć otwartych oczu, bo nocą zawsze czuwa diabeł i jak zobaczy otwarte oczy, może weń wskoczyć. A wtedy — dziecko zamieni się w diabła i... A jeśli już zamieniłam się w diabła, skoro ciekawi mnie tak bardzo konanie Wojtanowskiej? Ona za to posądzenie niesłuszne wobec mnie pewnie pójdzie do piekła...

— Michale, nim wyjedziesz do Rymanowa, powinienś przywieźć księdza do Wojtanowskiej. Staszek nic nie mówił, ale widzisz, jak się biedaczka męczy, święte oleje pomogą jej skonać.

— Ale Helka mówiła o Rymanowie...

— Pojedziesz, ale wstąp najpierw na plebanie, Staszekowi powiem, żeby Milka izbę przyrządziła.

— Dobra, wstąpię po księdza, tylko Helce powiedzcie.

Ojciec się krząta, zbiera uprząż, Babcia polewa mu ręce, którymi nad cebrzykiem ochlapuje sobie twarz, podaje szmatę do wytarcia.

Mycie u nas odbywa się zupełnie inaczej, niż u pani w szkole. Według niej w każdym domu powinna być miednica w umywalce, mydło w mydelniczce, ręczniki, dla każdego osobny, zawieszone na specjalnym wieszaczku. Mówiłam Babci, aby te wskazówki wprowadzić w naszym domu, ale Babcia odpowiedziała, że takie wymysły możliwe są tylko u panów, u nas nie ma miejsca nawet na umywalkę, ważniejsze są gary

do gotowania krowom i świniom niż miednica, a najlepiej umyć się w rosie. Ręcznik niepotrzebny, bo wiatr zaraz twarz osuszy. A jak myjesz się w domu — szmata do otarcia wystarczy, lepiej koszulinę dziecku uszyć, żeby grzeszną dupą nie świeciło, niż się ręcznikami przejmować.

— I tak za chwilę po umyciu graby do gnoju wsadzisz!

Babcia zakończyła logicznie i ostatecznie moje reformatorskie zapędy w kwestiach higieny, i lekcja pani poszła na marne, podobnie jak w wielu sąsiedzkich domach, gdzie poszczególne dzieci usiłowały wywiązać się z zadania urządzenia kąpielika do mycia na wzór klasowego w szkole.

Tym razem ojciec dłużej przy myciu się krząta, Babcia mu nawet ług zamiast mydła podaje, bo wstyd brudnemu po Pana Boga jechać. Ług stoi w cebrzyku, przygotowany do prania. Robi się go z popiołu, który opada na dno i wodę zmiękcza, już i tak miękka, bo zbieraną z rynny domu Kędłarskich, kiedy deszcz pada, albo w zimie sporządzaną ze śniegu.

Ojciec przysuwa ręce do ognia, trochę przejaśniały, ale zawsze są czarne i twarde; czuje się to przy całowaniu ojcowskich dłoni, co zawsze następuje w podzięce, kiedy na przykład przywozi kukielki, czyli rodzaj rogalików, z jarmarku. Nie cukierki, ale właśnie bułki, bo cukierki psują zęby.

Wprawdzie pani mówiła, że zęby należy myć i wtedy się nie psują, ale jedyną szczoteczkę do zębów oglądałam w kąpieliku higieny w szkole. Gdy napierałam, aby podobne kupić do domu, matka kazała na nie zarobić... pani.

— Jej płacą, to niech kupuje. Ja pieniędzy nie mam na duperele.

Całowałam też ojcową rękę po każdym kolejnym biciu, a w ogóle jest to świętym obowiązkiem dzieci przy każdym dziękowaniu i przepraszaniu.

— Czcij ojca i matkę swoją, a będzie ci się dobrze powodziło na ziemi!

Ale dlaczego czcić, jeśli niesłusznie bije? A w ogóle, choć czczę, wcale mi się lepiej nie powodzi. Stasi- nek czi Wojtanowską, swoją matkę, jemu i jej się dobrze powodzi, jednakże Wojtanowska ma ciężkie skonanie. To ładnie, że ojciec chce jej pomóc i jedzie po Pana Boga, ale zaraz usłyszę, jak matka gromi Babcię, że kazała ojcu jechać po księdza na plebanie, a nie wprost po mecenasa do Horybka. I czy matka czi Babcię jako swoją matkę, bo jeżeli ktoś jest matką męża, to także staje się matką żony.

— A gdzie się ten cholernik podział?

Nie omyliłam się w przewidywaniach. Matka zaczyna wyrzekać na ojca. Wróciła z wydojonym mlekiem, zabiera się do cedzenia. Już kładzie na sitko szmatkę, specjalnie wygotowaną i wiszącą „na podorędziu”, czyli blisko szafki do naczyń.

Kuchnia pachnie mlekiem. Strasznie mi się chce pić, czuję napływ śliny w gardle i w ustach, ale wiem, że mleko nie dla mnie, musi się je sprzedać, żeby kupić wprawdzie śmierdzącą, ale i świecąca naftę, a także słodki cukier, który zaraz gdzieś zostanie schowany. Nie dostanę się do niego, bo przecież zawsze ktoś jest w domu, a jeśli nie, to gdzie go szukać? Zaczynam się nad sobą rozczulać, bo ani mleka, ani cukru...

Babcia zdaje się nie słyszeć utyskiwań matki. Zapach mleka pokrywa ostra woń cebuli. Babcia kraje cebulę, niby przy tym płacze. Na śniadanie będzie pewnie kapłon ze smażoną cebulą. Prawdopodobnie to

samo zostanie na obiad i wieczerzę. Babcia zapewne zaraz pójdzie do Wojtanowskich, nie wiadomo, jak długo tam zabawi.

— Nie wiecie, gdzie się Michał zapodział?

Babcia nie może dłużej udawać, że nie słyszy matki.

— Po księdza z olejami świętymi pojechał, po ostatnie namaszczenie dla Wojtanowskiej.

— To kiedy on po mecenasa pojedzie? Aleście go wyrzucili! Nie mógł to Draguła pojechać albo Pięta? Konie u nich jak piece, stale w stajni stoją, a wy byście tylko Michała gnali tu czy tam, za waszą czy innych potrzebą. Jeśli go zapędzicie jak woła do szlachtuza, to kto na was codziennie zarobi?

— Pan Bóg mu na zdrowiu pobłogosławi, jak z czystym a szczerym sercem do niego i do ludzi pójdzie.

— Widać, jak mu błogosławi! Ostatnie portki zdiera, buty się mu rozłazały, a wy tylko o szczerym sercu i ludziach. Jak świnia zdechła, kto się nami przejmował? Wojtanowska tylko za plecami rozpowiadała, że na weterynarza było, a na doktora Edkowi brakło. A teraz Michał za darmo po księdza dla niej pojechał! Nie mogła to wtedy na doktora Edkowi dać?

— Nie bądź mściwa, Helka! Z Bogiem jeszcze nikt nie wygrał!

— Co wy mi ciągle z Bogiem! Niech on wam da jeść, bo jak Michał nie zarobi, to z torbami pójdziecie!

Już widzę Babcię, jak wdziewa worek najgorszy z najgorszych, bo przecież takiej torby, jaką mają prawdziwe dziady, u nas nie ma, podpięta się ciężkim kosturem i zwawo podąża przed siebie, „gdzie oczy

poniosą”. Zawsze mówi ojcu o swojej przyszłej dziadowskiej wędrownicy, gdy się pokłóci z matką.

Bardzo, przejmująco żal mi Babci. Kto będzie śpiewał godzinki, przekomarzał się z nami, kiedy Babcię będą niosły oczy przed siebie, a ludzie będą ją szczuć psami? Draguła szczuje psy na wędrujących dziadów i babki z torbami, Babcia tego nie pochwała, u nas zawsze jest miejsce w kuchni i słoja dla dziadów na nocleg. Wprowadźcie bardzo się dziadów boję, matka się gniewa, że nieporządek w kuchni wielki, ale Babcia zaraz po dojeniu szybko się zakrzatnie, słomę wyrzuci z izby do stajni, nawet dziada kapłonem ugości. A on zna się na rzeczy, biały chleb z sakwy wyciągnie, wtedy kapłon z białym chlebem smakuje, oj, jak smakuje! Niektóre dziady to nawet cukierki z torby wyciągają, i nam, dzieciom, do ręki dają. Ale Babcia-Dziadówka skąd weźmie cukierki, aby nimi nocleg opłacić?

— Michał mi na żebrzy nie pozwoli, już ty go nie zmienisz!

Babcia mówi twardo, widać, że w domu będzie dotkliwa cisza przynajmniej przez dwa dni, nie będą się do siebie odzywały Babcia z matką. Tak bywa zawsze, jeśli Babcia używa podobnego tonu.

— Toś ty do mnie przyszła, chociaż my dziady, jak mówisz. To moja chałupa, nie twoja!

— Mielibyście chałupę, żeby nie Michał!

Matka podnosi głos, budzą się współlokatorzy kanapy, Janka od razu uderza w płacz! Brzuszek boli, boli... Matka z Babcią już są przy niej, zgodnie wyciągają skurczoną spod derki, matka ją tuli, Babcia biegnie po kapłon, nalewa do garnuszka. Matka karmi siostrę drewnianą łyżką. Za moment wrzeszczy Zdzi-

sek. Teraz on nadstawia pyszczek, karmi go Babcia. Cichnie jedno i drugie. Babcia z matką boczą się na siebie, ale po chwili, jakby nigdy nic się nie stało, zgodnie zastanawiają się, co też mogło zaszkodzić Jan-ce, że boli ją brzuch.

Mną się nikt nie zajmuje. Też wyszłam z kanapy, ogłądałam się za jakimś garnuszkciem, łyżką... Sama się muszę nakarmić, jestem już duża! Nie ma naczyńia? Zaczekam, aż się młodsi najedzą. Wędruję od jednego krańca ławy do drugiego, zastanawiam się, który garnuszek pierwszy będzie wolny, ale jak na złość karmione dzieci ciągle otwierają buzie jak dzioby, w garnuszkach dna nie widać. Chce mi się jeść coraz bardziej i bardziej, zawisłam oczami na którejś z kolejnych łyżek dostarczanych przez Babcię i matkę młodszym.

— Patrzcie ją, oczyskami żre!

Matka może wreszcie bezkarnie na kogoś nakrzy-
czeć. Wiadomo, że natychmiast pokornie spuszcze oczy, cofnę się od matki, nie będę miała odwagi podejść do Babci, z jedzeniem będę czekać, aż któraś z nich przypomni sobie o śniadaniu dla mnie.

A jak znowu coś niespodziewanego się zdarzy?

Najlepiej nie myśleć o jedzeniu. Obżarstwo to grzech śmiertelny, obżartuchy są wstrętne! Ot, choćby Sawicki, co ma szynk. Taki brzuchal nosi przed sobą, że jest szerszy niż wyższy, i sapie, i ma czerwony no-
chał, od razu widać, jaki przy nim wujek Władek piękny!

Najwięksi święci z powodu postu stawali się bardzo piękni, ot na przykład święta Genowefa, zjadająca tylko korzonki trawy. Może inni też tak postępowali, aby stać się świętymi? Nawet na pewno, bo głód bardzo

trudno oszukać, ale jest to możliwe. Teraz święci spoglądają z obrazów cudnymi oczami, okrywają ich wspaniałe szaty! Nad ich głowami unosi się światłość, widoczna nawet w najmroczniejszym kącie izby. Właściwie mogą wszystko! Odnajdą, jak święty Antoni, jeśli się coś zgubi. Uspokoją ból zębów, jak święta Agnieszka. Wyproszą zdrowie, jak święta Tereska, dadzą dobrą śmierć, jak święty Bolesław.

Jeśli i tak, mimo starań, by zwrócić na siebie uwagę, bo przecież po to wałęsam się wokół ławy, na której siedzą jedzący, nikt na mnie nie patrzy, to lepiej być świętą niż uprzykrzonym najduchem. Często słyszę to określenie, gdy zbliża się pora jedzenia. Zatem nie poproszę o jedzenie, tylko muszę zrobić coś dobrego. Spełnić dobry uczynek, bo to pierwszy krok do świętości.

Przypominam sobie, jak Babcia zapowiadała, że pójdzie do Wojtanowskich z wieścią o przyjeździe księdza z ostatnimi olejami. Jeszcze tam nie była. Ojciec już niedługo go przywiezie. W domu Wojtanowskich na pewno bałagan, przecież nie miał kto sprzątać, jeśli całą noc wszyscy siedzieli przy chorej.

— Babciu, pójść do sąsiadów i powiedzieć o księdzu?...

— Dobrze, żeś przypomniała! Za jedno Zdrowaś Michał przyjedzie, a tam nic jeszcze nie gotowe na przyjęcie Pana Jezusa! Bierz Zdziska!

Zwraca się do mnie, podaje brata.

— Ty, Helciu, też mogłabyś pomóc, Janka już się z bólu nie kuli.

Babcia rozbraja matkę, okazując skłonność do zgody. Janka nie ma ochoty opuszczać matczynego podwórka, ale ucałowana, spuszcza bose stopy na zimne

klepisko, zaczyna zwawo dreptać. Na moich rękach poprawia Babcia ciężkiego Zdziska.

— Tylko nie spuszczaaj go z rąk, bo znowu zacznie się smarkać!

Obydwie zdejmują zapaski, chowają pod chustkami opadające kosmyki włosów, zatrzaskują za sobą drzwi.

Żałuję swojego pędu do świętości. Zdzisek ciąży w ramionach coraz bardziej. Mogę go posadzić na kanapie, ale on zaraz spełźnie na ziemię, będzie szukał czegoś twardego do gryzienia, zęby się mu kłują. Potem nie da się umyć, od razu wszyscy będą wiedzieli, że go na rękach nie trzymałam.

Odczuwam głód coraz mocniej, kiszki grają marsza. Co zrobić: pilnować Zdziska czy sięgnąć po jedzenie? Błyska wspaniała myśl: Janka będzie opiekunką Zdziska. Posadzę go na stół, ona chwyci jego nogi. Zdam wtedy napęlić garnuszek kapłonem, może nawet jest gdzieś chleb?

Błyskawiczny rekonesans oczami. Chleba nigdzie na wierzchu nie ma, zamknięty, matka schowała klucz w sobie tylko wiadomym miejscu. Trudno, wystarczy kapłon.

Obmyślony plan wprowadzam w życie. Najpierw chwale Jankę, jaka to ona silna, na pewno o wiele silniejsza od smarkatego brzdąca, potrafi takiego pokonać. No, złapać go i nie puścić.

Janika spogląda na mnie podejrzliwie, sadzam zatem brata na stole i pokazuję, że wystarczy uchwycić mocno nogę, aby go umieruchomić. A jakby się ruszał, to i drugą.

Zdzisek śmieje się głośno, laskoczemy go niechcący w pięty, rusza tylko głową, chce wycofać nogi, ale ja trzymam mocno, Janika jeszcze mocniej. Zawsze chcia-

ła być ode mnie silniejsza, wykorzystuję to teraz perfidnie, już daleko odeszłam od chęci zostania świętą. Głowa Janeki wystaje niewiele ponad poziom powierzchni stołu, jej wzniesione ręce trzymają obydwie Zdziskowe nogi. Pozostała przy nich sama.

Tyłem cofam się ku kuchni, na której stoi garnek z upragnionym jedzeniem. Jestem tuż, ale nie odrywam oczu od tamtych dwojga. Widzę, że Zdzisek dostrzegł włosy Janeki, nachyla się nad jej głową, chwytając włosy, ta puszcza jego nogi...

Rzucam się do przodu, ale potężny kopniak odrzuca mnie pod ławę.

Matka zatrzymuje Zdziska na samej krawędzi stołu. Janeka oczywiście wrzeszczy, Zdzisek w matczy-nych objęciach też, sama tkwię nieruchomo pod ławą. Nawet bólu żadnego nie czuję, jestem szczęśliwa, że brat nie spadł ze stołu i karku nie złamał, bo obo-wiązkowo tak powinny się kończyć wszystkie upadki.

Póki co bezpieczniej siedzieć pod ławą, wołałabym nigdy stamtąd nie wychodzić, matka już się ogląda za montewką. To niepojęte, ale cudowne drzewko, ob-wieszane aniołkami, nawet czekoladkami przynoszonymi w Wigilię przez wujka Władka, zawsze po paru-tygodniach zamienia się w montewkę, często łamaną na moim grzbiecie. Z takiego drzewka wystruguje się cztery, nawet pięć montewek, na razie żadna nie prze-trwała dłużej niż do następnego drzewka...

Modlę się o cud: święty Antoni, żeby tylko matka nie znalazła montewki, ostatnio schowałam ją pod kanapę, zapomniałam, że święty Antoni pomaga znaleźć, a nie zgubić. Jest mi już wszystko jedno, ból po kopniaku rozlewa się po całym ciele, najbardziej doskwiera na grzbiecie, boję się poruszyć... Oby jak najszyb-

ciej nadeszła Babcia ze swoim zimnym nożem i dotknęła guza! Oby przestało boleć.

Wrzask tamtych dwojga przecina nagle dzwonek: dyń, dyń, dyń... Dobiega zza okna wyglądającego w naszym domu prosto na gościniec. Matka ze Zdziskiem w ramionach pobożnie klęka, Jankę do klękania pociąga.

Rozumiem. Sam Pan Bóg jest teraz świadkiem mojego upadku. Zaraz się dowie, jaka to ze mnie dobra siostra, już wie, na co naraziłam rodzeństwo z chęci obżarstwa.

Gorączkowo, pośpiesznie Mu tłumaczę swój głód od rana. Wiem. Żadne tłumaczenie Boga nie przekona. Przecież święta Genowefa była głodna przez czterdzieści dni, ale nie odeszła, by znaleźć pożywienie, od swojego maleńkiego dziecka w mrocznej, zimnej jaskini. Sam Chrystus przez czterdzieści dni się głodził, byle tylko przed głodem ubogi lud ocalić. A ja? Nie, nie ma dla mnie usprawiedliwienia.

Dzwonek oznacza, że ksiądz wiezie ciało Boga dla umierającej Wojtanowskiej. Ciało w opłatku. Opłatki nieraz jadłam w Wigilię Bożego Narodzenia. Bardzo lubiłam ich smak, nawet szachrowałam, żeby więcej dostać. Teraz bym zjadła cały kielich. Może tedy droga do świętości? Dlaczego ksiądz podaje tylko jeden krążek przy komunii? Wojtanowska na pewno też zostanie jeden.

Babcia mówiła, że ona ma podczas choroby cały czas język na wierzchu... To czy opłatek, czyli Pan Bóg, nie spadnie ze sztywnego języka? A gdyby upadł na ziemię? Świętokradztwo! Nie wiem dokładnie, co znaczy słowo, ale Babcia wymawia je z takim przeżeniem, że i ja trzęsę się ze strachu.

Chcę być odważna, niekiedy marzę o czynach tak śmiałych, że powinien być nimi zadziwiony cały świat, a przede wszystkim matka, której, według Babci, bardzo trudno dogodzić. Teraz najgoręcej pragnę, by nie doszło do świętokradztwa. Powstałoby ono z mojej winy, gdyż przed samym przyjazdem Boga popełniłam grzech nieposłuszeństwa, przeze mnie Zdzisek omal karku nie złamał.

Ciągle jeszcze słyhać dzwonek, matka klęczy, ale równocześnie wygląda drugim oknem. Kładzie na kanapie płaczącego Zdziska, coś mu tam wtyka do buzi. Jankę odziewa w Babciną bluzkę, szepce do niej uspokajająco. Przygląda pod chustką włosy. Wychodzi.

Na skrzyp drzwi reaguję jak na sygnał. Wyskakuje spod ławy, biegnę do okna. Widzę, jak Kędłarska, ciotka Guzka, panna Adela, Zgodowa biegną do domu Wojtanowskich. Wszystkie sąsiadki bliższe i dalsze...

Ojciec przed progiem zatrzymał sanie, pomaga zejść, na pół klęcząc przed kielichem, księdzu proboszczowi.

— Sam proboszcz zajechał...

Słyszę, jak Babcia z dumą podkreśla funkcję księdza, choć przecież jej głos tutaj, do naszej izby, nie dociera.

Już wszyscy weszli do środka. Dom sąsiadów pograża się w nabożnym milczeniu. Po niedługiej chwili dobiega stamtąd przeciągły krzyk. Już nie tylko ja go słyszę, także moje rodzeństwo. Janka i Zdzisek niepokojnie wiercą się na kanapie, zwracają głowy w moją stronę...

— Pewnie znowu Stasinek rozpacza!

Myślę słowami Babci, popijam kapłon, o którym marzyłam od paru godzin i usilnie rozmyślałam o tym,

jak by uniknąć montewki, a zwłaszcza wymówek, jeszcze gorszych do zniesienia. Chyba pójdę do Szubiny.

Nie wiem, czy tam wiedzą już o Wojtanowskiej. Może też ze śniadania został kawałeczek chleba z masłem? Szubina chętnie daje mi różne resztki pozostałe z posiłków, bo świni nie hoduje.

— Nie ma gdzie — powiada.

Mnie się wydaje, że wychodek Szubów byłby doskonały na ten cel, jest dwa razy większy od naszego chlewika; ale Szubina to majstrowa, ma siostrę nauczycielkę i córkę Kamisę także nauczycielkę i gdzie by one srać chodziły, gdy na wakacje zjadą?

Widać dlatego wychodek Szubiny jest dwa razy czystszy niż u nas kuchnia.

Babcia mówi, że deska, na której się siada u Szubiny w wychodku, jest czysta jak stolnica, aż szkoda jej przeznaczać do takich celów.

Ale ja czuję się zaszczycona jako człowiek, który musi sikać i nie tylko, że coś takiego wytwornego może istnieć na świecie!

Taki jest chyba powód, dla którego bardzo szanuję panią Szubinę i nawet to, że nazywają ją dobrym ziółkiem, w niczym nie obniża jej autorytetu w moich oczach.

A dlaczego ziółkiem?

Naraziła moją matkę na potworną szkodę. Pożyczyła niegdyś dwieście złotych! Cyfra to wręcz astronomiczna w czasie, kiedy za taką kwotę stawiało się nową chałupę — to nic, że ze starego, rozebranego budynku! Ten dług oddała dopiero po dwu latach, kiedy suma wystarczała zaledwie na zakup pary butów!

Zarzuty na pierwszy rzut oka wydawały się ważne, rozpacz matki też, ale gdy spotykały się obydwie

panie np. przy kapliczce czy na ulicy, wydawały się tak zaprzyjaźnione, że zupełnie nie wiedziałam, która z nich jest bardziej serdeczna wobec drugiej, a zatem co jest prawdziwsze: czy krzywdą matki, czy oszustwo Szubiny. A może w ogóle sytuacja tu zawi-
niła? Przecież Szubina, kiedy pożyczala, nie wiedziała, co będzie za dwa lata. Matka też. Dlatego mogło nie być tu ani niczyjej winy, ani niczyjej krzywdy.

W każdym razie w wypadkach, kiedy coś groziło w domu, uciekałam do sąsiadów.

W domu Szubów pachniało świeżym drzewem, politurą i kawą, w każdym pomieszczeniu były podłogi nie gryzące bosych stóp, które musiało się umyć pod studnią przed przekroczeniem progu i wytrzeć na szmatce.

Schody i podłoga kłuły tylko wówczas, kiedy Julek, syn Szubiny, niewiele ode mnie starszy, rozsypywał na nich naumyślnie drobne gwoździiki, jakich pełno było w stolarskim warsztacie, zajmującym pół domu. Spotykał się wtedy z bardzo ostrym karceniem matki. Nawet klapsa mu wlepiła, nie bacząc na dobre formy. Należało do nich przestrzeganie zasad grzeczności wobec gości i odkładanie kary wobec dzieci, gdy w domu przebywali obcy.

Jeszcze wspomniała lalki Hemi, córki Szubów, które brało się do rąk, jeśli ręce przedtem zostały umyte. Wysoki stół, pod którym żeśmy się z Julkiem bawili, w głowę nie trącał. Łóżka całkiem dokładnie kryły, gdy się pod nimi znajdowaliśmy, bawiąc w chowanego z wyliczanką. Stąd bardzo szybko nauczyłam się liczyć po dziesięć do stu i po sto do tysiąca, bo zwykle wyliczał Julek, bardziej zaawansowany w nauce. Nie bez znaczenia na dobre samopoczucie pozostawały pochwały pod moim adresem, że tak szybko zapamiętuje

wszystko, a Julek ciągle się myli, choć ja taka biedna, a Julek pan.

Gdy śpiewałam piosenkę o ułanach, on był jednym z nich, tak sobie wyobrażałam, choć teraz wiem, że gdzie mu tam było kiedykolwiek do ułana! Ale nieważne.

Ciągle myślałam o ucieczce z domu. Moje nieczyste sumienie w żaden sposób nie chciało się uspokoić po dzisiejszych przewinieniach. Zatem, gdy tylko zobaczyłam, że ojciec odwozi księdza sprzed domu Wojtanowskich, przykazałam młodszemu pod jakąś tam groźbą, by nie ruszali się z miejsc i popędziłam do Szubów.

Powitano mnie z otwartymi ramionami: pani Szubina spragniona była wieści o Wojtanowskiej. Nie wypadało się jej wtrącać bezpośrednio w życie sąsiadów z uwagi na prestiż rzemieślniczy, ale babska ciekawość nie pozwalała przejść obojętnie obok choćby najbłahszego wydarzenia.

Po raz pierwszy najadłam się w tym dniu. Był chleb i kawa, także jabłko, nawet kawałek leguminy, przygotowywanej do obiadu. Między pożeranymi kęsami składałam sprawozdanie, poczynając od wydarzeń z wczorajszego wieczoru. Pani Szubina słuchała wnikliwie, zręcznie skierowując moje opowiadanie na interesujące ją tory. Nie wiem, czy zaspokoiliłam w pełni jej zapotrzebowanie na nowinki, bowiem pełny żołądek wprowdził mnie w rodzaj błogości.

Teraz chciałam się bawić. Takoz Julkiem owładnęła podobna chęć, zaproponował zabawę we fryzjera.

I słowo, i pojęcie było mi zupełnie obce, ale nader ciekawe. Pośpieszyłam za nim ochoczo do dużego pokoju pod stół. Nie powstrzymał mnie nawet widok wielkich nożyc, które dzierżył w ręku jako fryzjer. Omówił ze mną rolę klientki. Następnie niezrozumiałe

słowo, ale pełna wdzięczności za wspaniałe śniadanie przystałabym na każdą propozycję, byle tylko tę wdzięczność wyrazić. Jako klientka miałam poprosić o fryzurę. Oczywiście w umówiony sposób.

Julek z pełną powagą zabrał się do dzieła. Poleciał zamknąć oczy i nadstawić głowę. Parę razy się zachnęłam, czując wilgoć i zimno na skórze, ale wtedy Julek przeproszał, zapewniał, że się to nie powtórzy i dalej trwało strzyżenie. Po jakiejś półgodzinie kazał otworzyć oczy.

Przeraził mnie widok włosów, których pełno walało się pod stołem.

— O rany, Julek! Patrz, jakieśmy naśmiecili. Mama twoja będzie się gniewać.

— Iiii... wielka rzecz! Zaraz przyniosę łopatkę, pozamiatamy, u fryzjera zawsze się sprząta po strzyżeniu, nikt o to nie ma pretensji, że włosy spadają na podłogę.

Istotnie, wprowadzcie z dużym trudem, bo zbieraliśmy włosy rękami, ale udało się doprowadzić do porządku podłogę. Teraz wszakże Julek fryzjer zażądał zapłaty w postaci wiórek zalegających stolarnię. Dzieciom wstęp do pracowni był wzbroniony, należało zatem wyczekać na odpowiedni moment. Pora akurat sprzyjała, bo pan Szuba z czeladnikami i uczniami udał się właśnie na obiad. Szybko zebrałam najpiękniejsze wiórka, uniżenie podziękowałam panu fryzjerowi za fryzurę — tak nakazał nazwać to Julek — i postanowiłam wrócić do domu. Tam powinien czekać obiad. Zajętym jedzeniem rodzicom Julka powiedziałam z sionki „do widzenia” i już stałam w drzwiach naszej kuchni.

Tu życie toczyło się według ustalonego i znanego porządku.

Babcia karmiła Zdziska, Jance dawała jeść matka.
— Babciu...

Zagadnęłam układnie, bo za wszelką cenę chciałam uniknąć rozważań rodzinnych nad porannymi wydarzeniami. Najlepszym sposobem wydawało się odwrócenie uwagi od spraw szczegółowych przez skierowanie jej na ogólne.

— Babciu... — powtórzyłam — czy Pan Bóg zabrał już Wojtanowską do swojego królestwa?

Było to zdanie, które zarówno swoją treścią, jak i wyszukaną formą, bezustannie kształtowaną w myślach podczas niedawnej rozmowy, powinno na tyle zdumieć Babcię i matkę, aby zapomniały o porannym wydarzeniu.

Poczułam się nieswojo pod okiem obydwu kobiet patrzących na mnie w najwyższym osłupieniu.

— Jezusie Nazareński! Ki diabeł cię odmienił? — wrzasnęła Babcia.

Spojrzałam do tyłu, nikogo. Czyżby Babcia kierowała pytanie pod moim adresem? Niestety, chichot roździeństwa i wykrzywiona złością twarz matki potwierdziły przypuszczenie.

— Spójrz na siebie, ty nieszczęsna idiotko!

Lustra w kuchni nie było, ale obok stało wiadro z wodą. Widok, jaki ujrzałam, spowodował, że z miejsca schowałam głowę w ramionach i rzuciłam się pod ławę, byle dalej od siebie i ludzkich oczu.

Nie poznałam siebie. Łysą czaszkę porysowały krwawe blizny, głowa stała się nagle podobna do pękającego jajka, z którego za moment wychynie pisklę. Ze mnie dotychczasowej pozostały tylko wytrzeszczone, skośne oczy, teraz pełne przerażenia, oraz wydatny, mięsisty nos i nieopisanie głupia mina.

— Kto ci to zrobił, mów w tej chwili!

Matka odsunęła Jankę i przyjęła tak groźną postawę, że nie czekając na jakiegokolwiek wezwanie wysunęłam się spod w miarę bezpiecznej kryjówki.

— To pan fryzjer. Mówił, że nim będzie trwała ondulacja, najpierw musi być strzyżenie.

— Co?! — wrzasnęła matka. — Jaki fryzjer, gdzieś ty najduchu latała, ja ci dam strzyżenie i fryzjera!

Babcia już stała przede mną, niby przypadkiem, w każdym razie łyżka i garnuszek rzucone przez matkę wylądowały nie na mojej głowie, ale na ławie.

— No powiedz, dziecińco, co się też działo z tobą... — łagodziła Babcia.

— Bawiliśmy się, Julek był fryzjerem — wyjaśniałam, przezornie chowając się za Babcią spódnicę.

— A! To ja tej cholernej pani powiem, kogo chowa, jakiego mordercę, zbrodniarza! Mógł jej przecież głowę odciąć. O, ja jej pokażę!

Cała złość matki zwróciła się przeciw sąsiadce.

No tak, nie tylko dzieci cierpią za winy rodziców, ale i rodzice ponoszą odpowiedzialność za czyny dzieci. Wprawdzie nie widziałam nic złego w wyczynie Julka, był po prostu niedobrym fryzjerem, skoro moja fryzura tak wyszła, że przeraziła widzów, ale starsi, jak zwykle, mieli inne zdanie.

Zaowocowało ono dla mnie nader niekorzystnie, bo zabroniono mi odwiedzać dom Szubów i bawić się z Julkiem.

Zakaz obwieszczono wieczorem, po powrocie ojca z Rymanowa. Ojciec na mój widok wybuchnął śmiechem, choć moja głowa, przewiązana przez Babcię jakąś chuścina, mniej przypominała pękające jajko.

— Popatrz, Helka, ona jak chłopiec wygląda! Wiesz, jaki parobek nam rośnie?

Jestem oszołomiona. Być chłopcem — to było moje marzenie od chwili, kiedy zobaczyłam, z jakim wzruszeniem pochylił się ojciec nad Edkiem w kolebce, jak potem podbiegł do łóżka matki i — co stanowiło wówczas moje następne olśnienie — ucałował ją w usta i rękę. — Przecież w rękę całuje się tylko ojca albo matkę — pomyślałam. Dlaczego ojciec całuje leżącą matkę? U nas nigdy nikomu nie wolno było leżeć w okresie robót w polu, i nigdy nikt wtedy się nie wyłegiwał, tak samo jak dorośli nigdy się nie całowali, co najwyżej ojciec cmokał rękę Babci na Wigilię albo po wielkanocnej spowiedzi.

— Mam syna! Mam syna, mam dziedzica! — wykrzykiwał wtedy ojciec.

Dziedzic. Na dźwięk tego słowa Babcia przyjmowała pełną szacunku postawę. We wszystkich kłótniach z matką podkreślała, że ta nie wie, do jakiej rodziny weszła.

— Sam dziedzic mojego ojca tak szanował, że tylko z nim po lesie chadzał, tylko jego radził, które drzewo i gdzie wyciąć, w jakim miejscu najlepiej się na dziki zasadzić.

— Co ty wiesz, głupia... — mawiała Babcia do matki, kiedy ta występowała z kolejnymi narzekaniami na ojca, że jeszcze to nie obrobione albo na tamto czy owamto nie ma pieniędzy. On, to znaczy mój ojciec...

— ...Rozum ma jak mój ojciec, do którego sam hrabia Lic, dziedzic pełną gębą, po radę przychodził, komu ma swą córkę za żonę oddać. I ty krzyczysz na takiego chłopca, na wnuka mojego ojca, co go sam dziedzic tak szanował?

Z całej przemowy pozostało we mnie słowo dziecko mniej więcej równe świętemu albo aniołowi, względnie mocarzowi mogącemu zaradzić każdej burzy, a nawet pożarowi, bo:

— Jak spłonął dwór jaśniepana dziedzica, to mój ojciec wybrał mu w lesie najładniejsze modrzewie, cieśłów naraił i za trzy miesiące nowy dwór jak malowany stanął. Twój pradziadek...

Tu już zwracała się do mnie, bo matki od dawna w izbie nie było:

— Taką piękną altanę dla dziedziczki wystroił, że wszyscy jaśniepaństwo z samego Władnia nachwalić się nie mogli. I chcieli kupić twojego dziadka od jaśniepana hrabiego, ale on mojego ojca nie sprzedał nawet za tysiąc reńskich. A hrabiemu bardzo by się te pieniądze przydały, bo przecież wiesz, że się spalił. Twój pradziadek las ratował, aż mu do łokcia rękę opaliło. Prababcia ziół namiosła, pradziadka wykurowała i dalej był pierwszym leśniczym przy dziedzicu — a służyło u hrabiego Lica aż dziesięciu leśniczych. Trudno wtedy być pierwszym. Ale twój pradziadek był najlepszy, choć sparzona ręka jadziła i jadziła i już tak wszystkiego robić nie mógł.

— Ach, to znaczy Edek będzie takim dziedzicem jak hrabia Lic — pomyślałam.

Ja też bym chciała być Edkiem, znaczy chłopcem, którego ojciec nazwał dziedzicem. Nie bardzo wiedziałam, na czym polega różnica między nami, chyba że on nosi portki, a ja nie, ale gdy ubierałam Edkowe portki i tak mnie nikt nie uważał za chłopca. Wujek Leń wykrzykiwał nawet pogardliwie „siksa”, „siksa”, choć dalekobóg robiłam wszystko, aby mnie nigdy nie złaapał na sikaniu.

A teraz ojciec mówi o mnie jako o parobku.

Dobry parobek to też skarb w rodzinie. Na przykład bez parobka, wujka Janka Bobra, jego szwagier, Sawicki, nie dałby sobie rady, choć równocześnie stało się coś złego, że z wujka Bobra rodzina Sawickich uczyniła parobka.

Myślę, że byłabym dobrym parobkiem, godnym dumy ojca. Teraz też nie krzyczy, tylko śmieje się jakby uradowany, choć matka na pewno mu poskarżyła, że Zdzisek przeze mnie omal karku by nie skręcił, gdyby tak spadł ze stołu.

Parobek parobkiem, jednak ojciec zapowiedział, już bez uśmiechu, że nie wolno mi się z Julkiem bawić, bo to huncwot, i pewnie jak jego ojciec gorzałkę pociąga, zatem drugą razą już nie tylko bez włosów, nawet bez głowy mogę się ostać.

Jestem tak uradowana, że starsi nie wracają do porannej przygody z małuchami, iż fakt zakazu chodzenia do Szubów nie wywołuje jeszcze na razie żalu, przede wszystkim za chlebem z masłem, który był w moim życiu równie wielkim wydarzeniem, jak śmierć stojąca w dalszym ciągu u głów łóżka, gdzie spoczywa teraz Wojtanowska.

— No i jak tam z Wojtanowską?

Ojciec zagadnął kobiety, racząc się herbata z sokiem malinowym, bo Babcia uważała, że w takim dniu należy mu się herbata z sokiem. Przywiózł Pana Boga do sąsiadki, zarobił na podwiezieniu mecenasa do Rymanowa aż pięć złotych, także trochę drobnych, za które kupił dla nas trzy kukielki z białej mąki i nowiuteńką gromnicę. Zaraz ją Babcia poświęci sama wodą święconą, zawsze trzymaną przez nią cały rok w zapasie na wszelki wypadek. Przyda się może na-

wet niedługo, bo Wojtanowskim nowa gromnica nie w głowie, skoro w dalszym ciągu, mimo porannej wizyty księdza, stara nie może skonać.

— Michałku, to my znowu do niej pójdziemy, pójdziesz z nami? Może litania za zmarłych zgon przyspieszy? Święte oleje widać nie weszły jeszcze w stare, grzeszne ciało...

— Wolałbym nie, bom już całą noc nie spał, ale jak mówicie, że trza, to trza. Tylko dziecka położy-my. O! Widzicie? Zdzisio tylko ślipka mruży...

Zdzisek nie tyle mruży oczy, co mu głowa zupełnie na ramię opada. Ojciec tego nie widzi, bo jak ujrzeć z boku, ale ciało Zdziska zwisa na ojcowym ramieniu.

— Widać łóżko mu się śni... — mówi Babcia. Zdejmuje go troskliwie z ojcowych rąk i układa ostrożnie w nogach kanapy, blisko ciepłej kuchni. Nie zmarznie. I mnie, i Jance także będzie ciepło w nogi. Natomiast od okna w głowę zimny mróz ciągnie, czuję go nawet przez chustkę zakrywającą moją łysą pałę. Włosy miały jednak jakieś znaczenie, ciepłej w nich było. Żegnajcie warkocze, co to je miała góralka i dzieliła między dwóch górali:

Hej, górale, nie bijta się,
ma góralka dwa warkocze,
podzielita się!

Nie mogę bez włosów być góralką, ale za to będę parobkiem.

Z wujka Miklicza był tęgi parobek. Babcia czasem o nim opowiada, zwłaszcza kiedy się zbliżają żniwa i wszystkie ręce muszą się dwoić i troić, żeby zboże z kłóska nie spadło.

Nie byłoby to według mnie złe, bo wtedy nie musiałoby się zboża młócić, ot, wystarczyłoby ziarnka po-

zbierać, a jak można pozbierać rozsypaną fasolę i przebierać groch, pewnie i ziarnka dałyby się zebrać.

Nie wyrrywam się jednak z takimi radami. Wolę słuchać, jak to wujek Miklicz, kiedy do Maryni chodził (Marynia, siostra ojca, wyszła za Miklicza; ojciec twierdzi, że Babcia ją najbardziej ze wszystkich swoich dzieci kocha; nie wiem, co znaczy kochać, ale ojciec pewnie wie, co mówi), już o czwartej rano, kiedy schodził z nocnej szychty, z kolegami i harmonią pod oknem domu stawał, Marynię muzyką budził i z harmonią wszyscy razem szli na pole żąć żyto, pszenicę, jęczmień, owies.

Harmonista grał, Babcia aż promienieje wspominać, już obydwie widzimy, jak to po dwóch godzinach nasze stajonka pokrywają się kopkami żętego zboża, sąsiedzi pękają z zazdrości, bo oni dopiero żniwa rozpoczną, a nasze zboże już żęte. A jak się żyto powaliło, to Miklicz tylko raz-dwa kosą ruszył i już za nim łyse ściernisko.

Jak moja teraz głowa. Muszę się jej rankiem dobrze przyjrzyć. Ale to niemożliwe, żeby kłuła jak ściernisko, po którym żadne dziecko, a ja szczególnie nie lubię chodzić, bo kaleczy nogi, i biegać po nim w żaden sposób nie można, tylko powoli trzeba się schylać, żeby wszystkie kłoski zebrać, bo z nich po wybraniu ziarenek jest najlepsza zacierka, jak się ziarenka wysuszy na słońcu i potem w żarnach zmiele. Dzieci nie mogą być darmożjadami. Kiedy starsi są przy żniwie, dzieci muszą zatroszczyć się o obiad, to znaczy zbierać kłóska na zacierkę.

A kto wtedy, kiedy żniwa odbywały się przy harmonii, zbierał kłóska? Mnie jeszcze na świecie nie by-

ło. Może wujek Tomek, on powinien był być wtedy mały. Ale nie, ojciec mówi, że takiego leniwcę to ze świecą szukać w całej Galilei.

Trochę mi się nie zgadza, była Kana Galilejska, ale w Palestynie. Tam stał się cud, bo się woda w wino zamieniła; co to jest wino? Pewnie wódka, bo bez wódki nie ma wesela ani swaszczyń, i chleb się mnożył z samych skórek, i ryby... Czy szprotki też? Od czasu wyprawy po lekarstwo dla Edka czuję niechęć do szprotek, ale ich smak, im więcej miesięcy upływa, staje się coraz bardziej wyrazisty, oj, jak bym teraz zjadła szprotkę, nawet z głową i ogonem! Racja. Nie jadłam już tyle godzin, nikt sobie nie przypomniał o obiedzie i kolacji dla mnie, ale to i dobrze, bo się obyło bez montewki.

A może udam się, jako parobek, do Galilei? Parobki są silne, choć daleko do Palestyny, to przecież niejednen w dawnych czasach tam dotarł, ja też dojdę! I będzie pełno pomnożonego chleba, i szprotek, i wina. Jeśli wino z wody, to będzie smakowało jak sok malinowy. Najem się za wszystkie czasy i na zapas, a resztę przewiozę do domu, może wtedy już nigdy nie zabraknie chleba i chleb będzie dla wszystkich?

W moje marzenia wkrada się jednak coś jakby niepokój. Może jest jeszcze inna Galilea? Bo przecież gdy dziadek Piotr z domu wyruszał, Babcia mówiła, że jak się już wszyscy, co to mieli jechać do Ameryki, na Rynek zgromadzili, dziadek wykrzykiwał:

— Bądź zdrów, Galilea!

Czyżby zatem Galilea była tu, gdzie teraz wszyscy jesteśmy? No to dlaczego nie widziałam w pobliżu żadnego cudu? Cudów nie ma, gdy jest grzech. A Babcia stale powtarza, żeśmy wszyscy bardzo grzeszni. Pew-

nie Bóg uciekł z Galilei, bo go zabijano nieprawościami.

Babcia stale mówi albo śpiewa o nieprawościach, ale nie umie dokładnie wytłumaczyć, co to takiego, wtedy nie można pytać dalej, bo zaraz na człowieku wylądjuje, co tam akurat Babcia ma pod ręką albo w ręce. Może to być słomiany wiecheć, ale i garnek gorący albo twarda miotła.

— Świętemu by cierpliwości do ciebie nie starczyło!

Wiem, że Babcia pragnęłaby być świętą, jednakowoż bardzo to trudne, zwłaszcza jak się ma taką córkę Marynię i takiego Tomka, taką synową i podobne wnuki, i miało takiego chłopca, czyli męża.

Jakie pretensje ma Babcia do Maryni, skoro — pamiętam dokładnie ojcowe słowa — tak ją kocha?

— Babciu, i co się potem działo, jak jużście wszystko pierwsi wyżełi, z pola uprzątnełi...

Podprowadzam Babcie pod dalsze zwierzenia, pewnie powie też o żalach do Maryni. Lubię ciotkę Marynię, jak przychodzi na święta, to się tak dostojnie porusza, jak sama Matka Boska, gdyby zstąpiła z obrazu. Poza tym nosi też jej imię, z czego Babcia jest bardzo dumna, bo wbrew teściowej, co chciała wnuczkę nazwać Kundzią na pamiątkę po swojej matce, wypłakała u męża Piotra, żeby się nie zgodził i na chrzcie świętym nadał córce imię Przenajświętszej Panny.

— O tej, wnusiu, tej — pokazuje Babcia obrazek, a twarz Madonny na nim nawet przypomina oblicze ciotki Maryni.

Madonna włosy ma rozpuszczone, ale gdyby rozpuścić warkocze ciotki, pewnie by jej włosy tak samo wyglądały.

Żał mi warkoczy, które bym miała, gdyby nie dzisiejsza zabawa we fryzjera, ale trudno. Co się stało, to się nie odstanie. Będę parobkiem i zamacham kosą na stajonku pod Działem, a potem wszyscy powiedzą, że jestem jeszcze lepsza od wujka Miłklicza.

Wujek Miłklicz przykleił się do Maryni.

— Wszystkich chłopów mogła owinać dokoła palca...

Jak to? Przecież mężczyźni są duzi, a palec mały...

— Ale on jej nie dawał spokoju. Nawet Draguła do niej podchodzili, czapką się nisko kłaniali, choć byliśmy gołi jak myszy...

Nie, Babcia chodziłaby goła? Niemożliwe, a obraza boska? Babcina spódnica zawsze do ziemi sięgała, pamiętam, jak krzyczała na matkę, że gołymi łydkami świeci, bo matka ubierała sukienkę do kolan. Ciotkę też łajała, że jej giczały poprzetrąca, jak jeszcze raz ujrzy ją w spódnicy do kolan.

— ...A ona, znaczy Marynia, na Dragułę fukała... Jak Miłklicz nie przychodził co wieczór, to tylko zadem biła...

Pewnie była zagniewana, wściekła, bo zadem może bić tylko kobyła, jak chce do ogiera, albo krowa, gdy się gzi i chce do byka. Tak mawia ojciec.

Nie mogę sobie zresztą wyobrazić cioci Maryni z zadem. Jest smukła, porusza się tak, jakby nie szła, a płynęła, gdzie tu zad? Raczej myślę, nie słuchała matki, która chciała koniecznie wydać ją za gospodarza, ot, choćby Dragułę, a nie za humnischczaka, do tego strycharza — może się Babcia pomyliła? O strycharzach była mowa, kiedy wujkowie Tomek i Janek w cegielniach lwowskich pracowali — i to trunkowe-go, z taką fantazyją, że ludzkie pojęcie przechodzi.

— Dlaczego z fantazyją, Babciu?

— Ty wiesz, co ten zasraniec zrobił? Marynię się kiedyś wiesną wiśni zachciało. U nas w obejściu drzewka nie posadzisz, widzisz, jaka wilgoć? Każde drzewko zgnije. A tej się zachciało Bóg wie czego! No i raz jak o tych wiśniach powiedziała, nikt z humniszczaków nic nie odrzekł, ale rano wstajemy, a tu wiśnia za oknami się rumieni, cała pełna słodziutkich jagódek, w słońcu różowieje! Ki czort, myślę, na kolana padam: cud boski się zdarzył! Marynia przed chałupę leci, a tu wiśnia w ziemi stoi, całe drzewko. Potrząsa nim, wcale się nie rusza, tylko co dojrzalsze wiśnie spadają. Ale przecież nikt jej tam nigdy nie sadził, bo i jak! Za chwilę Mańka garściami jagody rwie, do gęby wsadza, aż jej sok po brodzie cieknie... Aż tu Draguła na gościńcu przed chałupą staje:

— Nogajko! — krzyczy — sztraf będziecie płacić! Wiśnieście mi z sadu ukradli!

— Co? Żeby Boga na skonaniu nie doczekała, jakżem w waszym sadzie była. Świadków wam przed ślepią sprowadzę, żem z chałupy przez całą noc nie wychodziła. Sumienia nie macie, żeby biedną wdowę o złodziejstwo posądzać?!

— Przecie to moja wiśnia, sam ją przed siedmioma laty sadziłem, tu kozikiem drzewko zaznaczyłem. Dziady z was sakramenckie, sami sadu nie macie, to i cudzego drzewka nawet nie uszanujecie...

Marynia stoi jak słup, cała jak te wiśnie czerwona, Michaś wyleciał z miotłą na podwórko, teść wybiegł ze stajni z lejcami... Zaraz do bitki dojdzie! I wtedy co? Miklicz od zakrętu z Humnisk z pięcioma nalcia-rzami nadciąga, kapeluszem grzecznie się Dragule kłania:

— Czy za pięć liter wiśni starczy wam pięćdziesiąt reńskich? Marysia wczoraj smak na wiśnie miała,

alem na nocną szczytę spieszył, tom na rynek nie zdążył. U was wiśnie ładne, ale rwać czasu nie było, tośmy je z drzewkiem pod Marysin dom przynieśli i zasadzili, żeby świeże rano zerwać można. 50 reńskich stoi?

A za pięćdziesiąt reńskich morgę pola wtedy kupił... Skończyło się tym, że Draguła miodu postawił, 50 reńskich wziął, litkup wypili, potem Miklicz okowity z pięć litrów przyniósł, dziadka spił, Dragułę spił. W nocy, kiedy ich dziadek chcieli do Humnisk odwiedzić, tak się wszyscy zakrzętnęli, że — rozstap się ziemia — wóz zniknął, nijak go nikt znaleźć nie mógł.

No i musieliśmy wszystkich przenocować, a była to ciężka obraza boska, bo kawaler nie może nocować u panny. Kiedym to powiedziała, Miklicz padł na kolana przede mną i dziadkiem i powiedział, że na naszych oczach serce nożem wyjmie z piersi, bo bez Maryni na krok się nie ruszy.

No i pościeliłam mu w drugiej izbie, reszta kawalerki na strych spać poszła, a Marynia ze mną na kanapie spała, powrozem ją do siebie przywiązałam. No i na szczęście, bo Miklicz nie mógł spać, kręcił się i kręcił w pościeli, obieśmy słyszały, wreszcie na strych do kolegów poszedł. Pomyślałam, że wreszcie spokoju trochę będzie, ale gdzie tam!

Rano dziadek mieli jechać do miasta, konia w chomato ubrali, do wozu prowadzą, ale wozu dalej nie ma. Jakie się piekło rozpętało, trudno opowiedzieć! My związane powrozem z Marynią dokoła domu biegamy, wozu szukamy, dziadek za nami z lejcami i tak w kółko. Wreszcie sąsiad Kędlarski nie wytrzymał, w gaciach ze swojej kamienicy z naprzeciwka wychodzi i do dziadka się zwraca:

— Kumie, coście wy oczy stracili? Popatrzcie na swoją kalenicę!

A tu koło komina na dachu cały wóz stoi, nawet orczyk do dyszla przypięty, tylko konia przyprzęgnąć i jechać!

Dziadkowi ręce opadły, ni to ze złości, ni ze śmiechu, ale Miklicz z kolegami już ze strychu złążą, na dach się drapią i rękami delikatnie wóz zdejmują, przed dziadkiem stawiają. Razem do miasta pojechali, potem w Humniskach zmówiny Maryni z ojcami Miklicza dziadek przeprowadził. I tak Marynię trza było do Humnisk oddać.

Babcia zapaską przeciera oczy, stoi taka smutna i bezradna, oddała córkę, nie ma już podpory, nikt z harmonią na żniwa nie przybędzie, nikt wiśni pod oknem nie postawi, za to co niedziela po sumie ciotka Marynia będzie przyjeżdżała z Humnisk, o fantazjach wujka opowiadać, a fantazje to drogie, ciocia często to i owo w koszyczku ze sobą zabiera, ojciec na Babcię z przyganą patrzy, bo przecież wujek Miklicz w porównaniu z nim jest bogaczem, on pięć złotych za jedną szychtę w kopalni zarobi, a ojciec musi na nie swoim koniem ciulać całymi dniami.

— Wiecie, Matko, wy Boga w sercu nie macie. Wiedzicie, ile co kosztuje... Ona wiano dostała... Co ja teraz będę na gorzałkę dla Miklicza robił...

— Michasiu, przecież to dla twoich siostrzeńców, Bóg ci wszystko wynagrodzi, Matka Boska pobłogosławi na dzieciach i na koniu!

Babcia ojca po głowie gładzi, skórkę chleba z kieszeni fartucha wyciąga:

— Daj Gniademu, posmakuje, nim do roboty pojedziecie...

Ojciec na wzmiankę o koniu podnosi się z ławy, skórkę chleba z nabożeństwem do Gniadego niesie.

Wiem, że jak Babcia zacznie mówić o koniu, ojciec zaraz się uspokaja, co prędzej do stajni śpieszy, Gniadego szczotką gładzi, ogląda mu zęby, kopyta, ciągle o czymś zagaduje, tamten rzy, wygląda, jakby ze sobą najserdeczniej rozmawiali.

Koniowi musi być ciepło, więc my często zamiast pod kocem i pod workiem śpimy, cukier mu się od czasu do czasu należy, bo na przykład dzisiaj ciężko się narobił... Wprawdzie zdarza się to rzadko, bo matka pilnuje cukru z pełnym samozaparciem, nawet Babcia nie wie, gdzie go chowa, ale gdy nastanie taki dzień, ojciec powiada, że on sam ma cukier w dupie, może jeść gorzkie, ale Gniademu słodkość się należy...

Bardzo mnie gorszą te niewybredne stwierdzenia ojca. Nie lubię brzydkich wyrazów. Wiem, że po jakimś takim wyrazie użytym przez kolegę w szkole cała lekcja bierze w łeb. Pani opowiada nam, jak to polski język trzeba szanować i go brzydkimi wyrazami nie zaśmiecać, bo bardzo wielu ludzi życie zań, czyli za język polski, oddało. Bardzo mnie jedna taka lekcja przejęła. Odtąd na własną odpowiedzialność postanowiłam dbać o czystość polskiego języka i narażałam się całemu otoczeniu, bo wszyscy mówili „jo”, natomiast ja „ja”. Oni „wziena”, ja „wzięła”. Wszyscy „póde” ja „pójde”. Podobnie z licznymi innymi wyrazami. Trwało to dość długo, rówieśnicy wytykali mnie palcami, starsi niby to nie słyszeli, a jednak...

Wreszcie ciotka Guzka kiedyś nie wytrzymała

i gdy ją grzecznie poprosiła: — Ciociu, proszę usiąść... — jak nie otworzyła pyska!

— Michałowi się państwa zachciało, córkę na dziedzke chowa! Już ci ta dziedziczka w dupe da! Pa-nów nie zmienisz, krzywdy ci nigdy nie poskapia... Nawet rodzona córka, kiedy ją na panią wychowasz, to cię z torbami puści!

Ojciec mnie chowa na panią, bo po pańsku mówię? Przecież to polski język...

Język, którego używam, a musi on być śmieszny dla mojego otoczenia, posługującego się li tylko gwara z mnóstwem łacińskich naleciałości w rodzaju „kurwa” — że łacińskie dowiedziałam się po wielu latach — w naturalny sposób odsuwa mnie od swoich, otoczenia, do żadnego innego nie przybliżając. Z koleżankami, w rodzaju Marysi Dukat, córki samego dyrektora kopalni, mogę odrabiać wspólnie na przerwie zadania. Zresztą zawsze ma dla mnie gruszkę czy bułkę z masłem na drugie śniadanie. Spełnia w ten sposób dobry, miłosierny uczynek wobec osoby, która takich drugich śniadań do szkoły nie nosi. Ale nigdy mi się nie zdarzyło być zaproszoną do niej do domu, jak też do innych, lepszych domów...

Nie zależy mi wprawdzie na tym, najlepiej czuję się sama, zresztą w pozornej samotności zawsze mam jakieś towarzystwo: a to Buffallo Billa, a to Marietty albo dziewczynki z zapalnikami. Kiedy jestem z dziewczynką z zapalnikami, wtedy zupełnie inaczej kończy się jej historia wymyślona przez Andersena... Bardzo lubię zmieniać losy znajomych z różnych książek, w zależności od roli, jaką sobie przybieram w trakcie czytania. Zawsze dbam o to, żeby nie dochodziło do tragicznego końca. Staje się tak nawet mimo zatroska-

nych uwag Babci, które przecież słyszę, bo wszyscy razem mieszkamy na kupie, że rosnę na jakąś dziewczynkę. Babcia mówi to. Wprawdzie z przyganą, ale nawet ogłębnie i z czułością. Natomiast rówieśnicy są bardziej bezwzględni i gdy tylko pojawię się na gościńcu czy na jakimś podwórku, gdzie aż roi się od dzieci, wykrzykują:

Oho, Chrystusik przyszedł!

Dla Babci Chrystusik to coś nadzwyczajnego, ale dla Piotrka Babireckiego, Julka Szuby, Stefka Szmyda, Zośki Borkowskiej — jest obrazą, kiedy się taki epiteczek do osoby przykleja.

Jestem w kropce. Chciałabym być Chrystusikiem, bo wtedy pochwalili Babcia i ksiądz katecheta, ale też nim nie być, bo wtedy mogę być wybrana przez rówieśników na czarnego luda albo czarodzieja, który może swobodnie pędzić z kijkiem i tego lub owego zaczarować... Ów wtedy musi jako zaczarowany stać jak słup, nieruchomo, dopóki go ktoś ofiarny nie odczaruje... Chciałabym być panią, mówić poprawnie, bez gwary, ale nie taką, co to własnego ojca z torbami puści. Nie...

Dylemat dojrzewał. Myślę, że moja zgoda na bycie klientką fryzjera stąd się zrodziła. Tylko że Julek zażądał jedynie udziału w zabawie we fryzjera... Ale gdybym chciała zdobyć uznanie np. Stefka Szmyda, musiałabym prawdopodobnie ponieść niewspółmiernie większą ofiarę, choćby zgodzić się na kradzież, oczywiście wspólnie, owoców z cudzego ogrodu. Ale nie wiem, czy się na to kiedykolwiek zdobęde, bo wtedy musiałabym, jak Stefek, nocą wybierać się do nielicznych ogrodów — na Borkówce jest ich trzy — przy czym w każdym są psy spuszczone na noc z łańcucha.

Nocny Marek ze mnie, jeśli chodzi o myślenie. Długo nie zasypiam, ot i teraz myślę i myślę, czekam na dorosłych, kiedy wrócą od Wojtanowskiej, ale ze wstawaniem w nocy gorzej. Raz, że nie lubię zimna, a w naszej kuchni jest tak zimno, że nieraz w zimie woda w wiadrze na lód się zamienia, dwa, że nie mogłabym wstać i wymknąć się niepostrzeżenie.

Babcia śpi czujnie, zrywa się za lada szelestem, a przecież drzwi skrzypią, gdy się je otwiera, sprzęty jakby się ruszały. Ilekroć ojciec wstaje w nocy do kołna, tylekroć taki hałas się podnosi, iż wszystko, co dotąd uśpione, zaczyna żyć na własny rachunek.

Niezwykajnie, bo w mroku inaczej wygląda ława, a także skopki i wiadra, i cebrzyki, zdają się te sprzęty oddychać, wzdychać... Babcia, kiedy ją o to zapytać, mówi, że się drzewo rozsycha i skrzypi. Ale niekiedy sama poddaje to w wątpliwość i wspomina o różnych potępionych duszach, co się kryją w drewnie, piszczą podczas palenia drzewa, potem uciekają z dymem kominem, aby wreszcie zaznać wiekuistego spokoju...

Wojtanowskiej dusza chyba się w drewnie nie schowa, choć kto wie, przecież Stasinek ma własną drewnutnię, czysto w niej, Milka już w lecie pięknie porąbane szczapki równo i wysoko, aż do sufitu, układa, drzewo wyschnie, zimą nie będzie kłopotu z paleniem. U nas taka zapobiegliwość jest niemożliwa, w lecie wszyscy w polu zajęci, nie ma kto rąbać ani gdzie drzewa układać, co najwyżej pod ścianą domu, zwykle ja je układam, jeśli ojciec rąbie, ale niezbyt wysoko, bo moje ręce nawet najwyżej wyciągnięte sięgają zaledwie połowy ściany. Niedobrze, bo mała ze mnie wyręka. Może jako parobek będę szybciej rosła, wtedy i drewnutnię potrafię sama zbudować? Wprawdzie trze-

ba będzie przeklinać, cieśle i murarze klną, aż na gościniec słychać, potem te przekleństwa Piotrek Babi-recki naumyślnie powtarza, abym musiała uszy zaty-kać. Ja — parobek, będę się musiała przekleństw na-uczyć, zresztą to nic trudnego.

Zaczynam kląć w myśli dla wprawy. Teraz na tę śmierć, która stoi nad Wojtanowską już drugą noc. Niech się wreszcie zezłości i kosą machnie. Ale jeśli jej złość obróci się przeciwko mnie? Wtedy znajdę ją nad sobą, starsi wrócą, a tu już następny zimny trup leży. Babcia uderzy w lament, ojciec pożałuje parob-ka, matka znowu będzie zła, bo przecież skąd pienią-dze potrzebne na trumnę? Wujek potrząśnie kieszenią, bo bez białej sukienki nie można trupa pochować.

Dlaczego jednak z tej okazji nie mogliby mi kupić różowej sukienki z czarną aksamitką? Od bodaj dwu lat, czyli od czasu, kiedy w takich sukienkach ujrza-łam Stasię i Zosię Borkowskie, w prawie każde pogod-ne popołudnie jawią mi się przed oczyma różowe su-kienki z czarnymi aksamitkami w pasie zamiast paska i sandałki czarne, lakierowane. Sama nigdy podobnych sandałków nie miałam, muszę poczekać do komunii, wtedy wujek z pewnością sandałki sprawi, ale chyba nie czarne, w czarnych lakierkach do białej sukienki nie można byłoby chodzić.

Ciekawe, czy Staś swojej mamie zrobi czarne la-kierki, aby ją ubrać do trumny... Gdyby tak jeszcze dłużej umierała, mógłby zdążyć, bo przecież wiecznie przy niej płakać nie powinien, podczas pracy i rozpacz by mu szybciej przeszła. Powiem o tym Babci, ona mogłaby radę podpowiedzieć Wojtanowskiemu... Mnie nie wypada, w ogóle nie wolno się wtrącać w sprawy

dorosłych. Pamiętam, jak się kiedyś skończyło, gdy się niefortunnie wtrąciła...

A było tak: tuż za naszym domem, zaraz za drogą, Dydakowie mieli dwa zagonki. Dydak — stolarz, niedawno się sprowadził na Borkówkę z pobliskiego Sanołka dla lepszego powietrza, bo chorował na płuca. Razem z całą rodziną: żoną, synem, teściową i bratem. Nie mógł z powodu choroby pracować jak pan Szuba w stolarni, zatem rozpoczął gospodarowanie na paru różnych zagonkach rozsianych w wielu miejscach, między innymi i na tych przed naszym domem.

Gospodarowali źle — mówił to i wujek Leń, i wszystkie ciotki, ojciec się nie wypowiadał, wtedy rzadko bywał w domu, bo bardzo dużo pracował, postanowił bowiem wreszcie odłączyć się od kupy — jak mawiał — i przystawić dwie izby do starej chałupy.

Kupił gdzieś w Golcowej stary dom, rozebrał go i wspólnie z wujkiem Tomkiem, który przestał jeździć do Lwowa, gdyż cegielnia, gdzie dorywczo bywał zatrudniony, zbankrutowała, zwozili drzewo, cegły, kamień pod fundamenty, szuter, glinę itp., szukali sąsiadów, co będą pomagać w stawianiu nowego domu ze starego.

Kiedyś jednak, pamiętam jak dziś, usiadł wspólnie z wujkiem Leniem na przywiezionych balach, obok usiedli inni wujkowie, Nastał, Baran, i rozpoczęła się rozmowa o sprawiedliwości.

Zaczął wujek Leń, wściekły, bo złapał go leśniczy, jak wynosił suche gałęzie z lasu. Las był pański, nie wolno było z niego nic wynosić, ale nikt na to nie zważał. Babcia chodziła do lasu na grzyby i my na maliny, borówki czy poziomki, jesienią zbierało się liście, żeby otulić chałupę przed zimą. Ojciec wbijał tuż przy ścianie leszczynowe paliki, Babcia z wujkiem

pletli na nich rodzaj koszyka z wiklinowych gałązek i w takie „obmurowanie” wsypywało się suche liście. Nosiliśmy je z lasu wszyscy, nawet Zdzisek.

Babcia dobrze знаła las, wiedziała, gdzie najwięcej suchych liści, podczas zbierania mieliśmy się zachowywać jak zajęczki, to znaczy cichutko i uważnie słuchać, czy ktoś nie idzie, a gdyby szedł, szybko za Babcią zmykać skokami, uważając jednakże, aby z worków żaden liść nie wypadł. Babcia często do zapelnionych liśćmi worków wtykała uschnięte gałązki, które łamała w rękach i my też za jej przykładem, bo w ten sposób wyrabiało się siłę w rękach, aby były mocne i zdadne do każdej roboty.

— Las nie jest pański, ale Boski...

Thumaczyła, kiedy mówiłam, że my przecież kradniemy wszystko z lasu, powtarzając tę opinię za panią nauczycielką.

— Pan Bóg stworzył las dla ludzi. A że panowie myślą, że jest ich, no to niech sobie myślą.

Ojciec dodawał, że las trzeba czyścić z chaszczy, to pan nawet powinien nam płacić, że przed zimą robimy w nim porządek.

Argumenty owe jednakże najmniej trafiały do przekonania nowemu leśniczemu, który na sprzątanii łapał biedaków i zapisywał, a potem w gminie kazano płacić złapanym grzywnę.

Zdarzyło się to właśnie wujkowi Leniowi, który teraz oto odgrzązał się, że pójdzie do Dąbrowieckiego, chodzącego na kłus, a wtedy „leśniczy doczeka się ołowianej sprawiedliwości”.

Czyli kulki, która przecież w lesie może pobłądzić i jak leci, to nie pyta, kto dzik, a kto leśniczy.

Ojciec mitygował wujka Lenia, Nastał śmiał się z wujka, że nie potrafił umknąć przed takim ciodkiem,

a wujek Bober ni stąd, ni zowąd zaczął o sprawiedliwości: że mianowicie należałoby dojść w gminie, które to lasy należały kiedyś do chłopów, bo on pamięta słowa dziadka, mówiącego, jak to ród Nogajów miał kiedyś las.

— Jeszcze za cysorza Franciszka albo Józefa...

Tenże cesarz zatwierdził przywilej króla i każdy z chłopów nawet chałupę mógł zbudować z wyciętego w lesie drzewa.

— A o Leniach nic twój dziadek nie gadali?

— Lenie nie liczyli się do gospodarzy... — dobrodusznie odpowiedział wujek Bober i ani się spodziewał, że wujek Leń zacznie kpić:

— To napuść Sawickiego na gminę. On ma czas na chodzenie. Ty mu nawet wychodki czyścisz, żeby on na sumie mógł śpiewać, księdza pod ramię pod baldachimem prowadzić i gnojem nie śmierdzieć. Jakby nie ty, on w swojej kuźni co najwyżej Michałcie by podkuwał, bo taki z niego kowal, jak z koziej dupy trąbka. Taki jak z ciebie gospodarz, co bez portek z łaski szwagra chodzi, a las mu się marzy niiby gospodarzowi.

Wywód charakterystyczny dla wujka Lenia, który w zapale krasomówczym potrafił co trzy minuty zmieniać zdanie, a bardzo był uczulony na tle rodowej godności, bowiem ciotka Węgierka ciągle mu przypominała, jak to bez gaci do ślubu szedł i żeby nie Hanka, świeżo poślubiona żona, co go potrafiła jeszcze w spodniach odciągnąć od domu weselnego, toby niechybnie w ucieczce przed podpitymi kumplami spodnie zgubił i wtedy co by to było:

— Lebu, że pan goły bez kalesonów, lebu, z gołą dupą ślub brał.

Teraz sprawiedliwość zesła na plan dalszy, ale

niezupełnie, gdyż ojciec z kolei się poskarżył, że Dydakowa sprowadziła urzędnika, żeby szkodę na sąsiadującym z nami zagonku oszacował, jako że zasiany na nim jęczmień kury dokumentnie zniszczyły. Wprawdzie dokładnie nie wiadomo, czyje kury — to był wyraźny przytyk do wujka Lenia i ciotki Guzki, których zagrody też z zagonkiem sąsiadowały, ale obydwójce nic na to nie odpowiedzieli, tylko wujek zaznaczył, że on swoje kury w stajni zamyka.

— Pewnie dlatego twój koń ma zoły — powiedział ojciec i radził, żeby jednak kury trzymać w innym miejscu, bo koń nie znosi zapachu i widoku kurego łajna.

— To najczystsze stworzenie na świecie...

Już dotykał ulubionego i niewyczerpalnego tematu, kiedy matka wtrąciła, że czas skosić trochę koniczyny do udoju, wynieść gnój ze stajni, przygotować słomę na podściółkę, aby Gniady miał czysto.

Wujek Leń nieopatrznie — jak się później okazało — dorzucił, że Michał nie potrzebuje się troszczyć o słomę. Bo jak oszacowali szkodę na zagonku Dydakowej, to tak czy siak musi ją spłacić, głównie za ziarno jęczmienia. Ale słomę powinien sobie zabrać, gdyż:

— Po co takiej pani jak Dydakowa słoma. Książki z niej nie robi, a ona tylko całymi dniami nos do książki wtyka. A ponadto byłoby niesprawiedliwością, żeby i za ziarno płacić, i słomy się pozbywać. Zwłaszcza że jęczmienna słoma nawet do karmienia bydła się nadaje.

Wujek chciał widać błysnąć gospodarskim rozumem. I nawet mu się udało, bo i Nastał, i wujek Bober, i ciotka Guzka potwierdzili zgodnie jego zdanie, pochwalili, że sprawiedliwie myśli...

Po chwili już nikogo na pryzmie drzewa nie było.

Wszyscy odeszli do swoich zajęć. Zostałam tylko ja, aby odpędzać kury od zagonka Dydakowej.

Zajęcie wcale nieciekawe ani zajmujące. Postanowiłam zatem zabawić się w obrońcę sprawiedliwości.

W gminie sprawiedliwości szukać nie mogłam: nie wolno było odejść od domu z powodu kur. Natomiast nic nie stało na przeszkodzie, aby pomóc rodzinie, przenosząc stłamszoną przez kury jęczmienną słomę pod dach. Zbierało się akurat na burzę, pierwszym wtedy przykazaniem było nie pozwolić, by deszcz zalał coś w polu. Ogromnie dużo potem roboty z suszeniem, w czym wszyscy musieliśmy uczestniczyć obracając w nieskończoność pokosy, gdy tylko pojawiło się słońce. Bolał wtedy grzbiet, kłuło w ręce, nawet szyję atakował oset. Nie, przewracanie nie należało do przyjemności. Dlaczego się na nie narażać?

Jak widać racji było wiele, powszechne zdanie o sprawiedliwości nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Szybko zbierałam słomę z zagona Dydaków i przenosiłam ją pod dach, na przyzbę domu. Niewiele jej było, tej, z której kury wydziobały ziarna, bo tylko taką wybierałam.

Oczywiście nie brakło świadków mojej krzątanimy. Pani Szubina pokazała nawet moją zapobiegliwość pani Dydakowej, co dostrzegłam kątem oka, przemierzając drogę z zagona pod dom kilkakrotnie. Ale tak czułam się dumna i z mojego postanowienia wymierzenia sprawiedliwości, i z dokonywanej pożytecznej pracy, że tylko czekałam na pochwały.

Liczyłam na pierwszą, Babci. Akurat przyprowadziła krowy z pastwiska, uwiązała je przy studni, pobiegła po wiadra, aby je napoić.

— Popatrz, Babciu, ile słomy przyniosłam.

— A skąd?

— Z pola Dydakowej.

Babcia zamieniła się w jeden wielki znak zapytania.

— Co?! Coś ty dziecko zrobiła, bój się Boga!

— Jak to? Przecież wszyscy mówili, że tak będzie sprawiedliwie...

— Boże święty, kiedy ja to odniosę z powrotem, już ciemno... Jezus, Maria! Co z ciebie za utrapienie!

Dalszy ciąg Babcinych wymówek zagłuszają pojojne krowy. Prychają, chlepczą, woda w korycie mętnieje, w mojej głowie mętlik większy niż najbardziej mętna kałuża: jeśli się za coś zapłaci, to coś nie należy do płacącego? Z lasu bez zapłaty wolno brać, a z pola nie? Jeśli mowa o sprawiedliwości, samemu nie można jej wyegzekwować?

Dlaczego wszystko, co robię — a chcę robić dobrze — jest złe? Co teraz będzie?

I istotnie było. Finał sprawy nastąpił po trzech dniach.

Jeszcze spałam, kiedy ojciec poszedł do gminy. Nie przyszedł wieczorem, natomiast w południe tego samego dnia pojawił się wysłannik gminy i coś tam pisał, choć Babcia cały czas pokazywała słomę przeniesioną na dotychczasowe miejsce jeszcze o świcie... Na następny dzień znowu nie było ojca, prawie nie widziałam matki ani Babci, trwały żniwa, na krok nie odstępowałam od rodzeństwa, pilnowałam kur itd. z taką gorliwością, do jakiej tylko byłam zdolna, ale i tak nikt się prawie do mnie nie odzywał także przez następny dzień.

Po trzech dniach, w południe, zjawił się ojciec. Taki, jakiego nigdy dotąd ani potem nie oglądałam. Za-

rośnięty, w zmiętej odzieży, już w sieni chwycił za kij i wpadł z tym kijem do kuchni.

— Zabiję! — ryknął. — Zabiję!

Z rozpedu trzasnął kijem wiadro, woda zalała kuchnię...

Wyskoczyłam przez okno, za mną matka, potem Babcia, za nami ojciec, ciągle wywijając mokrym kijem.

Pierwszą rundę dookoła domu pokonaliśmy w kolejności jak wyżej. W drugiej — umknęłam w szparę między ścianami starego i nowego domu, ojciec rzucił kij w moim kierunku, złamał się on w połowie. Złapał połówkę. Babcia biegła z krzykiem przed siebie, matka za nią z krzykiem i płaczem, na podwórkach sąsiednich domostw zaroilo się od sąsiadów, wujek Leń już biegł przez pobliską łączkę również czymś machając, wreszcie ojciec potknął się na jakiejś desce i rozciągnął jak długi.

— To wy, krucafiłks! — wykrzykiwał na leżaco — jeść człowiekowi nie dajecie, kiedy za was w kryminalne siedzi?

— Jak to?

Pierwsza oburzyła się Babcia, pozostająca w bezpiecznej, znacznej odległości od taty:

— To ci tam, biedaku, jeść nie dali? Odcedzaj, Helka, ziemniaki! Michał głodny!

Wykrzyknęła teraz na cały głos i podbiegła do leżącego ojca. Także wujek Leń dobiegł, podźwignęli wspólnie ojca, który zwyczajnie, wraz z nimi, wszedł do domu.

Sąsiedzi jeszcze stali na podwórkach, komentowali wydarzenie, dobiegały mych uszu zdania o obrazie boskiej, widziałam gesty zdumienia, bo jako żywo wokół naszego domu raczej cisza panowała, nikt w sąsiedz-

twie nie słyszał podniesionych głosów... Drżąc ze strachu i wstydu przesunęłam się pod ścianami pod okno kuchni, zerknęłam do środka.

Ojciec siedział na stołeczku używanym zwykle przez matkę do dojenia, przed ławą, na której dymiła misa pełna ziemniaków omaszczona skwarkami ze słoniny i przysmażoną cebulą. Wspaniały zapach zakręcił mi w nosie. Ostatkiem sił powstrzymałam kichnięcie, przełknęłam ślinę, której już pełno było w ustach.

Nie, nie mogę ryzykować wejścia do domu. Ojciec jeszcze wyraźnie naburmuszony, matka nalewa zsiadłe mleko do drugiej misy, patrzy na niego z głębokim wyrzutem:

— Taki wstyd! Taki wstyd! — powtarza w kółko — rękę na mnie podniosłeś!

— Co?

W głosie ojca nadal groźba, Babcia przerywa:

— Nie zbieraj, Helciu, śmietany z mleka, trza chłopu dobrze dać zjeść!

— To ci skurwysyny!

Wujek Leń jest szczerze oburzony:

— Żeby w kryminale jeść nie dawali? Nie do wiary! Za co my podatki płacimy!

— Oni takim, co przyszli siedzieć, bo nie zapłacili grzywny — wyjaśnia w miarę spokojnie ojciec — nie dają zarcia. Baba powinna wam przynieść jedzenie, od czego ją macie? — powiedział do mnie przodownik.

— A ta...

Ojciec znowu wpada w złość, matka usłużnie przysuwa mleko z grubą warstwą śmietany na powierzchnię.

— Nie wiedziałam, Michale, nie wiedziałam... A tamto stajonko na Krzemionce jużesmy wyżyły. Pew-

nie dziś zboże trza będzie zwieźć. Już dobrze przeszło, cały czas pogoda była...

— A była, była. Mało mnie szlag nie trafił, bo i pić nie dawali, tyle się napiłem, co mi kawy Zbiegień zostawił, jak mu dali na śniadanie...

— To Zbiegień też siedzi? — zdziwił się wujek. — Dopiero w poniedziałek widziałem go na targu...

— A tak, Jankiel go podał, że rachunku nie wyrównał, już trzy tygodnie na bóg kupował, z pięćdziesiąt złotych winien, jeszcze posiedzi, zanim Zbiegniowa gdzie pożyczycy...

— A gdzież ta biedna Zbiegniowa może pożyczycy...

Zatroskałam się nagle. Wiem, że nie sposób teraz u kogokolwiek pożyczycy, wszyscy narzekają na brak gotówki. Ojciec też nie mógł znikąd otrzymać dziesięciu złotych, co miał je zapłacić jako grzywnę, bo ludzie, winni mu pieniądze, gdy ich o nie prosił, bezradnie rozkładali ręce:

— A skąd ci teraz weźmiemy, Michale? Zaczekaj, po żniwach!

Ojciec przez trzy dni chodził wieczorami do dłużników, bez skutku, wreszcie uradzili z matką, że lepiej odsiedzieć trzy dni, niż zapłacić dziesięć złotych.

Ot i jakie skutki! Ojciec rozgniewany jak nigdy, matka zapłakana, Babcia usłużna, tyle krzyku na podwórku, sąsiedzi zgorszeni, a ja znowu bez obiadu... Niestety, moja w tym wszystkim wina największa: kur nie pilnowałam, słomę z cudzego pola zabrałam i pod nasz dom przyniosłam...

Najlepiej to jednak Wojtanowskiemu, bo on dzieci nie ma i w kryminale za nich nie musi siedzieć. Ale ma matkę, której przerwał konanie. I co teraz będzie?

Gdyby miał dzieci, może łatwiej by mu było żegnać na wielki matkę?

W mogile ciemnej śpij na wieki,
wiem, że cię trzeba żegnać... (tu zapomniałam słowa)
Bo uleciałaś w kraj daleki,
za tobą modły bracia dziś ślą...

Przejmująco grają organy, fałszuje ze wzruszenia organista, na środku kościoła czarny katafalk, ksiądz w żałobnym ornacie macha kadzielnicą, organista dalej zawodzi „W mogile ciemnej...”, wszyscy płaczą.

Na pogrzebie Wojtanowskiej na pewno będzie nie tylko proboszcz, ale i wikary, a może nawet bracisz-kowie i ojcowie z klasztoru w Starej Wsi? Kto wie, Milka już w Turzym Polu była, pewnie po pieniądze, bo Stasinek niczego matce nie pożąda.

Dlaczego tak różne są pogrzeby? Niektóre prowadzi ksiądz i organista od samego domu zmarłego, na innych tylko Babcia żegna go w domu, a ksiądz dopiero od kościoła prowadzi na cmentarz, niekiedy tylko sam grabarz przed trumną krzyż niesie, ksiądz w kościele tylko kropi trumnę na katafalku, coś pod nosem pomrukując, nawet organy nie grają...

— Bo to wszystko, dziecko, od pieniędzy zależy — tłumaczy Babcia.

Kryminał dla ojca, jeśli ten nie ma pieniędzy, organy grają na pogrzebie za pieniądze, ksiądz idzie za trumną na cmentarz za pieniądze... Wszyscy wokół narzekają, że nie mają pieniędzy, a równocześnie katecheta głosi, żeśmy równi wobec Pana Boga przed jego obliczem. To dlaczego niektórzy mają pieniądze, i to, co za nie można dostać, a inni nie?

Kiedy pytam Babci o to, tylko macha ręką z niecierpliwością.

Natomiast pan Baran prosto z mostu powiada, że to wszystko bzdety i on ma gdzieś takie gadanie. Przestał nawet chodzić do kościoła, kiedy ksiądz zażyczył sobie dwudziestu złotych za odprowadzenie matczynej trumny na cmentarz.

— To ja za taki pieniądz muszę robić dwa miesiące, a on je bierze za pół godziny spaceru! Niedoczekanie jego, krwiopijcy!

I twardo do kościoła nie chodzi, choć Baranka i ich córka Danusia co niedzielę płaczą, namawiają ojca, aby z nimi do kościoła szedł.

Pewnego niedzielnego popołudnia Babcia powiedziała mu z ociąganiem, bo ostry język miał i odszczekiwał, nie bacząc na osobę, że żonę i córkę na wstyd naraża, gdyż ksiądz kazał akurat o bolszewikach i ręką wskazał na Barankę, która na kolana padła i głowy nawet podnieść nie śmiała.

— Taki wstyd, Jędrzeju, na cały kościół, taki wstyd — powtarzała Babcia.

Babcia pewnie przesadzała z tym wskazywaniem na Barankę, bo ksiądz podczas kazania często ręce ku górze wznosi, ramiona pręży, dłonie ma wąskie i długie palce, kiedy na nie pada światło — różowieją. Lubię patrzeć na palce, przypominają paluszki matki boskiej z łąki, takie kwiatki, piękne na łące, ale zaraz po zerwaniu więdną.

Najżywiej nimi porusza, gdy mówi o zgniliznie w parafii, o pysze, bolszewizmie niechybnie przynoszącym stratę, jeśli się rozpanoszy.

— Wypalić z korzeniami!

Kończy zwykle rozważania, kierując wskazujący pa-

lec w tłum wiernych. Widać Babcia uważała to za wyklęcie Baranki.

Patrzę na Barana, ale jako żywo nie przypomina bolszewików, co ich znam z obrazków w „Rycczu Niepokalanej”, jedynym piśmie przynoszonym przez listonosza, zresztą za darmo, prawie do każdego domu.

Bolszewicy na obrazkach są zarośnięci, trzymają w rękach karabiny, pilnują obdantych dzieci, ogrodzonych drutami kolczastymi. A Baran ma łysą czaszkę, ani śladu wąsów czy brody, nie umie strzelać, nawet w wojsku nie był z powodu jakiejś wady, dzieci nawet lubi, a ma ich pod dachem dziesięcioro i jedno własne. Tamtych dziesięcioro to dzieci szwagra, Gurgacza, z którą to rodziną dzieli chałupę po teściach. Często owe dzieci jadają u niego, bo ostatnio Gurgacz na odpustach prawie nic nie zarabia i Gurgaczka wydziela na dzień jedną skibkę chleba dla każdego. Zapijają ją wodą prosto ze studni.

Nie, Baran zupełnie nie przypomina bolszewika z obrazka.

Teraz jest cały czerwony, wygląda, że za chwilę krew go zaleje, ale do Babci mówi zupełnie spokojnie, nie podnosząc wcale głosu:

— A wiecie, Nogajko, co ja zrobię w następną niedzielę? Pójdę do kościoła, na samym środku stanę. Jak się ten kutas odezwie i coś tam zabreszy, ściagnę portki i każę mu się w dupę pocałować!

— Jędrzeju!

W głosie Babci zgroza. Podbiegła do sąsiada, przyłożyła mu rękę do czoła:

— Jędrzeju, wyście gorączki dostali! Zaraz wam dam soku malinowego...

Już szuka szklanki, nalewa soku i wrzątku, stawia przed sąsiadem, otarłszy fartuchem brzeg stołu:

— Niech was ręka Boska broni! Co macie do księdza, to macie, ale w kościele on sługa Boży i wszystkie nieszczęścia nie na siebie ściągnięcie, ale na rodzinę. Wspomnijcie na szacunek do matki, i takimi słowami, nawet myślami, Boga nie obrażajcie!

Baran zmilczał, choć widać było, że miał jeszcze sporo do powiedzenia. Rozmowa zesła na śluby, akurat wyszły zapowiedzi dla kilku par, potem na roboty gospodarskie, ponarzekano na pogodę, przed nieszporem sąsiedzi się rozeszli.

Za chwilę matka przez okno zobaczyła, że Baran odświętnie ubrany idzie z żoną i córką. Pewnie na nieszpory.

— Dałby Bóg — westchnęła Babcia — żeby się nawrócił. Zaczne chłopisko, a tak se opinię psuje.

Kto to widział, żeby na Borkówce niedowiarki żyły. I nie żadne wywłoki, jak badaczka, czy Zgody, co to na kocią łapę... ale gospodarz z dziada pradziada. Jeszcze pamiętam łany Baranów — od stodoły do lasu! Tydzień u nich trwały żniwa w dziesięć ludzi! Oj, bieda się panoszy, wszyscy na psy schodzimy... Jak stary Baran pomiędzy siedmiu synów pole podzielił, to i nasz Jędrzej ledwo na swoim zagonku zipie. Ale Gurgaczowym dzieciom mleka nie skąpi...

Niestety, tak rychło do nawrócenia Barana nie doszło. Już wieczorem znaleźliśmy historię Baranowych nieszpórów z relacji wujka Bobra, który usłyszał ją od szwagra Sawickiego, żyjącego z księdzem w nader zażyłych stosunkach, bo to i baldachim nosił, i pięknym basem w chórze kościelnym śpiewał.

Otóż same nieszpory spędził Baran u Szymka nad piwkiem. Jak się skończyły, podszedł pod zakrystię, zaczekał na księdza, a gdy ten już przebrany wychodził, nie zważając na licznie wychodzących z kościoła ludzi zaraz do niego przystąpił.

— Dobry wieczór księdzu — powiedział grzecznie. — Muszę teraz coś powiedzieć:

— Podobno ksiądz na kazaniu mówił ostatnio o bolszewikach w parafii. Chce ksiądz, żeby tu naprawdę byli? Nie? To niech ksiądz zarządzi składkę i uruchomi u nas ochronkę. Sam przyprowadzę księdzu choćby dwadzieścioro dzieci, co raz dziennie jedzą. Myślę, że parafię stać, żeby jadły co najmniej dwa razy na dzień.

A do kościoła nie pójde dotąd, dopóki ksiądz będzie brał za pogrzeb po dwadzieścia złotych.

Niech też ksiądz pretensji jakichś do mojej żony nie kieruje, bo jej też do kościoła puszczać nie będę, a księdza za publiczne wytyki do sądu podam.

Księdza zatchnęło, jeszcze bardziej organistę.

Jak parafia parafią nic takiego jeszcze się nie zdarzyło. Nim się obaj otrząsnęli, Baran uchylił kapelusza i pośpieszył na spotkanie z żoną i córką, wychodzącym z kościoła bocznym wyjściem, po czym wspólnie przeszli przez całe miasto, Baran pierwszy wszystkim się kłaniał, żeby nikt nie zdążył się odwrócić i nie oddać ukłonu.

— Ale dopilił księdzu — wujek Bober kończył sprawozdanie, zebrani kręcili cygary, jakoś nikt się nie kwapił do dalszej rozmowy, w milczeniu wypalili swoje i jakby się zmówili, wszyscy razem wyszli. Nawet wujek Leń, choć widać było, że chętnie by coś powiedział.

Dziś przypuszczam, że bali się, aby ich komentarze

nie dotarły do księdza poprzez Sawickiego, któremu niechybnie wujek Bober opowiedziałby, jak zareagowali na wydarzenie.

— No i co będzie z Baranem?

Tuż przed snem zagadnęła Babcia. W zasadzie byliśmy jednym z nielicznych domów, do których zachodził on po sąsiedzku.

— Co ma być? — odpowiedział ojciec. — Jak przyjdzie, to będzie. Co miał na sercu, to powiedział.

— A ksiądz?

— Ksiądz jak ksiądz. On wie swoje i Baran wie swoje. Czy z tymi dziećmi to nieprawda? Sami dobrze wiecie. Jak Bóg widzi wszystko, dojrzy i Baranową prawdę. Ja do niego nic nie mam, przed nikim drzwi zamykać nie będę, przecież tak Bóg nakazuje.

Zrozumiałam, że postępowanie Barana mogło mieć swoje skutki. Złe skutki. Takie same, jak dla Zgodów, którym kiedyś ksiądz wytknął, że na kocią łapę żyją, bezbożnie, i wtedy Kędłarska nie sprzedała im mleka. Dopiero ojciec kazał mi zanosić do nich po litrze mleka codziennie, bo Zgoda był chory na astmę i musiał codziennie mleko pić.

I to także zrozumiałam, że ojciec myśli inaczej niż Kędłarska czy ksiądz i wcale nie chce się kierować moim zdaniem, jeśli chodzi o stosunki z sąsiadami. Zauważyłam już od dawna, że ludzie woleli załatwiać różne sprawy sąsiedzkie z ojcem, niechętnie zwracali się z czymkolwiek do matki. Matka potem najczęściej gromiła ojca za udzielone pożyczki, ale ojciec milczał i dalej robił swoje, to znaczy chętnie pożyczał, z pola zwoził, rozmawiał itp.

Jakoż Baran przyszedł nazajutrz wieczorem, po-

twierdził, co mówił wujek Bober i dorzucił, że jeszcze się zobaczy, czyje będzie na wierzchu.

Okazało się już w następną niedzielę.

Ni mniej, ni więcej, ksiądz zaapelował na kazaniu, żeby parafianie złożyli się na ochronkę. Będą mogły do niej chodzić wszystkie dzieci. Jeśli rodziców będzie stać, zapłacą za ich pobyt. Najbiedniejsze dzieci mogą korzystać z ochronki bezpłatnie, bo zamożni parafianie na pewno nie poskąpią środków na zbożny cel. A jest to konieczne, bo szerzy się zgorszenie: a jeślibyś zgorszył maluczkiego, to lepiej, aby ci przywiązano kamień młyński do szyi i wrzucono do rzeki.

Już wiem, że gorszyć to znaczy kłąć, kłamać przy dzieciach, namawiać je do złego.

Jestem przerażona. Jeśli tak mówi ewangelia — z niej zdanie przytoczył ksiądz — to znaczy wszyscy dorośli będą tonąć w rzece Stobnicy z kamieniami u szyi. No może bez pani Froniowej, księdza, Szubiny...

Ale co z Wojtanowską? Nie słyszałam, żeby przeklinała, czyli gorszyła dzieci. Jeżeli jednak powiedziała do ojca nieprawdę o mnie, powinna czy nie mieć ten młyński kamień u szyi?

Młyński kamień, nawet ten mały, z żarén, jest ciężki. Tak straszliwie ciężki, że w żaden sposób, nawet dwiema rękami, nie mogę go ruszyć.

Stoję na stołku, inaczej nie sięgnę kija, którym kamień ma być poruszany, czekam na ojca. Najczęściej w domu wujka Lenia — bo tam są żarna — i u ciotki Guzki. Żarna stoją w najciemniejszym kącie sieni albo komory.

Nie lubię ciemności od śmierci Edka. Ciemność jest jak żywa. Wydaje się, że mnie dotyka, oblepia. Wszystkie przedmioty, dobrze znane za dnia, w ciemności

są inne, wyglądają, jakby podpełzały ku mnie, czepiały się moich włosów, uszu, kolan... Uciekam wtedy dłońmi do młyńskiego kamienia, trzymam na nim rękę i myślę o prawdziwym młynie.

Jest niedaleko nas, na Widaczu, noszę tam żyto, aby je zemleć na chleb. Niedużo wprawdzie, jakieś dwie miarki (dowiedziałam się w szkole, że stara miarka to ok. 16 kilogramów), czasem trzy, ale kiedy mam je w worku na plecach, muszę zmieniać położenie ciała. Nie mogę iść prosto, muszę się tak pochylić, aby worek leżał na plecach, wtedy ciężar wydaje się lżejszy.

Do młyna jest kilometr, może mniej, najgorszy w drodze jest potok, który muszę przeskoczyć albo wleźć do wody. I to, i to ogromnie niedogodne. Przy skoku worek ciągnie w dół. Przy wejściu do wody — mokre nogi w żaden sposób nie chcą się potem trzymać stromego, gliniastego brzegu. Jeśli już przebrnąć przez te pułapki, wtedy młyn jawi się jako wielkie szczęście.

Już niedaleko, widać go, szumi woda, bije w górę obijając się po wielkim kole, cała budowla dygocze, mieszkają tam znajomi, młynarz ożenił się u Młynarskich, niedalekich sąsiadów naszych, o ich synu wszyscy mówią. — Jasiu, czy z ciebie pałka, czy poeta? — O córce, która wyszła za młynarza Pajęckiego, są dobrego zdania, bo, patrzcie, takiego mruka i odludka a skusiła, młynarz jest cały biały, włosy ma zakryte białym czepkiem, bardzo śmiesznym, schodzi i wychodzi po wysokich stromych schodkach, nie mogę pojąć, skąd tyle białego pyłu, jest bardzo miękki, moja skóra po krótkiej chwili jest też pokryta nalotem, to z twardych ziaren tamte dwa ogromne kamienie robią tyle białego pyłu, mąka jest zupełnie taka sama w dotyku jak pył na gościńcu. Tylko że z niego robi się błoto,

gdy dodać wody, a z tamtego, zbożowego pyłu — chleb. Wprawdzie zaczyniam chleb z pyłu na gościńcu, ale nawet najmocniejsze zaklęcia, by zmienić się w prawdziwy chleb, nie dają mu smaku chleba.

I noszenie żyta do młyna, i mielenie ziarna w żarnach jest bardzo, bardzo ciężkie. Tak ciężkie, że nawet śmiać się nie chce po dwu, trzech godzinach stania przy żarnach. Także powrót z młyna, nawet bez worka, w niczym nie przypomina normalnego chodzenia, które przecież tak bardzo lubię. Nogi wtedy mam jak z waty albo gumy, wcale nie chcą biegać, wlokę je przez łąkę, nie mam siły, by zboczyć, kiedy przede mną jawi się pęk stokrotek albo niezapominajek — a przecież nie chcę ich zdeptać...

Jawia się dwie myśli: choćby mnie Wojtanowska nawet nie zgorszyła, to i tak uczyniła coś złego; i druga: zwykła śmierć, jak zwyczajne chodzenie, musi być z pewnością inna, niż taka, którą przerwał Stasinek.

Babcia siedzi koło pieca, przesuwając palcami ziarenka różańca, modli się głośno o śmierć Wojtanowskiej:

— Panienko Przenajświętsza, zabierz ją już do swojej chwały... Otwórz przed nią rajskie wrota!

Czy raj jest taki piękny jak ochronka?

Byłam tam, zaprowadziła mnie Babcia. Przyszło dużo dzieci. Staliśmy w długim szeregu pod ścianą, siostry zakonne rozlewały kakao, każde dziecko dostało kubek pachnący czekoladą. To cudowne pić kakao. Nawet nie czuję, że pali gardło, pociągnęłam za mocno, sparzyłam usta. Kakao było bardzo gorące. Dotąd nie piłam nigdy czegoś równie smacznego. Pachniały także małe bułeczki.

— Słodkie, z wanilią... — mówiła Babcia. Widziałam, jak się oblizuje, zostawiłam jej kęsek.

— Ale dobre, wnusiu, ale dobre...

Babcia lubi słodczye jak dziecko. Jak ono się oblizuje, mlaska, pociąga wargami, wysuwa koniuszek języka. Jeszcze by chciała słodkiej bułeczki, ale już nie mam. Otwieram dłonie, puste, jeśli pójdę jutro do ochronki, znowu dam Babci kawałek słodkiej bułeczki

Ale jutro może nie być ochronki. Ochronka jest wtedy, kiedy sypie się kwiatki — wypada to około Bożego Ciała. Po sypaniu kwiatków jest podwieczorek albo drugie śniadanie.

Procesja Bożego Ciała trwa i trwa. Idę w rzędzie biało ubranych koleżanek, rzucam kwiatki i bardzo mi żal tych kwiatków. Piwonie z miejsca stają się nieświeże pod butami, rumianki wyglądają jak kaleki stokrotki jeszcze żałośniej, nie rozumiem, dlaczego do rośli każą zrywać kwiatki i sypać je pod stopy. W procesji nie widzę Boga. Jest utajony w monstrancji, która wspaniale błyska w słońcu i ponoć temu Bogu rzucam kwiatki, ale przecież depczą je ludzie.

Gdy mnie ktoś stąpnie na nogę, czuję dojmujący ból. Kwiatki też pewnie boli, jeśli je zdeptać. Po co zatem to wszystko? Po to, by dostać kakao w ochronce. Już nie bardzo mi to kakao smakuje, nie wiem, jał oddać je Babci, może poproszę, aby i ona poszła z mną do ochronki? Wtedy wezmę pełny kubek i dam go Babci. Już jaskry, rumianki, stokrotki i piwonie nie będą pachniały zgnilizną, którą czuję, pijąc kakao. Wypije je Babcia i powie:

— Wnusiu, byłam w raju.

A czy do raju dostała się badaczka?

Nieprawdopodobne. Badaczka nigdy nie będzie w raju, obraziła Pana Boga. I to jak jeszcze! Z badaczką Babcia nie pozwalała rozmawiać. Ona wyrzekła się Pana Boga!

Badaczka mieszkała u Gurgaczów — tych, których córka była Wanda. Nie tamtych mieszkających z Baranami.

Wanda chodziła ze mną do ochronki, sypała kwiatki w procesji, była moją rówieśnicą i szkolną koleżanką, zachodziłam czasem do niej w drodze do sklepu Sawickiej. Badaczka miała kącik w domu Gurgaczów. Mieszkała sama, pachniała ziołami: rumiankiem i piołunem.

Dlaczego obraziła Pana Boga? Co to znaczy obrazić Pana Boga? Z tego, co mówi Babcia, wszystko może być obraźliwe wobec Pana Boga.

— Najgorsze jednak, wnusiu, to się Go wyrzec...

Jak to — się Go wyrzec? On jest jak powietrze, słońce, śnieg, mama, tata, Babcia. Zawsze, jeżeli pamiętam, towarzyszył mi w życiu. Jeśli mnie, to także badaczce.

Badaczka nie tylko pachnie ziołami. Lubie patrzeć na jej smutne oczy, takie, jakie ma Przenajświętsza Maria na obrazie. Z jej milczenia — zawsze prawie milczy — płynie spokój, wygląda jak pani Froniowa. Jest szczupła, schludna, spokojna. O co chodzi?

Ona należy do badaczy Pisma Świętego.

Też mi to nic nie mówi. Pismo Święte. O nim mówi ksiądz katecheta, czasem Babcia, aby podkreślić ważność swoich pouczeń, wspomina, że już także w Piśmie Świętym o tym mówiono — ale sama Pisma Świętego nigdy w rękę nie miałam i myślę, że by nikt mi go do ręki nie dał.

Więc badaczka musiała mieć w ręku Pismo Święte i to samo stawiało ją o wiele wyżej, niż kogokolwiek z mego otoczenia. Ale dlaczego zasługuje na przyganę, którą najwyraźniej słyszę w słowach Babci i w ogóle wszystkich?

Badaczka mnie interesuje. Chciałabym, podczas odwiedzin u Wandy, zagadać do niej. Ale brak mi śmiałości: boję się przekroczyć zakaz Babci, spojrzeń z ukosa samych Gurgaczów, którzy też się do badaczki nie odzywają, w ogóle męczy mnie, ale i pociąga, cała atmosfera tajemniczości i niedopowiedzeń, jaka ją otacza.

I oto wieść, że badaczka umiera. Jest bardzo chora, nawet Babcię wezwano, aby ją namówiła na przyjęcie księdza przed śmiercią.

— Musi się pogodzić z Panem Bogiem...

Babcia gorąco modli się o jej nawrócenie.

— Ale diabeł strasznie tę duszę opętał, nawet wspomnienie o księdzu doprowadza badaczkę do szału.

I stało się. Badaczka umarła bez księdza.

— Wiecie co — mówi mimochodem Babcia pewnego wieczoru, tuż po jej śmierci — patrzcie uważnie, co się jutro będzie działo...

Jutro jest dniem pogrzebu badaczki.

Ani dzwony nie biły, kiedy zamknęła oczy, ani wieczorami nie odprawiano różańca... Wanda mi tylko zwierzyła w tajemnicę, że jej matka razem z Babcią obmyły ciało, ubrały na czarno, matka założyła zmarłej różaniec na ręce, i to różaniec należący do Wandy jako najbardziej niewinnej przed Panem Bogiem, aby pomógł wyjednać badaczce wejście do królestwa niebieskiego, bo Pan Bóg wszystko i wszystkim wybacza.

Nie bardzo mogłam to pojąć, bo gdzież różnica między sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi? Ale dobrze,

że badaczka trzyma w dłoniach różaniec Wandy. Nie chciałam, aby się dalej pętała po Borkówce jako osoba, która nie potrafi zdobyć sobie miejsca choćby na tamtym świecie. Przecież na ziemi go nie miała. Nawet mówić z nią nie wolno było.

Wanda poinformowała, że pogrzeb będzie około drugiej. Nie była to najsposobniejsza pora. Najczęściej zmarły opuszczał dom rano. Ale u nas o tej porze panował poobiedni spokój. Pobiegłam, po umyciu naczyń, nad rzekę. Nie było tutaj innej drogi. Pogrzeb musiał przejść przez most na rzece.

Stałam na moście. Dzień był ładny, po obiednich pierogach czułam błogość i sytość. Cieszyłam się z pogody. Pasienie krów powinno być dzisiaj przyjemne. Już widziałam, jak krowy sennie żują, baki lekko spędzane odlatują bez zwykłej upartości, krowy spokojnie przejdą Duplagówkę, nie powinny się gzić...

Wypatruję pogrzebu. Jestem sama. Żadne dziecko nie przybiegło, choć pogrzeb przynosił nie lada okazję w szarym zazwyczaj życiu do zaobserwowania niezwykłych wydarzeń: rozpaczy bliskich, nieutulonego płaczu sierot, rodziców i innych krewniaków.

Żal wzrastał proporcjonalnie do zarzutów, jakie bliscy nagromadzili wobec zmarłych. A to niektórzy nie pozostawili niczego dzieciom albo porozdzielali spadek nierówno wobec zasług, a to jednych kochali mniej, innych więcej — Babcia zawsze potrafiła najtrafniej określić, kto najszczerzej opłakiwał odchodzących na cmentarz. Wiadomo, że odchodzili tam tak, jak się odchodzi do całkiem zwykłego miejsca. Tyle że się stamtąd nie wraca do domu.

A czasem — mawiała Babcia — nawet się wraca, ale wtedy należy się bać wracających.

Czy Edka też należałoby się bać, gdyby tak zde-

cydował się na powrót z cmentarza? Trzeba będzie zapytać Babci...

Wyobrażam sobie, jak by wyglądał mój pogrzeb, kto by najbardziej na nim płakał. Pewnie matka, najbardziej ponoć płaczą matki na pogrzebach. Może dlatego, że nigdy nie miała dla mnie czasu i do teraz nie wiem, jak wygląda jej pocałunek? Podobno matki całują dzieci. Dlaczego moja matka nigdy mnie nie całowała? Może dlatego, że miała oprócz mnie jeszcze Jankę, Edka, Zdziska i ich przede wszystkim jako młodszych musiała całować? Tak naprawdę nie widziałam takich pocałunków. Gdyby jednak ich całowała, a mnie nie, powinna na moim pogrzebie płakać najbardziej, rozdzierająco...

A jak będę ubrana do trumny? Zapewne w białą sukienkę, bo wszystkie dzieci tak się ubiera. Ale butów nie dostanę, przydadzą się młodszym. I jak tu pójść do grobu bez butów?

Czy badaczce dali buty? Gurgaczka, matka Wandy, miała zaledwie jedną parę. Jeśli buty badaczki nadawałyby się dla niej, grzechem byłoby, gdyby ich sobie nie zatrzymała. Czy byłaby to wtedy kradzież?

Osobiście dałabym badaczce buty do grobu. Gdyby miała ochotę powrócić, w zimie bardzo zmarzłyby jej nogi. Już w październiku trudno jest paść krowy bosso. Sama wiem, bo muszę siadywać na spódnicy, w nogi kłuje zimno, choć chodzi się przecież nie po ścierni, a po trawie. Teraz, w lecie, trawa jest przyjemna, chłodzi stopy niczym woda, najlepiej pod wieczór albo wczesnym rankiem. Teraz przydałaby się trawa na moście. Beton parzy stopy, coraz to muszę podnosić jedną albo drugą. W gruncie rzeczy nie wiem, czy nie

warto by już pójść z krowami na pastwisko, bo po-
grzebu jak nie widać, tak nie widać.

Ale oto nadjeżdża wóz. Taki, jakim ojciec zwozi
ziemniaki z pola albo wywozi nawóz na pole. Zaprzę-
żony w jednego konia, jedzie wolno, obok woźnica z
batem.

Nadjeżdża od strony, gdzie mieszkają Wojnarowie.
Wojnar, znakomity rzeźnik, ma trzech synów. — Co
jeden to większy pijak — mawia Babcia. Sam Woj-
nar też za kołnierz nie wylewa, nabiera wtedy nie la-
da fantazji, siada na plecach Wojnarce i galopują do-
okoła domu, jak na ćwiczeniach kawaleryjskich, z wy-
glądu jest to para raczej artyleryjska, obydwójce ważą
ponad dwieście kilo, ale galop — twierdzą sąsiedzi —
iście kawaleryjski, aż ziemia dudni.

Ojciec często jeździ z nim i jego wyrobami na jar-
marki do Kollbuszowej, Dynowa, Miejsca Piastowego.
Ponoć jego kiełbasy pachną tak, że przed psami i ko-
tami przez całą drogę opędzić się nie sposób.

Rozumiem psy i koty. Ja też na miłą czuję zapach
kiełbasy, salcesonu, szynki... Rzadko je jadam. Ojciec
woli przywozić z jarmarku bułki zamiast kiełbasy, ale
Babcia powiada, że nie wolno jeść za dużo kiełbasy, bo
wtedy obrażałoby się Pana Boga. Bóg powinien też
wiedzieć, co jest dobre. A jeśli tak — dlaczego miałby
zabraniać chrześcijanom zjadania smacznej kiełbasy?

Myślę, że tu jednak bardziej Wojnar winien niż
Pan Bóg, bo jeżeli on tak pije, to pieniądze za kiełbasę
idą na wódkę, wobec czego płaci mniej mojemu ojcu
i ten nie może mi przywieźć z jarmarku kiełbasy.

Teraz jednak nie kiełbasą pachnie na moście, ale
surową wodą i pyłem. Pył wznosi się spod kół nad-

jeżdżającego wozu, widać w słońcu, jest i mgiełny, i przeźroczysty zarazem. Słońce też jakby przyciemniało. Znad rzeki ciągnie wyraźny chłód, choć żadnych chmur nie widać na horyzoncie.

Wóz się zbliża. Jest już przy domu Jaśki. To moja koleżanka, która ma po sześć palców u rąk i nóg. Nikt nie wierzył, że można mieć tyle palców, ja sama też, ale za zgodą Jaśki je policzyłam. W żaden sposób nie chciało być pięć. Jest na pewno sześć. Kiedy oświadczyłam to Babci, powiedziała o Boskim zrządzeniu. W każdym razie lubię Jaśkę, choć niektórzy twierdzą, że to odmieniec i niechętnie się z nią bawią.

Wóz dojeżdża do chaty Kłeczków, a mnie coraz zimniej. Na wozie — tak, to trumna, chybocze na wybojach drogi. Woźnica macha batem, wóz z trumną dziełi od mostu nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Trumna jest z surowego drzewa, ledwo oheblowana, deski wozu mają barwę pyłu. Czuję, jak cierpną mi włosy na głowie, lodowieją ręce na balustradzie, tężeją nogi w ołów. Strach. Mam ochotę być daleko stąd. Nigdy nie widziałam takiego pogrzebu: goła trumna, brudne deski, siwy koń, woźnica i nad nim nagle czarna chmura, przeciągły huk. Zamykam oczy, z całej siły zaciskam powieki...

Badaczkę prosto z ziemi zabiera do piekła diabeł. To on patrzy na mnie drwiąco ognistymi, czarnymi oczami. Macha biczyskiem, pędzi konia, jakby nie dostrzegał chmury, która nagle pojawiła się nad mostem, nie słyszał piorunów strzelających prosto do rzeki. W chybottliwej trumnie badaczka. Na pewno nie ma butów, zatrzymała je Gurgaczka. Jej spódnica furkocze na wietrze, tak jak widziałam, kiedy jeszcze krążyła po podwórku. Ale teraz nie powinna furkotać. Przecież badaczka umarła, jedzie przez most w trumnie, czarny

woźnica macha nad nią biczyskiem, dziw, że mnie nie uderzył...

Babciau! To naprawdę istnieją anioły i diabły?

Nie pójdę nigdy nigdzie, jeśli ty nie pozwolisz! Nie mogę oderwać nóg od mostu. Wóz pnie się już wzgórzem ku Kościńskim. Siwy koń nie zwalnia truchtu, choć przecie droga stroma... Może diabłu śpieszno umieścić wreszcie badaczkę pod murem omentarza, książdz nie zezwolił, by spoczęła w poświęconej ziemi.

Jest mi nieswojo. Wieczorem, po sprowadzeniu krów z pastwiska, nie mam ochoty na łapanie chrząszczy, nawet na ciepłe mleko prosto od krowy. Muszę, muszę usłyszeć, co Babcia powie o dzisiejszym dniu. Czy tylko ja widziałam burzę w biały dzień?

Babcia zakończyła zwykłe, gospodarskie czynności. Usiadła. Jest milcząca, nieobecna, daleka, nawet nie klóci się ze mną, która z nas pierwsza ma umyć nogi przed snem.

Dopiero przy wieczornym różańcu zaczyna mówić. Nie do mnie. Mówi, jakby nie widziała rodziny, sąsiadów, zapatrzyła się w letnią, gorącą ciemność za oknem i ni z tego, ni z owego:

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki! Pomódlmy się, wierni chrześcijanie, za spokój duszy świętej pamięci Stanisławy...

Pierwszy przyklęknął ojciec. Potem matka, wujek, wujenka.

Dokończyli:

— Wieczne odpoczywanie...

A potem Babcia:

— Wszyscy, co widzieli burzę dzisiaj, powinni za-

snąć bezpiecznie. Badaczka jest już spokojna, czy to w niebie, czy w piekle. W piekle też można być spokojnym, jeśli się wie, za co człowiek smaży się w smole. Jam widziała burzę. Na moim stanęło. Wiem, czego wy nie wiecie i inni nie wiedzą, choć nie wiem, czym naprawdę jest czarownica.

Nie, to niemożliwe, aby moja Babcia była czarownicą. Czarownica utuczyła Jasia i Małgosię, aby ich zjeść. Moja Babcia nigdy nikogo by nie zjadła. I w ogóle jest dobra.

To ona modli się teraz, aby wreszcie spokojnie umarła stara Wojtanowska.

Ziarnka różańca suną przez jej palce jak piasek, sama nieraz miałam w ręku piasek, lubię go brać z potoku, z takiego okrągłego, bocznego zalewu, w którym kłębi się tyle maleńkich rybek.

Kiedyś nie odróżniałam głowaczy od rybek. Kijanki też się kłębiły w bajorkach, brałam je wraz z wodą w dłonie, długo oglądałam, ale w żaden sposób nie mogłam sobie wyobrazić, jak mogą z nich wylegnąć się żaby, rechoczące wieczorem tak ładnie i głośno:

Rech, rech, rech, bocian zdechł.

A my temu rade, rade...

Wcale nie dziwiłam się Babci, kiedy z takim zadowoleniem mnie przekonywała, jakie to żaby są rade. Przecież bocian je zjadał. Wprawdzie lubiłam ogromnie bociany, ale przecież nikt, kogo one pożerały, nie mógł się cieszyć ich widokiem.

W takim wypadku wołałam brać stronę żab. Na razie nikt mnie nie informował, że one też muszą coś pożerać, aby żyć...

Rozumiałam, że milkły, kiedy niebo pochmurniało i jaskółki krążyły nisko, nad samą wodą. Bociany też

mogły się tak zniżać i co wtedy z żabami? Jeśli bawiłam się w chowanego, w kryjówce wstrzymywałam nawet oddech, bo wydawało mi się, że szukający na pewno go usłyszy. Żaby musiały zapewne postępować tak samo. Dlatego pełno ich na łąkach, choć pełno tu także bocianów. Żaby dobrze się ukryły i dlatego rechoczą sobie w najlepsze, kiedy bociany już poszły spać.

Chybotce skrecony knot w lampie, przez szkiełko pełgnie ledwie widoczny płomyk.

Jestem żabą, nad którą krąży olbrzymi bocian. Nigdy się nie spodziewałam, że z bliska ma takie ogromne skrzydła. Krąży, opada, z łoskotem stawia cienkie nogi z pazurami, połączonymi jakby błoną. Moja żabia główka chwieje się niespokojnie, wydaje się, że bociani pazur podrapał mi szyję... Raz, dwa, trzy — ktoś daleko wylicza. Gdy doliczy do dziesięciu, mam być już dobrze schowana. Ukryję się pod korzeniem trawy. Tam bocian nie sięgnie. Już. Czuję wilgoć i spokój. Już się nie boję bociana, ale z małej żabki stałam się znowu dziewczynką.

Idę wąską ścieżką koło zabudowań Bargielów. To taka handlarka, która ma dwie córki. Jedna razem z nią handluje, czyli chodzi po domach i skupuje różne szmaty, ładuje je na podręczny wózek, córkę Jankę przywiązuje do dyszla, sama pcha z tyłu i jadą tym wózkiem na następne podwórko i potem dalej i dalej. Gdy jest już pełny, zawożą do miasta, ale czasem zbaczają do swojego domu.

Teraz właśnie do niego dojeżdżają. Ze ścieżki widać, jak rzuca się na matkę, siostrę i wózek głupia Irka, druga córka Bargielowej. Ma trudności z wymową. Bełkocze nieprzytomnie. Chwyta matkę, sio-

stre... Czasem, kiedy nie widać długo matki czy siostry, rzuca się i na mnie, i na innych przechodzących. Ogromnie tego nie lubię. Irka ciągnie za włosy, ściska ręce, ramiona, sięga do szyi. Jest silna, zawsze zostają mi na skórze ciemne sińce po tych uściskach. Raczej unikam ścieżki koło Bargielów, ale teraz muszę tamtędy przejść, Babcia kazała zaglądnąć do Miksiewiczów. Tam umarła siostra gospodarza, jeszcze młoda, mam się dowiedzieć, czy Babcia ma wieczorem prowadzić różaniec.

Przechodzę koło Bargielów. Irka chwytła różne szmaty z wózka i stroi się w nie, podczas gdy Bargielowa z Janką przenoszą inne do domu. Irka wdziała jakąś starą kapotę — chyba od Draguły — czyjś kapelusz, wiąże na wydatnym brzuchu skórzaną, szeroki pas i wiruje w tym wszystkim po podwórku, wznosząc tumany kurzu. Wygląda jak strach na wróble. Mijam tańczącą z niejakim lękiem, skręcam w prawo.

Oto dom żałoby. Pogoda piękna, słonecznie, mający mi się jakby już kiedyś widziany dzień.

Przekraczam próg domu Miksiewiczów. Składa się z dwóch części, przedzielonych sienią na całą długość. U początku sieni jedne drzwi, otwarte, na końcu drugiej, słysząc zza nich krzątanie, buchają zapachy gotujących się jarzyn, jakby jakiejś smażeniny...

Nim wykonam polecenie Babci, pokłonię się nieboszczce.

W dużej izbie mrok, na środku stół z trumną, przy nim ogromne świeczniki (widać kościelny je wypożyczył), ze świec kapią powoli woskowe łzy. Zapach aż wierci w nosie. Wokół stołu pełno gorzko pachnących mirtów, błyskają czerwono pelargonie, widać wszystkie doniczki z kwiatami zebrano z okien i ustawiono dokoła zmarłej.

Ciekawość silniejsza od niejasnej obawy. Podchodzę bliżej, stół jest wysoki, aby zobaczyć twarz, muszę stanąć na czubkach palców.

Oczy zmarła ma zamknięte, ale w momencie kiedy pada na nią moje spojrzenie, jakby drgnęły powieki.

Wrastam w podłogę, usiłuję postąpić do tyłu, ale nogi są nieposłuszne, drętwieje mi kark, drętwieją ręce, jestem cała mokra, muszę się natychmiast stąd wycofać. Nie mogę... wykonuję jeszcze jeden ruch, jeszcze jeden, jestem już na środku izby, spośród zieleni unosi się głowa, wolno prostują ramiona, jam przy drzwiach, ona siada...

Usiłuję krzyczeć, ale zamiera w gardle głos, wszystko odbywa się w lepkiej ciszy, widzę zaciskające się na brzegu trumny palce, potykam o próg...

Pochyla się nade mną Babcia. Leżę jak długa na polepie kuchni, obok kanapki, na której zwykle śpię...

— Babciu...

Mówię szeptem, jeszcze gardło ściska tamten strach.

— Babciu, Miksiewiczka wstała z trumny.

— Sen mara, Bóg wiara. Za dużo było w ostatnim czasie pogrzebów, na następny już nie pójdziesz...

Babcia gdera dobrotliwie, ściera fartuchem mój pot i strach, podkręciła knot w lampie.

Rodzeństwo śpi, teraz wygodniej w kanapie, odkąd Edek na cmentarzu. Jest nas tylko trójka, Babcia na resztę nocy zabiera mnie do swojego łóżka, tuż obok. Ale będzie wygodnie!

Jasno od lampy, ale mrok czał się w kątach powały; oczy świętych z obrazów wydają się spoglądać tak samo, jak tamte oczy, które dopiero co widziałam zamknięte, a potem otwarte.

— Jak się to mogło zdarzyć, Babciu?

Widać, że Babcię obudził mój upadek, jeszcze nie dotarł do niej sens mojego snu, na pewno opowiadałam chaotycznie, ale Babcia potraktowała opowieść poważnie, nie wyśmiała mnie ani nie skarciła. Zaczęła natomiast opowiadać, jak się to dzieje, że umarli zmartwychwstają. Wtedy wstają z trumny jak Mikiewiczka.

— Ale w ogóle to wszyscy kiedyś zmartwychwstanimy. Dlatego trzeba najpierw żyć po bożemu, według przykazań, potem po bożemu umierać, czyli po pojednaniu z Bogiem, no i być do trumny porządnie ubranym, aby się nie wstydzić na sądzie ostatecznym, kiedy się spotkamy w dolinie Jozafata.

Trudno mi pojąć wszystkie myśli Babci. Wszak jedna wyklucza drugą. Ale Babcia się tymi sprzecznościami nie martwi. To prawda, że w ziemi gnie wszystko, jednakże Bóg uczyni cud, a wtedy zgniłe ubranie znów stanie się całe i nowe. Ten największy cud zdarzy się podczas sądu ostatecznego, kiedy na ryk trąb otworzą się na ziemi wszystkie groby, z których przed oblicze Pana wyjdą zmarli tak jak ich pochowano, przy tym o każdym będzie od razu wiadomo, czy był sprawiedliwy, czy nie.

Niepojęte. Na iluż to ja sama pogrzebach byłam, a pogrzeby odbywają się codziennie na całej kuli ziemskiej, i to od wieków... Nie, żadna, choćby najogromniejsza dolina nie pomieści wszystkich zmartwychwstałych. Prawda, w powietrzu może się zmieścić niezliczona ilość duchów, bo są niewidoczne. Ale jeżeli oblekają się one w ciała? Boże, co to będzie za koszmarny tłok. Sam Bóg Ojciec gotów w nim zginąć...

Takich wątpliwości nie mogłam w żaden sposób zgłaszać Babci. Od razu zaczęłaby mówić o bluźnierstwie. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale jak je wymawia, tak groźnie brzmi jej głos, a cała postać jakby rosła proporcjonalnie do wielkości bluźnierstwa... Lepiej nie mówić, zwłaszcza że ciepło przy Babcinym boku, nawet Miłkiewiczka niestraszna, no cóż, wstała sobie z trumny, bo miała ochotę pochodzić trochę po jasnym świecie. Nie wolno jej? A niech sobie pochodzi, na sąd ostateczny i tak zdąży, przypuszczam, że odbędzie się on jednak jeszcze za czas jakiś...

— Teraz — znowu dobiega głos Babci — najważniejsze, by Wojtanowska pożegnała ten ziemski padół.

Babcia codziennie odwiedza Wojtanowską. Jej dom jest stale otwarty, codziennie chodzą tam ludzie, najczęściej Babcia, bo to po sąsiedzku, i matka zachodzi, i nawet ojciec, ale bardzo późnym wieczorem, teraz roboty w polu, ojca prawie nie widuję, wygania go z domu brzask, przygania noc, najwyżej słyszę jego głos, jakby z bardzo daleka, kiedy po powrocie omawia różne gospodarskie wydarzenia. Nie zawsze idzie wszystko, jak należy, ci czy owi zapomnieli tego czy owego, najczęściej słowa ojca wpadają w mój sen, w którym ciągle coś się dzieje, ale zamykające się drzwi, kiedy wychodzi do Wojtanowskiej, zawsze słyszę. Niekiedy nawet wiem, kiedy powrócił, bo pochyla się nad nami w kanapie takim ogromnym cieniem...

— Wiesz, wnusiu — znowu mówi Babcia — a może jej trza pomóc?

Jak to? Babcia, matka, ojciec, nawet ksiądz nie mogą niczego poradzić, aby w domu naprzeciwno przestała się męczyć stara kobieta?

Męka to musi być bardzo wielka.

Starsi opowiadają, że Wojtanowska nie je, nie śpi, dech się w niej ledwo płacze, nie mówi, nie rusza się, czeka i czeka na tę śmierć, a ona nad nią stoi i stoi, i tylko się znęca.

W kącie łóżka stoi. Pod obrazem świętego Stanisława, takiego bardzo jasnego i młodego, który ma niebieskie oczy jak jej syn, jest patronem syna, i on też nic nie może śmierci powiedzieć? Może by ją poprosił, aby się nad Wojtanowską wreszcie zlitowała?

Nieśmiało mówię o tym Babci.

Przytuliła mnie do siebie, pogłaskała po głowie.

— Wiesz, muszę się nad tym zastanowić, coś powiedziała...

Słyszę już tylko aaa. To początek kołysanki, której nauczyła mnie Babcia, abym mogła ją śpiewać nad kołyską Zdziska.

Aaa, kotki dwa, szare bure obydwu.

Nic nie będą robiły, tylko Zdzisia bawiły...

Już i mnie kleją się oczy, jak niegdyś Zdzichowi... Ale jej poprzednie słowa zapadły w moją pamięć. Obudziłam się z przeczuciem, że czeka mnie coś niezwykłego.

I rzeczywiście. Najpierw dostałam zaszczytu zjedzenia śniadania z ojcem. Babcia wstając obudziła także mnie i w czasie, kiedy ona doła krowy oraz paliła w kuchennym piecu, miałam pokroić chleb dla ojca, który wybierał się aż do Miejsca Piastowego na jarmark.

Miejsce Piastowe było bardzo daleko, jeszcze dalej niż Jasienica, w której mieszkał stryj matki. Krewniak znamieny; w jego domu osobno podawało się

masło w maślinicze i osobno chleb, i każdy, mógł sobie tak chleb posmarować, jak tylko chciał.

Nie muszę dodawać, że sama, podczas nielicznych niedzielnych odwiedzin (byłam tam dotychczas dwa, może trzy razy), smarowałam chleb tak wysoko, jak szeroka była kromka. Nawet każdorazowy ból brzucha nie powstrzymywał mojego łakomstwa. Matka patrzyła ze zgrozą, ale widać przy stryjkę nie chciała zwracać uwagi. Jadłam zatem masło z małym dodatkiem chleba.

Poza tym u stryjki była centryfuga. Takie urządzenie, do którego wlewało się mleko, potem kręciło ręczną korbką i wychodziło masło. Jeszcze maślanek i coś, co stryjkowie dawali świniom, aby szybciej rosły. Ja też chciałam pić, aby szybciej urosnąć, ale matka posyłała wymowne spojrzenie. Nie wypadało prosić o napój, jeśli nie częstowano.

Wyjazd do Jasienicy oznaczał dla mnie święto. Dla młodszych nie, bo oni zostawali w domu. Mnie ubierano w sukienkę w kwiatki, matka wiązała różową smugę u szyi, woalkę, Babcia wyciągała jakiś koc, kładła go na siedzenie wozu, ojciec wdziewał ślubne ubranie i jechaliśmy. Ja z tyłu, rodzice w przodzie siedzenia. Najpierw mijaliśmy Starą Wieś, gdzie należało się cztery razy żegnać krzyżem świętym: przed cmentarzem, pod kościołem, przed klasztorem ojców jezuitów i drugim klasztorem, sióstr służebniczek. Potem Blizne. Tu raz, przed kaplicą, potem Jasienica Dolna. Też raz, pod figurą. I stąd już niedaleko do masła i centryfugi, i stryjki, co był w Ameryce. Stąd ta centryfuga, czerwone krowy dające bardzo tłuste mleko, ogródek z kwiatkami przed domem i leszczyna na brzegu strumyka za domem.

Zbierałam tam orzechy laskowe, pożerałam zwykle

razem ze skorupą, miażdżoną w zębach, dopóki nie zauważył tego stryjek i nie zaczął mi ich obierać specjalnym dziadkiem do orzechów. Też z Ameryki. To dopiero było niebo w gębie! Takie samo jak po maku.

— Narwij sobie maku, dziecińko, będzie na drogę — zachęcała stryjna.

Maku tu były łany, cała plantacja. Znosiłam główki nareczami i ładowałam pod siedzenie, aby rodzice nie widzieli.

Zwykle niewiele szypulek dowoziłam do domu. Prawie wszystkie wypróżniałam po drodze, zjadałam ziarenka całymi garściami, doprawdy, do dziś nie rozumiem, skąd mi się brał taki apetyt na mak i jakim sposobem potrafiłam bez ubocznych skutków zjadać takie ilości.

Stryj wprowadził też nie lada zamieszanie w moje pojęcia o rodzinie, ba, wręcz chaos co do własnego pochodzenia. Kiedyś tak oto zaczął usypiać swą najmłodszą córkę:

Oj lulajże mi, tutaj, małe pipileści,
oj matkę to masz jedną, ojców ze czterdzieści.
Oj lulajże mi, lulaj, mały mój narodzie,
oj znalazła cię mama w marchwinnym ogrodzie...

Cały czas w drodze powrotnej z Jasienicy myślałam o tym, ile też ja mogłam mieć ojców, usiłowałam zagadnąć w tej sprawie ojca, ale nie udało się, bo rodzice ciągle coś mówili i mówili, nie dopuszczając mnie do głosu.

Nawet teraz na wiadomość, że ojciec jedzie do Miejsca Piastowego, chciałam z Babcią pomówić na ten temat, ale Babcia jak zwykle biegła od roboty do roboty, a mnie chleb, ogromny, wydobyty z zamykanego

sąsieka, w żaden sposób nie chciał zmieścić się w rękach, a co dopiero dać ukroić nożem.

W końcu odebrała mi go matka, która wstała dziś odrobinę później, i ukroiła parę pajd.

Grubych pajd, bo w środku musiała zmieścić się dziura przeznaczona na ser i masło. Ojciec miał je zabierać na drogę.

Znałam już ten sposób przygotowywania drugiego śniadania czy podwieczorku, bo nieraz nosiłam podobne kromy chleba ojcu w pole, i ze wstydem przyznaję, że w wydrążonych chlebnym dziurach niewiele donosiłam do celu. W drodze przemożnie kusiło mnie jedzenie. Wiedziałam, że nie należy zjadać tego, co jest przeznaczone dla kogoś innego, ciężko na nas wszystkich pracującego ojca, ale widać Bóg pokarał mnie uczuciem ciągłego głodu. Głód wzmagająca ilość pokonywanych kilometrów. Już przed Krzemionką — pierwszą mijaną górą — odwijając zawiniątko, najpierw patrzyłam, potem liznęłam raz, drugi... Potem spoglądałam takimi oczami na jedzącego ojca, że zawsze coś mi tam zostawiał. Skruszona, chciałam powiedzieć, że nie, że już mu część zjadłam po drodze, ale wołało coś we mnie tak mocno: jeść! jeść!, że na dobrych chęciach przyznania wszystko się kończyło.

Babcia przyniosła mleko, przecedziła je, odlała cztery litry dla Jankiela, który zaraz po nie przyjdzie, po dwa litry dla Szubiny i Zgodziny. Patrzyłam, czy zostanie coś jeszcze dla nas. Zostało około pół litra.

Postawiła Babcia tę resztkę mleka w garnuszkach na kuchni, matka poszła poszukać jajek, bo ojciec choć jedno musi zjeść, jako że następny posiłek spożyje najwcześniej około północy, kiedy wróci z Miejsca Piasowego.

Mam przed sobą tyle czasu, ile matka musi poświęcić na znalezienie jajek. Może by tak choć jeden łyżeczek mleka wypić z garnuszka? Rozsądek mówi, że gdyby tak drugi łyk, łatwo będzie można poznać, iż ktoś coś podpiał. A nikogo prócz mnie nie ma w kuchni, najmłodszy jeszcze śpi.

Krażę wokół kuchni, mleko pachnie coraz bardziej, niedługo się zagotuje. Może choć łyżeczkę, powiem, że wykipiało... Ale zacznę wstydzić.

Wypiję mleko ojcu, a jak on biedny poradzi sobie z koniem? On głodny będzie słaby, koń jest mocny, wiem, że nie chce słuchać człowieka. Raz chciałam przejechać się na koniu, mówiłam mu do ucha, że jestem lekka, że się nie zmęczy, ale wcale mnie nie posłuchał i zwałił z grzbietu prosto na płot. Ojca mógłby zwalić z wozu do rowu. Nie, nie tknę mleka.

Zresztą jest to już niemożliwe, wraca matka z dwoma jajkami i wielkim gniewem.

Okazuje się, że nasze kury muszą gdzieś indziej znosić jajka, bo znalazły się ledwo dwa, a kur jest z dziecięć. Pewnie u ciotki Minki, a wiadomo, że ona nie odda cudzych jajek, wszystkie na surowo wypija jej chłop, wszyscy wiedzą, że Guz choruje na suchoty, a suchotnicy przepadają za surowymi jajkami, pewnie i Stefan, syn ciotki Minki, musi mieć gruźlicę, bo myszkuje po wszystkich gniazdach i gdzie się tylko da, tam jajka kradnie.

Suchot też się boję. Wtedy się charczy i charczy, a umrzeć nie można.

A może tej przerwie w śmierci Wojtanowskiej nie Stasinek winien, tylko ona ma suchoty? Wszyscy mówią, że charczy i charczy, kiedy tak leży samotnie i czeka na śmierć.

Nie mogę dłużej myśleć o suchotach, bo wraca także Babcia od świń.

— No to co, Helka, zrobimy Michałowi kawy?

Słucham nabożnie. Kawa Knappa to świętość. Dla czego Knappa? Widać kawa jest ważna, może się nazywać jak człowiek. A pachnie tak, że od razu omdlewają nogi. Drżą, kiedy przechodzę rano koło Szubów. Tam zawsze pachnie kawą, pan Szuba nie mógłby zacząć pracy, gdyby jej nie wypił na śniadanie.

Mój ojciec pije ją bardzo rzadko, choć tak wzmacnia siły. Nigdy nie słyszałam, aby ojciec mówił coś kiedyś o kawie i o tym, że bez niej nie może pracować. Widać kawa nie jest jednak taka ważna, ale pachnie tak wspaniale — prawie jak kakao w ochronce. Oby matka zrobiła kawę, oby matka zrobiła kawę... Ojciec prawie zawsze zostawiał mi odrobinę czegoś, co mu naszykowano do jedzenia...

Matka zgadza się z Babcią. Siega po klucz, widać weźmie z szafki taką kawę, w której od razu jest cukier. Kiedyś kostką kawy z cukrem poczęstowała mnie pani Szubina. Smakowała zupełnie jak cukierek — nawet lepsza, bo w ustach było rześko: i gorzko, i słodko jednocześnie.

A może upadnie gdzieś jedna kostka? Skupiam się bez reszty na rękach matki. Otwiera kluczem szufladę, wyciąga woreczek. Nie, to nie jest kawa w kostkach. Na woreczku widać czarną, uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Murzynka.

Teraz Murzynek stoi na szafce, pada na niego blask spod kuchni, zza półprzymkniętych drzwiczek.

Rano nie zapala się lampy, ciemność rozprasza kuchenny ogień. Tak jest oszczędniej, nafta — Babcia mówi kanfina — bardzo droga, Jankiel daje kwaterkę nafty za kopę jaj.

Śmieję się z siebie. Jeszcze rok temu myślałam, że kopa jaj to taka kopa siana, co stoi na łące. Teraz wiem, że kopa jaj mieści się w koszyku, ale ileż dni trzeba będzie je zbierać, jeśli teraz kury niosą jajka nie w tych gniazdach, które im Babcia urządziła na strychu, koło komina.

— Bo to ciepło im tu będzie i nie będą latały po sąsiadach jak te, za przeproszeniem, latawice...

Latawica to ktoś, kto nie usiedzi na miejscu, nosi go tu i tam, jakby miał piórko w dupie. — Za przeproszeniem, za przeproszeniem — Babcia zawsze dodaje to przeproszenie, kiedy jakieś gówno czy dupa wymknie się jej przy obcych, zwłaszcza przy pani Szubinie albo pani Dydakowej.

Przy nas nie używa często tych słów, bo bardzo brzydkie. Też ich nie lubię, bo kojarzą mi się z zimnem i stale śmierdzącym wychodkiem.

Jeden stoi naprzeciwko okien naszej kuchni — to ciotki Guzki.

— Guz na złość nam wychodek tu postawił, żeby móc na nas dupę wypinać. Dziadu sakramencki, bo-daj ci w nim kutas umarzył! — wykrzykiwał ojciec, kiedy Guz przedstawiał wychodek, który przedtem stał tuż pod oknami wujka Lenia.

Parę razy wujek Leń z Guzem się o wychodek przymówili, kilka — pobili lekko, wreszcie wujek Leń poszedł do gminy na skargę, bo był to czas, kiedy należało — jak powiedział Sławoj — uporządkować każde obejście i oczywiście rozpocząć od wychodków.

Sławoj, wytłumaczyła mi Babcia, to był ktoś mniej ważny niż cesarz Franciszek Józef, co miał pół świata, prawie ktoś jak król, tylko bez korony, bo teraz królowie bez korony panują, pewnie dlatego, że koro-

macja strasznie ich drogo kosztowała, w każdej wsi chłopci na koszt króla mnóstwo beczek piwa i okowity wypijali. Babcia pamięta dotąd, że z okazji koronacji cesarza Franciszka słodką kukiełkę dostała, hrabia Lic wszystkich oficjalistów i pańszczyźnianych na taką ucztę sprosił w imieniu cesarza, że pół wieku ją wspominali. Dlatego cesarz Franciszek zasłużył na dozgonną wdzięczność w Babcinej pamięci i wybaczła mu nawet ojcową mękę, jaką przeżył na wojnie.

— Ale przecież najjaśniejszego pana bronić trzeba było...

— To czegoście sama na wojnę nie poszła?

Ojciec widać nie podzielał poglądu Babci.

Może dlatego, że na koronacyjną ucztę nie był zaproszony?

Kiedy Sławoj kazał bielić wychodki, Babcia popadła w rozpacz.

— Wapno drogie, a co pobielisz, to zaraz tak samo brudne, bo wychodek cały obłożony gnojem. Jak upilnować, żeby gnojówka na tych parę deszczulek nie spływała?

Bieliła i bieliła, zawsze rankiem, bo sprawdzali około południa, gdyby nie pobielić, zaraz karę kazali płacić, a to oznaczało, że znowu nie będzie kamfiny albo co gorsza soli.

— A postne i nie osolone ziemniaki to jakbyś trawę żarł, tylko człowiek nie krowa i mu nie smakuje!

Ciotka Guzka też swój wychodek bieliła, ale że za blisko Leniów stał, któreś dziecko, chyba Jacek, pomazał jeszcze mokrym wapnem palce i przetarł oczy. Co się nie działo potem!

Jacek w ryk, a z nim ciotka Hanka, wujek Leń siekierą rzucił w Guza, ten wyrwał kij z płotu i w wuj-

ka Lenia, wujek umknął, bo „co z suchotnikiem będę się bił”, ale drugimi drzwiami do gminy poleciał. — Tak jak stałem — opowiadał Babci i matce zaraz po powrocie.

— Pokażę skurwysynowi!

Jakoż po chwili cała komisja zjechała. Był w niej też pan przodownik, cały na granatowo, z karabinem, i pan geometra z żelaznym węzem, bo gdy wyciągnął z torby jakby talerz i coś tam pocisnął, stalowa linka strzeliła w górę jak wąż.

Tą linką odmierzył odległość. Mało metrów wyszło, a według przepisu wychodek od domu mieszkalnego sąsiada musi dzielić co najmniej dwukrotnie większa odległość. Tak powiedział pan mecenas.

Wszystko działo się nie opodal.

Ciotka Minka biegała wokół komisji i lamentowała, wujek Guz się stawiał. Nikt z sąsiadów na drogę nie wyszedł, ale Babcia otworzyła okno, skąd była dobra widzialność i słyszalność.

— Guzowi każą płacić śtraf, ale on tłumaczy, że nie da ani grosza, bo za co kupi nowe deski, te stare są całkiem spróchniałe... — relacjonowała Babcia. Postawiłam obok niej stołek, wetknęłam głowę w okno.

— No to pójdziesz z nami!

Pan przodownik wyciągnął kajdanki, ktoś z gminy podtrzymał ręce wujka Guza, już zapięte. Przodownik go szturchnął, bo skutę ociągał się z wsiadaniem na wóz, no i ręki nie miał, żeby się przytrzymać półkoszka. Już go wiozą. Ciotka Minka uderzyła w wielki płacz, z pięściami rzuciła się na wujka Lenia biegnącego do nas po radę, co robić z Jackowymi oczami, bo mu ciągle lży kapią i kapią, a takie ma czerwone, że Hanka aż za kij uchwyciła i wujka wygnała.

— Jakiś ty ojciec, żeś dziecka przed nieszczęściem nie uchronił!

Babcia chwyciła poświęcony wianek ziela, coś tam pomruczała i pobiegła do Leniów.

Tak zbiegło przedpołudnie. Potem zajęto się obiadem, ciotka Guzka sprowadziła Stefana i błagała, żeby sieroty bez jedzenia nie zostawiać, ona musi do gminy, zobaczyć, co z żywicielem.

Żywiciel wrócił po paru dniach i zabrał się do budowy wychodka o jakieś dwadzieścia metrów przed naszym domem. Z okazji powrotu dostało się ciotce Mince, przybiegła z płaczem i siniakami. Babcia coś tam na siniaki poradziła, ale odtąd ciotka nie mogła spokojnie patrzeć na wujka Lenia.

Przez dłuższy czas było tak, że jak on wchodził do nas, ona wychodziła, na ulicy odskakiwała na widok kogokolwiek od Leniów, a oni spluwali na jej widok.

Ciotka Leńka zamartwiała się Jackowymi oczami, ciągle mu się te łzy lały i lały. Wreszcie Babcia poradziła, aby iść z nim do dobrodzieja ze Starej Wsi.

— Może mu jakąś maść dadzą, skoro ziele święcone nie pomaga.

Ojciec, choć był — jak wszyscy twierdzili — prze-dobroci człowiek, przecież złościł się na wujka Guza, bo teraz w ogóle nie można było otworzyć okien kuchni. Z jednej strony tkwił nasz wychodek, z drugiej — wygodka Guzów.

Przyszło mi to wszystko na myśl teraz, bo boję się, czy nie przeszkodzi coś we wspólnym śniadaniu. Ciotka Guzka bowiem, aby nie spotkać wujka Lenia, wybierała najróżniejsze pory odwiedzin. Także te najwcześniejsze.

Wiem, że czeka mnie nadzwyczajny dzień. Wszy-

stko go zapowiada, a przede wszystkim moje przeczu-
cia. Mam je po Babci. Ona miewa je stale. A to prze-
czuwa, że ktoś umrze, że ktoś złamie nogę, że komuś
coś się powiedzie albo nie powiedzie. W ogóle prze-
czucia to wielka rzecz. Taka wielka jak sosna w bis-
kupim lesie albo jeszcze większa. I niezwykła. Nie-
prawda? Na tamtej sośnie wiesz się człowiek. Wie-
sza się wtedy, kiedy dmie silny wiatr.

Wieszanie jest straszne. Wisielec wystawia ogrom-
ny, czarny język. Babcia mówi, że czarny.

— Dlaczego czarny, kiedy ja wystawiam język, jest
różowy, bladoróżowy...

— Czarny staje się, kiedy człowiek już stygnie.

Jak to zobaczyć? Przecież nie wiadomo, kiedy ten
ktoś się powiesi. Babcia mówi, że wtedy, kiedy wieje
wiatr. Teraz wiatr wieje bardzo silnie, aż jęczy w ko-
minie. Lubię wiatr: tu i tam podwiewa, głaszcze, to
znowu rozwiewa włosy, wydyma sukienkę albo szczel-
nie przytula do ciała.

— Wielkie szczęście spotka tego, kto potrafi zdo-
być choćby najmniejszy kawałeczek sznurka, na któ-
rym zawisł wisielec...

W najbliższy wietrzny dzień pójde do lasu szu-
kać wisielczego sznura. Przejdę przez pierwszą debrzę,
potem drugą, przez pierwszy potok, drugi, trzeci, naj-
lepiej je przeskoczę. Wejdę tylko do najszerszego. Jest
niegłęboki, pełno w nim płaskich kamyków, bardzo
gładkich, przeźroczysta woda pluszcze srebrnie, zakry-
wa stopy. Przykryte są inne, jakby zniekształcone, wo-
da płynie wartko, wiruje wokół stóp, masuje skórę,
jest nagrzana, nawet kamienie ciepłe.

Szkoda zabrudzić nóg. Wybieram na ścieżce naj-
bardziej zielone kępy trawy, uważam, by nie stąpnąć

na osę albo pszczołę. W trawie aż szumi życie: brzęczy, bzyka, szemrze, szeleści, trzepocze skrzydełkami to mlecznymi, to tęczowymi albo zupełnie przeźroczystymi.

Dzień jeszcze nie jest wietrzny, ale będzie na pewno, wczoraj słońce zachodziło na czerwono.

Wisielec, nim się powiesi, odpocznie sobie spokojnie w cieniu, na mchu, tylko musi uważać na żmije — choć nie, jeśli będzie w butach, i to jeszcze wysokich, nie powinien bać się węży. Co innego ja. Muszę uważnie patrzeć pod nogi, omijać patyczki, bo nie dosyć, że kłują, to jeszcze gotów któryś z nich ożyć i zegnaj wtedy wisielczy sznurze!

Już widzę, jak na nodze jawi się sina pręga. Zakażenie, gangrena! Trzeba wtedy natychmiast przeciąć skórę i gębą wyssać jad. Ale warga nie może być nawet drażnięta. Wtedy jeszcze szybciej człowiek umrze, jad dostanie się do krwi.

— A najlepiej to skórę wypalić, przytknąć do rany płonący kij i wepchnąć jak najgłębiej. To straszny ból, ale trwa krótko, jad — i boli, i działa dłużej, z dwojga złego lepszy ból krótszy, choćby najgorszy.

— Wisielca nie boli szyja, jak ją wsadzi do pętli powroza?

— Boli...

Zaraz spróbuję, jak boli. Z całej siły zaciskam na szyi chustkę. Do głowy uderza krew, wysadza mi oczy, uszy rozsadza szum, duszę się, wewnątrz szyi tępy ból kości. Dopiero przy ucisku okazuje się, że w miękkiej szyi są twarde kości. Puszczam chustkę. Uff! To wspaniałe się nie dusić. Wolę już nie mieć żadnego wisielczego sznura na szczęście. Przecież wisielec nie może rozluźnić powroza... Kołuje mi jeszcze w głowie, wiruje w oczach szczyt górkę, bo jestem tuż przy szczy-

cie, kąsasz się dolina z potokami... W gardle czuję pełność...

To napływa ślina. Już pachnie kawa, matka smaży na patelni białe placki na prozie — ale ucztą! Nie tylko kawa, jeszcze placki. Ojej! Proza to taki biały proszek dodawany do placków, aby rosły i były pulchne. Placków jest kilka, ojciec z pewnością część zabierze na drogę, ale choć jeden może mnie się dostać. Obym go dostała, obym dostała, choćby ten najmniejszy, trzeci od końca... Składam ręce do modlitwy, zaraz się przeżegnaj jak i ojciec, który podchodzi do stołu, siada, wtulam się w kątek obok, ale tak, aby mnie zauważył.

Babcia nalewa kawę do garnuszków — do ilu naleje? Do trzech czy do czterech? Trzy większe już dymią na stole, trwa poszukiwanie najmniejszego. Jest! Na blaszanym talerzu leżą trzy placki, Babcia dodaje jeszcze ten najmniejszy!

Czekam, aż ojciec powie:

— Pobłogosław, Panie, te dary, które z twojej świętej szczodrości spożywać będziemy — i już chwytam placek.

Parzy. Dmucha, aby ostygł, gryzę małeńkie kęski, aby smakować jak najdłużej. Bardzo ostrożnie piję kawę, nie wolno się śpieszyć, jeśli poparzyć wargi, traci smak.

Przy jedzeniu nie wolno mówić, nie trzeba też jeść za wolno:

— Jaki kto do jedzenia, taki i do roboty...

Nie wolno się także objadać:

— Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Co masz zjeść dzisiaj, zjedz jutro...

Jedzenie rozdziela się w rodzinie według wkładu

pracy. Ten je najwięcej, kto najbardziej pracuje, czyli ojciec, potem matka, potem Babcia, potem my.

Nie wolno też uronić ani okruszyny jedzenia. Tylko w Wigilię sypie się do każdego kąta odrobinę okruszyn, aby i myszy się pożywiły.

Wielka była kiedyś awantura, kiedy nieoszczędnie sypnęłam myszom całą garść słodkich okruszyn, bo mi się wydawało, że trzeba je nakarmić na zapas, na cały rok.

Okruszynki zjada się co do jednej, gdy któraś upadnie, należy ją podnieść z ziemi, pocałować i zjeść. I niczego nie można zostawiać. Miskę po jedzeniu obłizać do czysta, łyżkę też, nawet garnuszek, ale z nim są niejakie trudności, bo język ani rusz nie sięga dna. Za krótki.

Podczas śniadania w kuchni panuje zupełne milczenie, słychać tylko mlaskanie, siorbanie. To starsi. Nam matka nie pozwala na chlipanie ani żadne takie.

— To nieładnie — powiada, czasem nawet trzepnie, czym popadnie, jeśli nie posłuchać.

Przy jedzeniu trzeba mieć zamknięte usta, dokładnie gryźć, jakby coś utknęło w gardle, nieszczęście gotowe. Przeciwdziałać może tylko kułak, którym wali się w kark.

Raz dostał mi się taki kułak, kiedy jadłam pierogi. Chciałam zjeść jak najwięcej ze wspólnej miski. Chwytałam je jak i inni rękami, odgryzałam połowę, szybko, prawie nie gryząc, połykałam, i następny, i następny. W pewnym momencie połówka wielgachnego pieroga stanęła mi w gardle: ani w tę, ani w drugą stronę. Zaczęłam się dławić, spostrzegła to Babcia i bęc, na moim karku wylądowała jej potężna pięść. Pieróg się cofnął, moja zachłanność ustała. Ale długo jeszcze czułam na karku kułak Babuni.

Ojciec skończył śniadać.

— Dziękci ci, Panie Boże, za te dary, które z twojej świętej szczodrobliwości spożyliśmy.

Niebo przejaśniało, świt. Ojciec ruszył zaprzęgać konia, Babcia płukać garnuszki, będą jak znaleźli dla następnych śniadaniarzy.

Wstaje dzień pełen nadziei. To wspólne śniadanie niewątpliwie zapowiada dalsze niezwykłości.

Babcia coś podejrzanie milczy. Na ogół przy robocie nie zamykają się jej usta, zazwyczaj komentuje każdą czynność. Teraz, przy zmywaniu statków, nie padło ani jedno słowo.

Właściwie dlaczego Babcia mówi o statkach, kiedy zmywa naczynia? Julek Szuba nauczył mnie grać w statki, ale wówczas chodziło o narysowaną na kratkowanym papierze całą flotę, w którą się trafiało albo i nie, wymieniając cyfry zaznaczone albo z boku, albo u góry kartki.

Lubię w to grać, wtedy jestem marynarzem. O, morze musi być wspaniałe, widziałam je na kartkach nadsyłanych do Kamisi, siostry Julka, ale nie mogłam sobie go wyobrazić na tej podstawie. Już bliższe wydawało się w opowieściach Babci z jej podróży do Ameryki, pełne nocnej grozy i takich grzyw, co szif niby łupinę unosily do nieba, to znowu wrzucały w wodną przepaść. Babcia wtedy wymiotowała, ojciec mówił, że rzygała, a wujek Leń — że jechała do Rygi.

Sama raz jechałam do Rygi, kiedy Brysiowa poczęstowała mnie lebiodą. Głód był wówczas straszny, przez tydzień jadłam tylko bób pieczony na blasze, a potem tę lebiode.

— To szpinak dzieci, szpinak... — zachęcała Brysiowa, ale przecież myśmy z Janką wiedziały, że ten

szpinak to była lebbioda i rosła w pobliżu sterty gnoju. No i pojechałam do Rygi, za mną wyrzygała się Jan-ka, czyli moja mleczna siostra. Ona urodziła się w sobotę, a ja chyba w piątek tego samego miesiąca i roku, ponoć nawet któraś z mam — nie wiem, jej czy moja — razem nas karmiła, bo znowu nie pamiętam, której zabrakło pokarmu.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego gorszy mnie widok karmienia piersią. Może z powodu ciotki Guzki?

Ciotka miała stale rozpiętą koszulę na piersiach, koszulę chyba z konopi, taką czarną. Milcia Wojtowska mówiła, że ciotka jest flejtuch, znaczy brudas. Z koszuli wychylało się coś długiego, obwisłego, biegający po podwórku Stefek przyskakiwał do ciotki, ona siadała gdzie popadło i przystawiała mu do twarzy cycek — tak właśnie Babcia nazywała pierś.

— Wstydu nie masz, Mimka, żeby takiemu staremu koniowi dawać cycka.

— A to wy nie wiecie, że nie mam co dać najduchowi?

— Jakiemu znowu najduchowi, przecież on ma ojca, nie?

— A ma, ma, ale jeść Stefusiowi nie ma kto dać, sami widzicie, że wszystko, co zarobi, przechleje.

— Przy takiej babie jak ty i święty by pił. Czego się nie ochędorzysz, gołymi cyckami świecisz, zamiast se guziki do bluzki przyszyć.

— Bo to myślicie, że mam na guziki?

— Do roboty byś poszła, to byś zarobiła.

— To mnie do roboty najmijcie.

— A co byśmy na tym splacheciu gruntu wszystkie trzy robiły?

— No i każdy tak mówi, jak się o robotę dopraszam.

— Taka tam z ciebie robotnica, tylko ozorem byś meła i meła...

— Litości to wy nad człowiekiem nie macie, wujanko, oj, nie macie.

— A kto się nade mną litował, jak pięcioro gąb się otwierało, a mojego w świat poniesło? No i widzisz, zem wychowała. A Tomek jak się udał...

Babcia z dumy pęcznieje, ale ciotka Guzka nie ustępuje, ciągnie dalej.

— Pewnie, pewnie, aż się najducha dochował, a takąście święta...

Babcia zamilkła, wygląda jak przekłuty balonik, co to go Julek paznokciem pstryknął i już tylko kawałek gumy się ostały. A taki był cudowny balonik, skakałam i skakałam, aby do niego sięgnąć, ale tak wysoko skoczyć, jak on latał, w żaden sposób nie potrafiłam...

I teraz Babcia milczy, ale widać wzmocniła się śniadaniem, bo nie wygląda żałośnie, ale jak motorek przy kieracie Michała Jajki. Tak się kręci i kręci, robota aż jej furkocze w rękach, aż dziw, że energicznie ustawiane garnuszki i garnki nie zbudziły nikogo z młodszych.

Przysiadła na stołeczku w ulubionym kątku przy kociołku. Kąt prawie zawsze jest ciepły, od palenia do palenia pod kuchnią utrzymuje się w wmurowanym tu kociołku ciepła woda, bywa nieraz gorący, parę razy poparzyłam palce, bo koniecznie chciałam się przekonać, dlaczego Babcia tak lubi to miejsce. Wybierałam niestety nie najodpowiedniejsze pory, kiedy przygotowywano posiłki i blacha aż czerwieniała z żaru. Wtedy dotykałam ściany, w której środku tkwił kociołek.

Wiadomo, tak mówiła Babcia, że jak się pali pod

kuchnią, to czasem ściana aż pęka z gorąca. Ale ze mnie był niewierny Tomasz. Po pierwszym sparzeniu Babcia wykrzykiwała:

— Ty niewierny Tomaszu, nie chcesz mi wierzyć i widzisz?

Nie tyle widziałam, co czułam.

— Bachor uparty, zawsze chce postawić na swoim!

Po parokrotnym powtórzeniu doświadczenia wreszcie nie pcham się do Babciwego kąta. Teraz też nie, ale nie wychodzę z nagrzanej izby, bo milczenie Babci musi mieć jakieś znaczenie.

I rzeczywiście. Babcia poprawiła zapaskę, odrzuciła na plecy warkocz, spojrzała na mnie uważnie.

— A teraz powiedz mi, ale tak naprawdę, nie masz ty jakiegos śmiertelnego grzechu?

Dorośli chodzą do spowiedzi, jeśli mają grzechy, dzieci na taką możliwość muszą poczekać, aby i spowiedzią nie obrazić Pana Boga, który wszystko o nas wie. Muszą wiedzieć, kiedy grzeszą i jakim grzechem: śmiertelnym, ciężkim czy lekkim. Aby nie grzeszyć, trzeba kochać rodziców, mówić zawsze prawdę, nikomu niczego nie zabierać, nikogo nie bić, nie posądzać niesłusznie...

Jezus, Maria!, przecież Wojtanowska popełniła ten grzech wobec mnie! Może ona dlatego nie może umrzeć? Może jej śmierć ode mnie zależy? Muszę jej jakoś przebaczyć, bo tak się powinno zrobić przed spowiedzią. Inaczej — jeśli się kogoś skrzywdziło i ten nosi urazę w sercu, nie sposób uzyskać na spowiedzi odpuszczenia grzechów...

— Babciu, jak nie mogłam dotąd zapomnieć o tym jej posądzeniu, pamiętasz, to jest wielki grzech?

— A żadnych innych grzechów nie masz?

— Kiedyś chciałam wypić mleko, co stało w garnuszku na kuchni i miało się zagotować, wyjadałam ojcu ser z dziury w chlebie, zjadłam Jance skibkę chleba...

— To są grzechy, ale niewielkie. Pan Jezus ci przebaczy, jak odmówisz Zdrowaś Mario. A pamiętasz ty Zdrowaś Mario?

Jak bym nie pamiętała? Szybciutko powiedziałam Babci, chciałam jej jeszcze powiedzieć nawet Wierzę, bo uczyła mnie kolejno: Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę, ale Babcię opanowała już widać inna myśl, przerwała zaraz po słowie „wierzę”.

— Wiesz ty co? Chodź teraz ze mną na górę, po-trzymasz świeczkę, musimy tam znaleźć kołowrotek.

Babcia dość dawno porzuciła kołowrotek. Stwierdziła, że nasiona lnu za drogie, żeby go siać na lichej ziemi, i tak nie chce się rodzić, a koszulki łatwiej się szyje z płótna, co go matka dostała na wyprawę. W kufirze leży spory kawał tego płótna, choć już przecież niejedną koszulkę zdarliśmy na grzbietach.

— Wszystko się na nich sypie, olaboga... — narzekała matka, siadając do maszyny, aby uszyć kolejną koszulę.

Istotnie się dاری, może dlatego że każde z nas miało po jednej i w takim żrącym ługu się je prało...

To wielka odpowiedzialność trzymać świeczkę na strychu. W każdej chwili może powstać od świeczki wielki ogień. Potrafi spalić nie tylko jeden dom, ale wszystkie domy dookoła. Wtedy zostaje się pogorzelcem. Tu kiedyś na Jakli wybuchł taki pożar, widziałam, dzieci siedziały na jakichś gratach, koszach, pierzynach, ludzie wygrzebywali rogi z pogorzeliska, strasznie śmierdziało, spaliły się i krowy, a nic tak nie śmierdzi jak ściervo palone...

— O, nasze żywicielki, z głodu pomrzemy... — lamentowała matka dzieci.

— Dopóki są inne krowy, to i wam mleka nie zabraknie na chwałę bożą i ludziom na pożytek — pocieszyła ją zaraz Babcia.

Wszystkiemu wtedy winien był wiatr.

Jak zawiało z tamtej strony, od razu chwyciło wszystkie strzechy. Nim ludzie na ratunek dobiegli, bo Jaka dość daleko, tylko jeden wielki ogień gorzał aż pod niebo.

A nad nim anioł z ognistym mieczem. Bo stał tu dom, gdzie brat bratu odebrał żonę, a potem się pobili w stodole i ten, co był mężem, już nie poruszył roztrzaskaną głową. Drugi został Kainem. I choć to stało się dawno, przecież samo miejsce przekłete. Niepotrzebnie gospodarkę Kainową kupili Domaradzczy, przez to się spaliła. Anioł z ognistym mieczem musiał się zjawić, aby do cna wytępić Sodomę i Gomorę.

To najcięższy, śmiertelny grzech pragnąć cudzej żony, a takiego grzechu jak zabicie brata i sam Bóg chyba nie odpuści, choć miłosierdzie jego nie zna granic.

Jak to pogodzić z drugą prawdą, stale przez Babcię powtarzaną: choćby grzechy wasze były jako szkarłat, jeśli pokutować będziecie, wybieleją jako śnieg?

Po co wtedy anioł z ognistym mieczem, jeśli czerwone może stać się białym? Nie mogę uwierzyć, by brat, który zabił brata, nie żałował swego czynu. Skąd wobec tego gniew Boży nad niewinnym przecież domem?

Trzymam stuloną dłońią świeczkę, przyświecam Babci, ale ciągle wisi nade mną ognisty miecz z tamtego pożaru. Ogromnie mi żal wszystkich i wszystkie-

go, na co ów miecz spadł. Już nie wiem, co zrobić, żeby u nas nie było pożaru.

Wprawdzie wujek Tomek nigdy nie pożałowałby żony swego brata Michała, gdzież mu by to do głowy wpadło, przecież takiego brata ze świecą szukać, robi na nas wszystkich jak ojciec rodzony, podczas każdej Wigilii wujek Tomek całuje go w rękę jak ojca, a poza tym musi słuchać we wszystkim. Wujek Tomek dopiero w wojsku stał się diabłem, jak ta diablona za nim pojechała, i teraz nie chce całować rąk mojego ojca, co mu Babcia ma za złe, ale ojciec stale powtarza, że to niepotrzebne, przecież wujek swoje lata już ma i z Helką musi się ożenić, jak jej bękartą zmagistrował, bo inaczej chłopiec zmarnieje, jak ten Stefek Guzoczyn, który tylko kaszle i kaszle, i żrą go suchoty.

Toteż wujek Tomek nie musi pożądać żony bliźniego swego, bo jak tata mówi, to znaczy, że się ślub z Helką na pewno odbędzie. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek ktoś się sprzeciwił woli ojca. Nie do pomyslenia!

Odetchnęłam. Nie, na nasz strych nie przybędzie anioł z ognistym mieczem. Tu się musi żyć po bożemu i wedle tego, co się komu należy. A wszystko potrzebuje swego.

— Weźmy konia — tłumaczy ojciec — nie dasz mu owsa, to jak pociągnie wóz i pług? Siano też musi jeść, trochę tego i tego, i zielonej trawy. Człowiek może zreć byle co, byle kałdun zapłacić, on bron ani zboża w żniwa nie ciągnie, ale koń?

— Jak mu nie dasz, sakramentniku, sam się zaprzęgaj do orczyka, bo nie masz prawa od zwierzęcia wymagać, by ci służył! — wykrzykiwał do wujka, gdy ten zapominał o obroku dla Kasztana.

To samo dotyczy krów i świni, kur i każdego żyjącego stworzenia, bo bez nich człowiek nic nie znaczy. Tak samo jak człowiek bez sumienia. To sumienie nakazuje, żeby każde dziecko miało ojca i matkę, a żona męża i mąż żonę. Tylko muszą żyć, jak Bóg przykazał, i pracować na dzieci. Wtedy Stworzyciel pobłogosławi i rodzice na starość z torbami nie pójdą, poza tym komu Bóg dał dzieci, to i da na dzieci, wszelkie drzewo, które nie rodzi, będzie wycięte i w ogień rzucone, bo co za życie bez dzieci?

Staś Wojtanowski by tak przy matce umierającej nie rozpaczał, gdyby mu Miłka urodziła dzieci. Miałby się kim pocieszyć. A tak?

Obym tylko nie upuściła świeczki, jest coraz mniej-sza, na próżno zbieram jeszcze gorące krople wosku i doklejam je do spodu, przy tym ciągle widzę łunę, i to wcale nie taką, o jakiej śpiewają w kościele: „a na niebie płonie łuna, cudny blask się toczy i anielska dzwoni struna, cud pastuszków mroczy”.

Aha, tamte anioły miały np. harfy ze strunami i grały, nie miecze, i nie musiały nikogo spalać, bo się rodziło Dzieciątko Jezus. Ono ocaliło cały świat i ludzi, nie byłoby chleba, gdyby nie było Dzieciątka i gdzie by wtedy po śmierci poszli biedni ludzie?

Przecież na ziemi muszą się tak męczyć, by zasłużyć na królestwo niebieskie...

Dlatego, że jest niebo, i żyć łatwiej, i umierać nie żal. Bo czego na tym świecie żałować? Głodu, chłodu, nieszczęścia, co to zawsze biednemu w oczy? Tylko nie-miłosierni bogacze nawet przez ucho słonia nie dotrą do nieba. Natomiast biedni wejdą doń nawet przez ucho igielne. Z dwoma wyjątkami: takich, którzy są nieochrzczeni, i takich, co sobie sami życie odebrali.

Ale bywają wyjątki, np. uczciwi i dobrzy poganie, albo tacy samobójcy, którym bieda i nieszczęście zasypały piaskiem oczy i już nie mają siły borykać się z życiem.

— To jest wtedy, wnusiu, jak cię spotka tak wielka krzywda, że rozum tracisz...

Takich, zdaniem Babci, nie powinno się chować pod płótem cmentarza.

— Największym nieszczęściem jest stracić rozum. Dlatego nigdy nie wolno bić dziecka po głowie, tylko po dupie...

Wtedy mu się dodaje rozumu różgą przez ojca trzymaną, bo nikt tak nie potrafi kochać dziecka, jak ojciec i matka, toteż trzeba po każdym biciu rękę ojca ucałować w podzięcie i na przeprosiny.

— Babciu, to może mój największy grzech, że wtedy nie pocałowałam ojca w rękę, jak mnie zbił pasem po posadzeniu Wojtanowskiej?

— Ale ty przecież nie do ojca urazę czujesz, ale do Wojtanowskiej...

— Lepiej by było, gdyby się ona już tak nie męczyła, prawda Babciu? Już nie mam do niej żalu, pewnie źle widziała, a jeżeli myślała, że to ja, to może i dobrze zrobiła poskarżywszy ojcu, widać nie chciała, bym wyrosła na złodziejkę.

— A wiesz, pędraku, żeś to słusznie wymyśliła? Pewnie cię Bóg natchnął, bo i mnie podobna myśl do głowy przyszła. Jak znajdziemy len, to cię nauczę, co masz robić i do Wojtanowskiej pójdziemy obie. Tylko nic się nie bój, jam grzeszna, zostawię cię tam samą. Zrób wszystko dokładnie, jak każe, nie oglądaj się do tyłu, pamiętaj, to najważniejsze. Poczekaj, na kołowrotku musi być jeszcze trochę lnu. Przecież całego

nie zużyliśmy, jak na różyczkę chorowała Jancia... Musi tu być ani chybi. O, jest!

Babcia westchnęła z ulgą, ja też, bo świeczka stała się coraz mniejsza, a mrok, choć przecież wstał świt, coraz gęstszy. Zwyczajnie jak na strychu. Mrok wprowadzie oswojony, nie taki jak nocą, kiedy wydaje się, że wchłania cię całą, rozróżniasz nawet zarysy drzew czy kontury przedmiotów, bo oczy widzą, ale mrok masz w sercu, lód w całym ciele i dygoczesz ze strachu.

Może dlatego, że człowieka ogarnia ciemność, jest tak strasznie umierać? No bo jak się zamknie oczy, to cię całego ogarnia czarność. A potem jeszcze ziemia, którą zwała się na trumnę. W głębi ziemi musi być zupełna czarność i już nigdy nad człowiekiem nie zaświeci słońce.

Ale czasem i nad żywymi nie świeci słońce. Np. nad sierotami.

— Wtedy sieroty błakają się w ciemności, ani ich matczyne ręce nie ogrzeją, ani rzemyk ojca nie oświeci, módl się, wnusiu, abyś jak najdłużej nie była sierotą. Mój ojciec dawno zmarł, jużem duża była, a potem matka, potem Pietrek, twój dziadek. Widzisz, jaka ze mnie sierota? Oj, gdybym się tak ojcu albo matce mogła pożalić, że ta niewdzięcznica Marynia do mnie teraz ani zajrzy...

Rzeczywiście, ciotka Marynia nie przychodzi do nas co niedzielę.

— Widać dla starej matki czasu nie ma, ciągiem tylko za Miłklichem po szynkach lata, ale co zrobić takiemu, co gorzałkę lubi?

Słucham Babciwego narzekania, ale już cała żyję

tym, co będzie. Wreszcie i ja sama pójde do Wojtanowskiej. Po to, by ona spokojnie mogła wreszcie zamknąć oczy. Co ja tam będę robiła? Babcia jeszcze nie powiedziała...

Złazimy z drabiny, trzeba dobrze uważać, aby z niej nie spaść. Nie wszystkie szczeble utwierdzone. A może moje nogi drżą z przejęcia? Jeden szczebel od drugiego daleko, muszę mocno trzymać się rękami poręczy, bo inaczej zwałę z góry na dół. Uważam pilnie, stawiając każdy krok, ale aż uszy palą z ciekawości, co też to będzie przy łóżku umierającej.

Weszliśmy do izby, a tu już młodszy rozrabiają na całego. Zdzisek tarmosi Jankę za włosy, ta go drapie paznokciami, ledwie Babcia pogodziła ich klapsami, już krzyczą o jedzenie. Pomagam Babci stawiać garnuszki z kawą na stole, dostaną po połówce placzka z prozą, są mali. Janka kaprysi, nie chce jeść, pewnie znowu wyskamle jakieś jajko albo chleb z marmoladą, ulubiony przysmak. Babcia chce ją uspokoić, szykuje kromkę, smaruje marmoladą. Też mam na to ochotę. Nic nie mówię, ale Babcia docenia widać moje przysze obowiązki, bo daje maleńką skiibkę.

Jem, ale ciągle myślę o pomyśle Babci. Zaraz go poznam w szczegółach, bo już „Dzięki ci, Panie Boże, za te dary”... powtarzają chórem dzieci.

Śniadanie skończone, jeszcze polać im wodą ręce nad cebrażkiem, przesunąć mokrymi dłońmi po twarzach. Koniec porannego mycia. Matka kończy obrządek w stajni, Babcia sadza mnie na swoich kolanach, Janka ze Zdziskiem bawią się drewniankami leżącymi pod piecem. Wolno się nimi bawić, dopóki nie będą potrzebne do palenia.

Tak ich żałuję wtedy, tak żałuję. Już nie będzie

drewniak, najpierw się rozjarza, potem spopieła, wreszcie niektóre zamieniają w czarny węgiel.

Śmiesznie się nim rysuje na ścianie, ale rysowaliśmy tylko jeden raz, montewka nie ominęła wtedy nawet ukochanej Janci, bośmy tak wysmarowali całe ściany, akurat świeżo pobielone...

Siedzę na podółku, Babcia zwija len w palcach, dzieli na coraz mniejsze pasemka, gładzi i mruczy:

— Lekkie skonanie racz jej dać, Panie...

Lekkie skonanie racz jej dać, Panie...

Dmucha leciutko na kulki lnu, jedna frunęła wysoko, poleciała aż pod sufit, ale na karku nie poczułam dmuchnięcia, a był tuż przy podbródku Babci.

— Widzisz? — zajrzała mi w oczy — jak staniesz nad Wojtanowską, musisz wszystkie kuleczki wydmuchać jak najwyżej. I pamiętaj, masz mówić:

— Lekkie skonanie racz jej dać, Panie...

— A skąd wiesz? — zdziwiła się Babcia.

— Przecież przed chwilą tak mówiłaś, słyszałam, a co potem? — dopytuję.

— Jak już wszystkie kuleczki polecą pod obrazy, masz uklęknąć przy łóżku i ucałować rękę Wojtanowskiej. Tylko nie wolno ci się ani na chwilę odwrócić do tyłu, bo wtedy dusza nieboszczki nie pójdzie do nieba, ale wyjdzie na podwórko, kto wie, czy nie będzie kogo wołać za sobą. Może Staszka, może Milkę, albo kogoś innego, kogo Wojtanowska ujrzała, nim ją to skonanie powaliło. Może zawołać ciebie albo mnie, albo ojca, albo matkę...

Błyskawicznie sobie uprzytamniam, że wtedy wszyscy zostalibyśmy sierotami. Wprawdzie nawet najwięk-

szej gromadce dzieci śmierć może zabrać matkę, jeśli ma umrzeć, Bóg nie uznaje tu żadnych wyjątków, raz nawet sama śmierć z litości prosiła Boga, by zostawił matkę sześciorgu dzieciom, ale Bóg się nie zgodził. A jest przecież najbardziej litościwy — dlaczego nie pożałował sierot?

— Niezbadane są wyroki Opatrzności, co komu przypisane, to go nie minie. Wszyscyśmy w Bożej mocy, ale czysta dusza może wiele wybłagać u Pana Boga... Pamiętaj, wnuczko, módl się z całej siły, żeby te kuleczki jak najwyżej poleciały i pomogły, a pomagają jak dmuchniesz mocno i się nie odwrócisz.

— To znaczy, że moje dmuchnięcie ma swoją wagę przed Panem Bogiem?

— A ma, ma. Jeżeli twoja dusza jest czysta, to chuch też jest czysty i może wybłagać łaskę Pana. Tylko pamiętaj się nie oglądać, zrób wszystko, co nakazałam, i nikomu nigdy nie mów, coś tam robiła. Pamiętaj!

Zawijamy kuleczki do czystej szmatki, idziemy do domu Wojtanowskich.

W izbie mrok, nie dochodzi do niej słoneczne światło. Babcia otworzyła drzwi, zamknęła je za mną. Może nawet trzyma je plecami, abym ich przypadkiem nie otwariła?

W kącie łóżko, sterczy na nim wysoko pierzyna. W chybottliwym świetle gromnicy, na poduszkach, sina, obrzmiała twarz, jakby nie Wojtanowskiej. Pod przymkniętymi powiekami łyskają białka — to można mieć białe oczy?

W nos uderza obrzydliwy zapach — ni to potu, ni gnojówki. Pokrzywione palce rąk opadają z boku łóżka, w uszy wpada chrapliwy oddech. Ogarnia mnie wstręt i lęk. Mam ochotę natychmiast stąd uciec, jak

najdalej od tego łóżka, uciekam oczami w górę, ku obrazom. Toną w mroku, ale czerwienieje serce Jezusa nad olejną lampką, niebieszczeje tło przy głowie świętego Stanisława. Wytrzeszczam z całej siły oczy na obrazy, byle nie spocząć wzrokiem na łóżku. Z wysiłkiem postępuję naprzód, patrząc ciągle na obrazy. Muszę wydmuchać lniane kuleczki i co powiedzieć? Co powiedzieć, co powiedzieć? „Lekkie skonanie racz jej dać, Panie”. Tak, właśnie tak, i jeszcze klęknąć i zbliżyć twarz do tej dłoni, muszę na nią spojrzeć, bo wydaje mi się, że pierzyna jest okropnie, przeraźliwie wstrętna. Dotykam ustami chropawej skóry, zupełnie takie wrażenie, jak przy wymiotowaniu lebiody. Muszę, muszę jeszcze westchnąć do Boga, aby kuleczki pomogły, mam już oczy za drzwiami, ale tylko w myśli, teraz rozpaczliwie czepiam się nimi tej nieustannie chyboczącej lampki pod sercem Jezusa.

Bóg i Babcia zlały mi się w jedno w dygocącej głowie — chodź, Babciu, chodź, Babciu, bo się odwróć, muszę stąd uciec — nie, wtedy dusza może zająć po mamę i tatę i wszyscy zostaniemy sierotami...

Zamiast czerniejących, spuchniętych dłoni widzę małe paluszki Zdziska, jak je wyciąga po prośbie, bo czym ja teraz potrafiłabym go wykarmić, jeżeli taka mała zostanie jedynym żywicielem...

Kuleczki powędrowały wysoko, aż do sufitu, zaraz spadnie kosa, też lekka, bo przecież teraz zaraz machnie nią śmierć...

Czy to może we mnie wycelowała, moja głowa spada nagle na podłogę...

Ale już nade mną pochyła się Babcia, już jesteśmy za drzwiami, Babcia każe głęboko oddychać, mogłaś trochę nabrać w siebie tej śmierci, szybko ją wydychaj, no jeszcze, jeszcze, czuję napływające wymioty,

rzygam z całej siły tuż pod płotem, wypłacz się, wypłacz, oprzyj o płot...

Babcia z powrotem wbiega do izby, gdzie już cicho, za chwilę słychać płacz Stasinka i Miłki oraz spokojne i donośne Babcine:

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie...

Powinnam czuć dumę. Pomogłam Wojtanowskiej, szczęśliwie zamknęła oczy. Ale zamiast tego dygoczę pod płotem, okropnie mi zimno, zaraz muszę iść do ciepła, nie wytrzymam dłużej lodowatego zimna. Dlaczego skazałam na takie zimno Wojtanowską, przecież przed chwilą jej ręka, choć taka obrzydliwa, była jednak ciepła. A teraz musi jej być jeszcze zimniej niż mnie, nie pomoże tu żadna pierzyna, pójdę prosto do ognia, przecież, o Jezu, to tak, jakbym jej ściągnęła kosę na głowę. Jam ją zabiła. No bo pomóc komuś umrzeć, to przecież zabić.

— Zabiłam, zabiłam, zabiłam!

Rzucam się pod kocem tak gwałtownie, że Babcia z lękiem zbliża się do kanapy.

Nie wiem, jak wróciłam do domu, nie wiem, jak się znalazłam w kanapie. Zimno mi tylko, rozpaczliwie usiłuję uciec przed tym zimnem, już nie mogę, wejdę pod kuchnię, zamienię się w szczapkę drzewa albo od razu w węgiel, węgiel gorący, taki węgiel nawet ogrzeje żelazko. Spróbuję, co to znaczy smażyć się w piekle, na pewno będę się smażyć w piekle, przecież to najcięższy, śmiertelny grzech zabić, nie ma dla mnie ratunku. Jeśli ja zabiłam, to i sama muszę się zabić... Muszę się zabić, śmierć za śmierć, śmierć za śmierć. Już idę, już idę, nie zniosę tego dłużej, tego zimna i tej obcej, strasznej twarzy z białymi oczami.

Wyrywam się z rąk Babci, nie mogę być w tej ciemności, do słońca, tam jest ciepło...

Babcia dotyka mego czoła, spogląda z przerażeniem: mam zupełnie czerwoną twarz i całe ciało czerwone.

— Helka! — woła Babcia — Helka, ona pewnie ma odrę, zasłoń okna, bo oślepnie i wsadź ją zaraz pod moją pierzynę.

Trochę tu ciepłej, ale znowu nie mogę znieść ciemności. Otwieram szeroko oczy. Nadal wydaje mi się, że śpię. Chyba spałam, gorączka minęła, chcę do słońca.

W izbie nikogo. Wołam, nikt się nie odzywa. Pewnie wszyscy wyszli w pole, robota nie czeka, ziemia nie czeka. Najważniejsza jest robota i ziemia. Dzięki pierwszej trwamy, druga zapewni nam wieczny spokój. Ziemia tylko pod mrozem jest zimna. Słoneczna grzeje nogi. Nad najwyższym w okolicy drzewem wisi słońce.

Do drzewa jeszcze daleko. Idę w koszuli. Dzieci bawiące się w rowie pokazują mnie palcami: — czerwotka idzie, czerwotka; zbiera mi się na płacz, to wielki wstyd, jak cię wytykają palcami: — odmieniec, czerwotka! — krzyczą i krzyczą. Idę coraz szybciej, choć nogi jak z waty, przecież chyba parę dni trwała gorączka, ale muszę uciec przed tymi szyderczymi twarzami, wyrwać się z oblepiających mnie zewsząd palców.

Jeszcze przez jeden potok, jeszcze przez jeden. Dochodzę do kępy olch. To już niedaleko. Olchy są czarne i chropowate jak dłonie Wojtanowskiej. Przedziam się przez głogi i tarninę. Czyżby się darła koszuła? To nic. Jeszcze kawałek łąki na Widaczu, jeszcze jeden potoczek, teraz szosa, rów i już cmentarz.

A na nim najwyższe w okolicy drzewo. A nad drzewem słońce. Jeszcze parę kroków i dojdę do słońca, a potem do nieba. I wtedy już nigdy nie będzie zimna. Zawsze będzie ciepło.